



**UUK**

MAGDALENA SAMOZWANIEC

# KRYSTYNA I CHŁOPY

Data wydania: 1969



*Mojej przyjaciółce  
Zdzisławie Skrzyńskiej*

# Część I

Gdy Kryisia powiedziała mężowi, że jest w ciąży, nie ukląkł przed nią wzruszony i nie pocałował jej w rękę — jak to bywało za czasów młodości jej rodziców — tylko podrapał się w głowę i mruknął: — Cholera!

— No i co będzie? — zapytał zapalając papierosa. Poprosiła go o ogień do swojego papierosa.

— Ano cóż, urodzimy.

— My przecież nie mamy czasu na opiekowanie się dzieciakiem, ty rysujesz, a ja pracuję w redakcji. Nonsens!

— Ale ja chcę mieć dziecko — rzekła Krystyna.

— Skoro chcesz, to sobie miej, tylko mnie do tego nie mieszaj. Nie znoszę wrzasków i smrodków. Będę uciekał z domu.

Prasłowa kobiece wybiegły z ust jego żony: — Teraz tak mówisz, a potem je pokochasz, zobaczysz. Może to będzie syn?...

— A cóż to za szczęście mieć syna, wyrośnie na chuligana i będzie kradł cudze samochody.

— Dlaczego ma wyrosnąć na chuligana, od tego są rodzice, aby do tego nie dopuścić.

— Wtedy, kiedy oboje nie pracują, kiedy matka siedzi w domu, ale przecież ty chcesz być wielką artystką — te słów wypowiedział szyderczym tonem. — Zresztą, rób, jak chce i. Twoja babska sprawa.

— Do której ty się też przyczyniłeś...

— W minimalnym stopniu. Moment zapomnienia.

Poszedł do przedpokoju, zdjął z wieszaka płaszcz i kapelusz i wyszedł z mieszkania.

Krystyna została sama i oddała się kobiecym marzeniom.

Chłopiec czy dziewczynka? Mężowie zawsze wolą, ażeby był syn. Odwieczne przyzwyczajenie — syn to była pomoc w gospodarstwie (albo ksiądz — chluba rodziny), w tym miejscu uśmiechnęła się — dziś nieaktualne. Albo wojownik. Może być także łobuz albo chuligan. Leń, który nie będzie chciał się uczyć. Lepiej, żeby to była dziewczynka. Kotki też są miłsze i bardziej przywiązane niż kocury. A jeśli wyrośnie na typowego przeciętnego kodaka? Nie ma obawy, ona

będzie ją pilnować. Tak, stanowczo zamawia sobie dziewczynkę. Blondynkę z czarnymi oczkami. A jeśli będzie szatynka? No, to będzie jej od małego myć włosy w rumianku, aby zjaśniały.

\* \* \*

„Cięża” — słowo najbardziej brzemiennie w skutkach — jak pisała pewna satyryczka. Tak, to nie było ani wygodne, ani estetyczne. Modne suknie worki i trapezy zostały chyba wymyślone specjalnie dla kobiet w ciąży, chociaż teraz każda tęga pani wygląda, jak gdyby była w czwartym lub piątym miesiącu. Ponieważ zawsze bardzo dbała o swój wygląd, więc ucieszyła się z mody peleryn i zamówiła sobie taką u najlepszej krawcowej. „Pod burką wielkiego coś chowa” — przypomniała sobie Trzech Budrysów Mickiewicza, gdy stan jej był już dość zaawansowany. Jak wszystkie kobiety pod trzydziestkę, nosiła z pewną dumą swój poważny stan, godnie, stanowczo podchodziła do lady wymijając kolejkę, jezdnię przechodziła wolno, tuż, można rzec, przed nosem przejeżdżających samochodów, które ze wściekłym zgrzytem hamowały przed majestatem przyszłej matki. Dokuczliwe były tylko częste torsje.

— Biedaczysko — litował się jej mąż — ale cóż, sama chciałaś. . .

To: „sama chciałaś” słyszała teraz przy każdej okazji. Rewanżowała się „zachciankami”, które miewają kobiety w jej stanie, i teraz na obiady i kolacje bywały tylko jarzyny i owoce, których znowu nie jadał Franciszek.

W oznaczonym terminie poszła do szpitala na poród. Urodzę nowe życie — pocieszała się, gdy do jej uszu dochodziły jęki i krzyki torturowanych przez owo „życie” rodzących kobiet. Urodzę c z ł o w i e k a.

— To już będzie moje szóste — jęknęła kobieta leżąca koło niej.

Wyglądała na niemłoda, zniszczoną, kosmyki popielatych włosów wałęsały się po mokrej od potu poduszce.

Jakiś smutny i ponury musiał być u niej początek tego cudzego „życia”, myślała Krysia. Mąż pewnie po pijanemu. . . bo przecież gdyby był trzeźwy. . . Taka zniszczona, niemłoda. . . szpakowata. Pomyślała o tych koszmarnych obowiązkach małżeńskich po wódce, w brudzie, w zaduchu — i z takich związków wyrastają potem te chuligańskie wyrostki, te puszczające się dziewczyny z podmalowanymi oczami, z brudną szyją. Dzieci-kaleki lub debile. Co innego u niej. Kochali się wtedy. Franek dostał z redakcji zaliczkę na długi artykuł, był w doskonałym humorze. Na stoliku nocnym we flakonie stała gałązka białego bzu i leżały dwie pomarańcze. Franek miał na sobie czystą piżamę w paski, która świeżo i rześko pachniała pralnią. Ona pokropiła sobie koszulę nocną z dużym dekoltem zagraniczną wodą kolońską. Powiedział: — Jak ty ładnie pachniesz — i ugryzł ją w ramię.



— Kochany — szepnęła w pewnej chwili — musisz uważać, bo... wiesz...

— Co będzie, to będzie — zamruczał, a po chwili obrócił się na bok i chrapał głośno, jak gdyby z ulgą. O żadnych jakichś czułych słowach nie było mowy — normalnie, jak w kilkuletnim małżeństwie. Miało to trochę grzeszny, kazirodczy posmak romansu siostry z bratem czy matki z synem — ale gdy się w trakcie dnia mówi o tym, że trzeba dać nową armaturę do wanny, bo z kurków cieknie, oblicza się na papierze, ile jest jeszcze rat do zapłacenia za tapczan, to skąd by się nagle miał wziąć jakiś miłosny dialog. Całkiem zrozumiałe, jasne, i dzięki Bogu, że jest tak, jak jest, że na razie nie ma żadnej innej kobiety, że ona mu wystarcza.

Jak wiadomo, dziecko przychodzi na świat wśród jęków i krzyków. Gdy rodząca przestaje nagle krzyżeć — odzywa się tak zwane kwilenie niemowlęcia — a po kilku godzinach, gdy dziecko jest zdrowe i normalne — wrzask!

Franek, uważający się za pisarza, był nerwowy i ryk dzieciaka po nocach w tym jednym pokoju (z kuchnią), który zajmowali, doprowadzał go do szału.

— Stracę posadę, gdy się tak dalej nie będę wysypiał, i oszaleję!

— Teraz, gdy jesteśmy „rodziną rozwojową” — rzekła z uśmiechem — otrzymamy łatwo dwa pokoje.

— A masz pieniądze na kupienie spółdzielczego mieszkania? — warknął.

— Obiecali ci w redakcji, że się postarają dla nas o dwa pokoje.

— Taak. Ale kiedy? Prędzej ja pójde do domu wariatów. — Nie poszedł oczywiście do domu wariatów, tylko do... koleżanki redakcyjnej.

— Ela — rzekł odprowadzając ją do domu — weź mnie do siebie na noc...

— Oszalałeś! Masz żonę.

— Słuchaj, ja naprawdę chcę tylko i wyłącznie spać. Ty masz dwa tapczany... błagam cię. Spójrz, jak ja wyglądam!

— Normalnie — zaśmiała się.

— A te worki pod oczami, ta zgniła cera? Ludzie mnie na ulicy nie poznają. „Człowieku, co się z tobą dzieje, ty musisz być ciężko chory!”

Zaśmiała się swobodnie i beztrąsko. — No, skoro się wam dziecka zachciało.

Puścił jej ramię. — Mniee??? Krystyna się uparła. Ja za nic nie chciałem. W dzisiejszych czasach, przy tej ciasnocie mieszkaniowej! To dobre dla idiotów i analfabetów. Nonsens!

— I nie kochasz swojego synka?

— Oszalałaś! Co tu jest do kochania? To tak, jak gdybyś kochała radio u sąsiadów, puszczone przez cały dzień i pół nocy na pełny głos.

— Ale to przecież twoje.

— No to co? Nie przewidziany wypadek i nic więcej... Nieuwaga, i przez ten moment nieuwagi i zapomnienia mam już całe życie cierpieć? To nie dla mnie, rozumiesz, nie byłem stworzony na ojca. Elżbietko, zmiłuj się nade mną. Nawet cię nie dotknę. Dasz tylko herbaty i proszek nasenny. Jestem w y k o ń c z o n y!

Eli zawsze podobał się Franek. — No dobrze, ale co powiesz żonie?

— Zatelefonuję od ciebie, że poszedłem do kolegi, bo serce mi nawala.  
— Uwierzy?  
— Będzie uszczęśliwiona, bo ona, biedna, też ma ciężkie życie. Dzieciak wrzeszczy, ja klnę i jęczę, że nie mogę spać, a ona popłakuje.  
— Jednym słowem, orkiestra bigbeatowa — zaśmiała się beztrąsko koleżanka.  
— No, więc zgoda, idziemy do ciebie. Nigdy ci tego nie zapomnę. Ela, jesteś fajna, prawdziwy kumpel na medal!

\* \* \*

I tak się to wszystko zaczęło. Franek przestał nocować w domu, a Krysia, zakochana w swoim „Misiu”, wciąż wierzyła, że jej mąż nocuje u kolegi.

— A jak się ten twój kolega nazywa?  
— Kowalski — powiedział szybko i bez zastanowienia Franek.  
— Musisz mi dać jego numer telefonu, bo gdyby, nie daj Boże, w nocy Misio się nagle rozchorował albo ja... to nie wiedziałabym, gdzie cię szukać.  
— On nie ma telefonu — skłamała bez zająknięcia mąż. — Ale ja mogę zawsze z wieczora zadzwonić do ciebie od jego sąsiada, jak się czujesz ty i mały. No, to cześć, nie mogę ci powiedzieć: „śpij smacznie”, bo to ci się nie uda, ale... bądź zdrowa.

Krysia była zdumiona zmianą, jaka zaszła w zachowaniu się jej męża. Był grzeczny, szarmancki, kilka razy przyniósł jej kwiatki, nawet zmuszał się, aby pobawić się z Misiem i tykać mu zegarkiem nad uchem.

— Głupie imię mu dałaś — rzekł kiedyś udając ojcowskie zainteresowanie. — Miś — połowa psów w mieście tak się nazywa. Co ci przyszło do głowy?

— Daliśmy mu na chrzcie Michał, imię twojego ojca. A Michaś to takie jakieś staroświeckie. Patrz, jak on ci się przygląda, już cię, łobuz, poznaje. No, Misiek, powiedz: ta-ta.

— Abbblll! — zabełkotało niemowlę śliniąc się.

— Powiadam ci, co za mądry chłopak. Już wszystko rozumie i sam chce siałć.

— Cudowne dziecko — dawnym ironicznym tonem zauważył Franek. — No, to ja już idę. Nareszcie mogę się wyspać. Zupełnie inaczej wyglądam, prawda?

— Nie, zupełnie tak samo. Tylko z tą różnicą, że dbasz teraz, aby mieć zawsze na sobie czystą koszulę, gdy wieczorem wychodzisz.

— Czy ci się to wydaje podejrzane? — zapytał odważnie i bezczelnie.

— Ale skąd, ty tak znowu zanadto się nie palisz do tych rzeczy.

— Ano właśnie — zarechotał. — Znamy siebie dobrze nawzajem. Grunt to sen i dobre żarcie dla pracującego mężczyzny. — Pocałował ją w usta Judaszowskim pocałunkiem, włożył kapelusz i poszedł. Wzięła dziecko w ramiona, rozpięła

bluzkę i wyciągnęła białą pierś jak plastikową bańkę z mlekiem, której dzióbek przytknęła do ust niemowlęcia. Pomyślała, jak szybko kobiety przyzwyczajają się do owych czynności, których przecież nigdy przedtem nie robiły. Do przewijania niemowlęcia, do karmienia go. To, czym teraz karmi dziecko, było nie tak dawno małym, twardym, opalonym na brązowo stożkiem. — Ale ty masz piersi! — mruknął kiedyś z zachwytem Franek i pochylił się nad jej biustem, gdy leżeli na plaży. Niczyj charakter nie zmienia się chyba tak, jak ciało kobiety po urodzeniu dziecka. Koszmar! Ale jest przecież jeszcze młoda, wszystko chyba wróci do formy — byle tylko nie mieć drugiego bachora. Bez zwykłej czułości odstawiła żarłoka od piersi. Zaczął ryczeć. — Na dzisiaj masz dosyć — rzekła i ułożyła go z powrotem w łóžeczku. Ponieważ jednak dalej darł się wniebogłosey, więc z westchnieniem podała mu drugą pierś. Ciągnął niemiłosiernie, tak że łzy bólu stanęły jej w oczach. — Boże mój, Boże — jęknęła głośnie — co ja sobie narobiłam!

\* \* \*

Franciszek już prawie wcale nie nocował w domu. Około siódmej przygotowywał się do wyjścia.

— Wciąż zostawiasz mnie samą.

— Masz Misia.

— Miś nie zastąpi mi męża — rzekła żałośnie.

— Przecież nie możesz wymagać ode mnie, abym rzucił zajęcia i wysiadywał przy dzieciaku. Mówiłem, ostrzegałem, ale jak ty się raz uprziesz. . .

— Wszyscy ludzie mają dzieci i jakoś sobie radzą — odparła.

— W naszych obecnych warunkach było to szaleństwem. Tylko ludzie niekulturalni mają teraz dzieci. . .

— Taak, a skąd się w takim razie bierze u nas taki przyrost ludności?

— Przez słabe programy telewizyjne — rzekł z dowcipnym uśmiechem. — Małżeństwa, zamiast patrzeć w szklany ekran, zamykają telewizor i idą spać! Nie martw się, obiecują mi większe mieszkanie, ale nie prędzej, jak za rok.

— A do tego czasu?

— Musisz wziąć jakąś pomoc do dziecka.

— A gdzie będzie mieszkać?

— Na razie w kuchni, postawi się jej składane łóžeczko. Ja i tak jestem teraz jak gdyby gościem w domu — w tym miejscu westchnął sztucznie.

— To tak wygląda, jak gdyby Misiek powoli rozbijał nasze małżeństwo — rzekła.

— Zaraz „rozbijał”. Utrudnia nam co najwyżej życie. Ale skoroś chciała. . .

— Ach, z tym „chceniem” — zirytowała się. — Sprawa tak naturalna, jak. . .

— Rozumiem, jak niektóre funkcje fizjologiczne. . .



— Ty się robisz cyniczny i niemożliwy.  
— To się ze mną rozwiedź, nie będę stawiał przeszkód.  
Spojrzała na niego przerażona. — Ty chyba... chyba żartujesz?  
Spuścił głowę i spojrzał na swoje buty. — Na razie tak... ale nie wiem, co będzie dalej, czy ja to wszystko wytrzymam?  
— Co ty masz do wytrzymania? Obiad jadasz o swojej porze, ja ci nie bronię nawet nocować u tego... tego rzekomego kolegi.  
Spojrzał na nią z niepokojem. — Co znaczy „rzekomego”?  
— Myślisz, że ja jestem taka głupia. Masz jakąś babę i nocujesz u niej.  
— Czyś ty zwariowała! Ja, taki wygodnicki, miałbym co noc chodzić do jakiejś babki i może romansować z nią, zamiast spać. Wiesz dobrze, co ja lubię, jeść, spać i czytać do poduszki, a to wszystko teraz zostało mi w domu odebrane.  
Spojrzała na niego trochę uspokojona, ale z niedowierzaniem. — Przysięgasz, że nie masz żadnej kobiety?  
— Daję ci na to najświętsze słowo honoru!  
Mężczyźni, gdy zdradzają żony, kłamią do ostatniej chwili, do rozwiązania małżeńskich więzów, w czym przypominają dawne młode pomocnice domowe, które, gdy przypadkowo zaszły w ciążę — płakały i przysięgały swojej pani, że nic podobnego, że „nigdy nie zgrzeszyły”.  
Podobnie Franciszek nosił już w sercu bardzo zaawansowane brzemię miłości do czarnowłosej Eli — ale wciąż kłamał przed żoną, że skąd, że nigdy w życiu... „że z żadną obcą kobietą nie zgrzeszył”.  
Gdy Krystyna zaczęła odstawiać Misia od piersi i karmić go tartą marchewką i owsianką, postanowiła szukać odpowiedniej pomocy do dziecka. Po długich telefonowaniach do znajomych i ogłoszeniach, które dawała do gazet, zjawiła się u niej osoba w średnim wieku, wysoka i rozłożysta. Cerę miała różową jak zakonnice, które, jak wiadomo, nie używają żadnych kosmetyków, i ledwie wąską kreską naznaczone na szerokiej twarzy usta, takie, co to wyglądają na to, iż nigdy ich żaden mężczyzna nie całował.  
— Co pani dotychczas robiła? — zapytała Krystyna. — Gdzie pani pracowała?  
— Byłam salową w szpitalu.  
— Dziecięcym? — zainteresowała się Krystyna.  
— Nie. W szpitalu dla psychicznie chorych...  
— No, to świetnie — zaśmiał się pan domu — bo każde dziecko to trochę wariat. Będzie pani umiała dobrze opiekować się małym.  
— Nigdy z dziećmiakami nie miałam do czynienia. Jestem panienką — w tym miejscu wyprostowała się dumnie. — Ale robota przy dzieciach — lżejsza niż przy chorych.  
Krystyna przyglądała jej się badawczym wzrokiem. Robiła wrażenie osoby spokojnej i zrównoważonej i miała w sobie jakąś narzuconą godność, którą jak

gdyby przyswoiła sobie dla samoobrony. Chyba będzie odpowiednią osobą dla Misia.

— A jakie wynagrodzenie miesięczne chce pani pobierać?

Od razu, bez zająknięcia powiedziała, że osiemset złotych miesięcznie i pełne utrzymanie. No i musi mieć dietę odpowiednią, bo cierpi na wątrobę.

— A umie pani gotować?

— Tyle co dla mnie, to potrafię, ale już dla państwa to nie. Dziecku też mogę ugotować kaszkę i mleczko zagrzać.

— A jak pani na imię?

— Józefa. Józefa Kmiec.

— No więc dobrze, zostanie pani u nas na razie na próbę. A teraz niech pani przyniesie swoje rzeczy i rozgości się w kuchence.

— A czy telewizor u państwa jest?

— Tak. I to nawet z dużym ekranem.

— To najważniejsze. Bo u nas w szpitalu to zawsze wieczorem oglądałyśmy z koleżankami telewizję i, proszę państwa, w najciekawszym kawałku, jak milicja goni jakiegoś chuligana — trrr. Dzwonek i trzeba lecieć do chorego. A tutaj, dzieciak zaśnie, to z państwem możemy sobie siedzieć i spokojnie patrzeć.

W Krysi odezwał się ból, który już od dawna w sobie nosiła: „z państwem”.

Franek teraz już nigdy nie ogląda z nią telewizji, wychodzi z domu. Perspektywa wieczorów spędzanych przy telewizorze we dwie z tą tęgą jejmością wydała jej się dość koszmarna. Los chce w jej młodości umościć życie starszej, spokojnej kobiety. — Tylko się nie dać — postanowiła mocno. Będzie wieczorami chodziła do kina, do kawiarni. Ma przecież koleżanki i kolegów. — Co, u diabła, się z nią zrobiło? A wszystko przez niego, przez Misia. Spojrzała niechętnie na dziecko, które starało się nóżkę włożyć do nosa. Ale ponieważ w tym momencie, jak gdyby rozumiejąc jej nagły żal do niego, spojrzało na nią niebieskimi oczkami i uśmiechnęło się, więc od razu jej złość przemieniła się w czułość, porwała je w objęcia i zaczęła całować po wszystkich czterech łapkach.

— Mój Misiek! Moje szczęście!

— Miły dzieciak — pochwaliła go pani Józefa — i dobrze ułożony. A bardzo krzyczy po nocach?

— Owszem — przyznała szczerze Krysia — jak to dziecko, ma dopiero pół roku.

— Piękny wiek! — powiedziała poważnie i jak gdyby z odcieniem zazdrości Józefa. — Może się wydzierać, ja w szpitalu to do krzyków chorych byłam przyzwyczajona. A niech się drą — myślałam sobie — a ja muszę się wyspać.

Krysia spojrzała na nią z pewnym niepokojem. — Ale nieraz będzie pani musiała w nocy, gdy wrzeszczy, wstać i przewinać go.

— O ile się przebudzę — odpowiedziała i uśmiechnęła się, co nie ozdobiło bynajmniej jej dużej, nalanej twarzy. — No, to ja teraz pójde do koleżanki po rzeczy. Do widzenia państwu, wróce za godzinę.

Gdy odeszła, Krysia rzuciła się na fotel i rękami ścisnęła głowę.

— Nie wiem, czy ja z tym babsztylem wytrzymam — spojrzała pytająco na męża. — Cóż za straszne życie odsłania się przede mną.

Franek miał już ochotę powiedzieć: „samaś tego chciała”, ale żał mu się jej zrobiło. Odrobina serca jednak się w tych egoistach kołacze. Objął ją ramieniem, pogładził po głowie i pocałował w czoło. Od razu zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciągnęła jego twarz do swojej i pocałowała w usta. Wysilił się również na pocałunek gorący i wnikliwy. Świnia jestem — pomyślał uczciwie.

— Nie idź dzisiaj nigdzie na noc — poprosiła. — Śpij ze mną... tak jak dawniej. Taka jestem stęskniona...

Moment wahania, który wyraźnie odbił się na jego twarzy. Niepokój w oczach, lekkie skrzywienie ust, ściągnięte brwi.

— Małego damy do kuchni, będzie spał razem z tą, z tą... babą — rzekła.

— No, niech ci będzie. Ale muszę zatelefonować do kolegi, żeby na mnie nie czekał, nie niepokoił się...

— Przecież mówiłeś, że on nie ma telefonu.

— Poproszę sąsiada, aby go zawiadomił — skłamał. — Albo wiesz co, wpadnę do niego i powiem, że nie będę dzisiaj u niego nocował.

— I nie wrócisz... Już ja cię znam.

— Wróce za pół godziny, przysięgam. Skoro ci raz obiecałem.

Wrócił rzeczywiście po trzech kwadransach, zły, naburmuszony, powiedział: — Nie będziesz miała ze mnie żadnej pociechy, bo mnie łeb potwornie boli.

Wypił kilka szklanek herbaty z cytryną i od razu położył się na ich wspólnym szerokim tapczanie, okrył się kołdrą po szyję i zasnął. Pani Józefa przyszła, taszcząc ciężką walizkę.

— Dzisiaj jest pan „Baron” w telewizji, będziemy patrzeć, a ja się później rozpakuję.

— O nie, moja pani Józefo — rzekła stanowczo Krysia. Mowy nie ma! Pan już zasnął, nie można go budzić.

— Ojej — martwiła się — to ja chyba pójde do koleżanki, której państwo mają telewizor. Oni mieszkają niedaleko. Nie mogę opuścić pana „Barona”.

— No, niech pani idzie, tylko proszę po tym wejść cichutko, dam pani klucze. Dziecko będzie spało z panią w kuchni.

\* \* \*

Pani Józefa miała, jak każdy człowiek, wady i zalety. Chodzi zawsze tylko o to, aby wady nie były większe od zalet i nie zasłaniały ich. Józefa była czysta, schludna i pracowita, ale lubiła dużo gadać, co było bardzo męczące, no i, co gorsza, miała tak kamienny sen, że wrzask zasiusianego niemowlęcia był dla niej tym, czym dla kogoś innego ciche kapanie wody z nie dokręconego kurka. Czasem przyśniło się jej coś okropnego i nagle zaczynała krzyczeć i bełkotać niezrozumiale. Franciszek chodził więc dalej na noc do „kolegi”, a biedna młoda matka zasypiała nad ranem po kilku nasennych proszkach. Zaczęła czuć się bardzo źle i nawet kilka razy na ulicyomalże nie zemdląła.

— Musi pani wyjechać gdzieś na urlop, zmienić otoczenie — zaordynował lekarz.

Ach, z tą „zmianą otoczenia”, którą zawsze zalecają lekarze. Mężowie sami to sobie zapisują. — Wiesz — mówią żonom z ciężkim westchnieniem — jestem w y k o ń c z o n y, muszę zmienić powietrze i o t o c z e n i e. Postaram się o urlop i wyjadę gdzieś... w góry... lub nad jeziora...

I zmieniają otoczenie. Jadą z kociakiem na urlop, a żonę zostawiają z dziećmi w domu. Wracają zwykle w cudownej formie. — Wiesz — mówią do żony — nie tylko to górskie powietrze mi tak dobrze zrobiło, ale zmiana otoczenia. Czuję się jak odrodzony...

Krysia zdawała sobie sprawę, że jeżeli nie wyjedzie natychmiast, nie zmieni trybu życia i atmosfery — to... rozchoruje się ciężko i pójdzie do szpitala. Ale jakżeż to dziecko zostawić pod opieką tej obcej osoby?

— Możesz wyjechać śmiało — rzekł ciepłym tonem Franek — przysięgam ci, że będę się w miarę możliwości opiekował Miśkiem, zresztą Józefa jest, zdaje się już do niego przywiązana. Lubi go, bawi się z nim, gimnastykuje malca.

Tego właśnie Krysia najbardziej się obawiała, pani Józefa, wiedząc, że tak z dzieckiem należy robić, stawiała go na główce, wywracała na brzuszek, zginała mu nóżki i energicznie wyprostowywała. Miętoszyła, masowała.

— Jeszcze mu pani coś zrobi! Niech pani przestanie.

— Do dziecka się godziłam i wiem, co mam robić, widziałam, jak koleżanki w szpitalu położniczym postępują z niemowlętami. To jest, proszę pani, ciasto, z którego trzeba dopiero wyrobić człowieka. Pani się na tym nie rozumie.

Najgorszą z wad Józefy było plotkarstwo. — Pani wie, ci tam na górze tak się sprzeczą, on ją leje, że strach! Takie to teraz są te ludzie, proszę pani. Na bani wraca co wieczór i leje żonę. A jak się wyraża, powiem pani, jak on do niej mówi...

— Nie chcę, nie chcę słyszeć, pani Józefo, i nic mnie to nie obchodzi.

— Wczoraj, jak szłam po zakupy, to widzę, jak wychodzi z windy, twarz sina, oko zapuchnięte, czoło obandażowane. Mówię do niej: „Pani sąsiadko, a cóż to

się pani stało? Pirat drogowy na panią najechał, czy co?” Ja dobrze wiedziałam, że to jej mąż, ale naumyślnie ją podpuściłam. „A to łajdak dopiero” (niby ciągle o tym piracie) — a ona na to, mówię pani, jak na mnie nie wsiądzie: „A cóż to panią obchodzi, pilnuj pani swojego nosa, do spraw innych się pani nie wtrącaj. Bezczelne te ludzie teraz, tylko by się innymi zajmowali”. Taka baba, cholera! Już jej nie żałuję, niech ją mąż leje!

— Dobrze tak Józefie — powiedziała Krysia — nie trzeba się wtrącać.

— A jeśli ją ten łajdak zamorduje?

— To go wsadzą do więzienia — odparła Krysia i aż się sama zdziwiła, że nieszczęścia ludzkie przestały ją zupełnie interesować. Miała dość własnych kłopotów.

— A gdzie to nasz pan tak wieczorami chodzi? — zapytała ją kiedyś Józefa.

— Do kolegi nocować, bo dziecko mu nie daje spać. Pan ciężko pracuje. . .

— Ale czasu na bieganie z dziewczynami to ma dość.

— Jak Józefa śmie!

— Lepiej, żeby pani wiedziała. Kiedyś, gdy szłam wieczorem po zakupy, to zobaczyłam pana, jak właśnie pod rękę szedł z jakąś pannicą do kina.

— To nie był pan! — wykrzyknęła Krysia zdławionym głosem. — Musiała się Józefa pomylić.

— Oczy to ja, proszę pani, mam mimo moich lat. Szedł jak ta lala wysztafirowany, a u ramienia wisiała mu taka, że się wyrażę, dziewczucha, wpatrzona w niego jak w słońce. Odwróciłam głowę, aby mnie nie poznał, zresztą wstyd mi było za niego, że taki inteligentny człowiek, a tak nieładnie postępuje.

— Proszę bardzo, niech Józefa pilnuje swojego nosa i dziecka, a do naszych spraw się nie wtrąca. Znam tę panienkę, to siostrzenica naszego pana.

— Taka przytulona do wuja? Ja tam nie wierzę w to, co pani mówi. Ja to tylko z dobrego serca donoszę, com widziała, aby się moja pani miała na bacności. Te chłopcy wszystkie to łajdaki i łobuzy. Dlatego też panienką została. Przyjdzie taki na bani, żonę zleje, a potem się jej do łóżka z butami pakuje. Najlepiej to człowiekowi samemu na świecie.

— Niech Józefa przestanie już gadać głupstwa. I proszę z żadnymi takimi wiadomościami do mnie nie przychodzić. A nawet gdyby sobie nasz pan z jakąś sekretarką czy maszynistką poszedł do kina, to cóż w tym złego?

— Pewnie — odparła rozżalona. — Wolno panu, jako panu, a mnie, biednej pomocy do dziecka, nie wolno się do państwa wtrącać — wysiliła się na łzę, która jej się zakręciła w oku. — Dobrze, już nigdy nie powtórzę ani tego, co pan do tej dziewczyny mówi przez telefon, gdy pani w domu nie ma, ani gdzie pan nocuje i u kogo? Pary już z ust nie puszczę.

— No, więc u kogo nocuje? — zapytała niby to obojętnym tonem Krysia.

— U dziwki, i wiem gdzie, ale już więcej nie powiem!

Odeszła szumiąc białym fartuchem.

\* \* \*

Chorzy na raka chcą wierzyć, że wypadek nie jest groźny, że nowotwór nie jest złośliwy, że się da zoperować i nie będzie przerzutów. Podobnie dzieje się ze zdradzoną żoną, która przywiązana jest do swojego męża jak chorzy do życia. Stara się nie wierzyć, że choroba jest śmiertelna, nieuleczalna. . . I tak jak chorzy na raka czepiają się każdego pocieszającego słowa lekarza — tak ona chwytła się kłamstw męża, aby tylko uwierzyć, że nie jest jeszcze tak źle, że to się da wyleczyć.

— Wiem, Franciszku, że mnie zdradzasz.

— Zwariowałaś? Jaa?

— Wiem wszystko. Dowiedziałam się, że ten kolega, u którego nocujesz, to młoda dziewczyna.

— Kłamstwo! — wykrzyknął szary na twarzy.

— Niestety, prawda, widziano cię, jak szedłeś z tą . . . tą lafiryndą do kina, no i jak potem poszedłeś z nią do jej mieszkania. . .

— Wszystko kłamstwo i nieprawda — rzekł ostrym głosem — jakaś plotkara nagadała ci głupich i nieprawdziwych plotek, a ty jej wierzysz. Jak chcesz, to ci przyprowadzę tego kolegę, u którego nocuję, i on ci powie prawdę.

— Nie pragnę oglądać przyjaciółek mego męża — rzekła z godnością Krysia i wyszła z pokoju.

Z niepokojem i żalem w sercu wyjechała do Krynicy, gdzie miała już zamówione miejsce w sanatorium. Kobiety chodzące z nią na zabiegi zwierzały się innym ze swoich ciężkich schorzeń i operacji kobiecych — jak mężczyźni mężczyznom opowiadają o kontuzjach i ranach odniesionych podczas wojny.

Opowiadały dokładnie i ze smakiem o tych swoich babskich przejściach, o tych krwawych dziejach, które kobiety tak często przechodzą — jak gdyby to był odwet losu, że ich nikt na wojnę nie werbuje, że im to nie grozi. Krysia słuchała tych wstrząsających wyznań ze zgrozą i obrzydzeniem i marzyła o mężczyznach, a właściwie o jednym, tym własnym, chociaż własność to rzecz taka względna. . . Wszystko czyha na to, co posiadamy: na mieszkanie — złodzieje, na własnego męża — złodziejki. Nic nie jest stabilne, nasze — poza doznaniem złymi i dobrymi do końca życia.

Poczuła się wobec tych biednych żołnierek, tak ciężko kontuzjowanych przez kobiecy los, człowiekiem zdrowym, pełnowartościowym i dopiero zaczynającym żyć pełnią kobiecego życia.

Często telefonowała do domu — czy chłopak zdrowy, czy mu czego nie brakuje? Zwykle odpowiadał jej głos pani Józefy.

— Co by miał być niezdrow, proszę pani. Już ja się tam dobrze nim opiekuję, może być pani spokojna. Śmieje się teraz łobuz. A mądre to!

— A co pan? — pytała.

— Pana to prawie nigdy w domu nie ma. Ma inne zajęcia — dodawała złośliwie.

Wówczas Krysia zawieszała słuchawkę i szła na spacer.

Jej figura zaczęła znów wracać do dawnej formy. Z pełnym zadowoleniem spoglądała w lustro. Omdlenia i osłabienia minęły po dwóch tygodniach. Gdy mnie Franek zobaczy w takiej znakomitej formie, to się we mnie na nowo zakocha. . .

Niestety, z kobietą jest jak z ulubioną płytą. . . Puszczą się na adapterze co dzień przez długi czas i wciąż się podoba. Nagle, któregoś dnia, sprzykrzy się i ta melodia, i słowa piosenki wciąż te same, i nakłada się inną płytę. . . To zdanie przeczytała kiedyś Krysia w jakiejś noweli. Ale dlaczego kobietom nie przykrzy się płyta zwana „mężem”? Może oni się tak nie starzeją, może mają kilka nagrań na jednej płycie? Może należałoby przeistoczyć się w taką wielonagraniową? Zmienić sposób bycia, ubrania, uczesania — jednym słowem, zaśpiewać inne, nie ograne piosenki.

\* \* \*

— Nawet dobrze wyglądasz — powiedział Franciszek. — Poprawiłaś się.

Pocałował ją w policzek, potem w rękę. Wydawało się, że wszystko się znów między nimi naprawiło.

Misiek już spał. Był rumiany jak jabłko, jasne włosy przylepiły się do czoła.

— Niech go pani nie budzi — ostrzegawczo rzekła Józefa. — Przed chwilą dopiero zasnął.

Usiedli we dwoje do nakrytego stołu. Franek przygotował wędliny, ser, butelkę zubrówki. Nalał dwa kieliszki, podniósł swój do góry i powiedział: — No, twoje zdrowie, Kryśka! — Potem rozmawiali o jej pobycie w Krynicy, Krysia podniecona opowiadała mu o swoich współpacjentkach. Był raczej poważny i tylko wciąż nalewał wódkę do kieliszków.

— Słuchaj, Kryśka — rzekł nagle i bez wstępów. Musimy się rozejść.

Miała takie uczucie, jak gdyby leciała w przepaść, a przecież siedziała dalej i tylko spoglądała na niego oczami kogoś, kto już widzi nieuniknioną katastrofę. Samochód wpadł w poślizg i wali się na drzewo. Za chwilę może już nie będzie żyła albo „umrze w drodze do szpitala” — jak to później relacjonują w gazetach.

— Jak to. . . rozejść?

— No, po prostu, zakochałem się i jestem na tyle uczciwy, że muszę ci to powiedzieć. Napij się! — znów nalał wódkę i spoglądał na nią wyczekująco.

— Ja ci rozwodu nie dam — rzekła sucho, twardo i stanowczo. — Masz dom, dziecko, obowiązki. Nie możesz mnie zostawiać samej.

Milczał, co było gorsze niż słowa.



Krysi zrobiło się nagle niedobrze i szybko, z chustką przy ustach, dławiąc się, pobiegła do łazienki.

— Biedaczka — rzekł pocziwie potworek — wódka ci źle poszła. Przykro mi, ale widzisz, lepiej od razu postawić sprawę jasno. Zanadto cię lubię, abym miał cię oszukiwać. Między nami wszystko się skończyło.

Och, te małżeńskie „kobry”, równie straszne, choć bez pościgu milicji. Mąż pijak wraca do domu, zataczając się i tocząc wokoło przekrwionymi oczami. Bije żonę do nieprzytomności. Gdy nie bije, truje. Podsuwa jej silną dawkę trucizny i spokojnie spogląda, kiedy i jak zacznie działać.

— Krysienko! Co ci jest? Taka jesteś zielona! Znowu będziesz rzygać! Chcesz wody?

— Nieee... nie... daj mi spokój — trucizna działa. I nagle zdrowa reakcja. Dawka nie była śmiertelna. — Ach, ty, ty łajdaku!

— Dlaczego zaraz „łajdaku”. Ty rozerwałaś nasze małżeństwo tym pomysłem z dzieckiem. Samaś do tego doprowadziła.

— Już, już... nic nie mów. Wszystko, co mówisz, jest takie nieludzkie. Nie chcę cię więcej widzieć! Idź sobie ode mnie jak najprędzej!

— Już to zrobiłem — mówi Franciszek spokojnie, zapalając papierosa. — Przeniosłem wszystkie moje rzeczy do Eli. Ale nie martw się, będę płacił na dziecko alimenty, połowę moich zarobków. Zostawię ci mieszkanie, wszystkie meble, telewizor — zrozum, że ja nie wiedziałem, że to się przerodzi w taką obustronną miłość. My się naprawdę kochamy i nie możemy żyć bez siebie. Nieuczciwie byłoby z mojej strony nie dać jej nazwiska, męskiej opieki. To takie dziecko, kończy dopiero dwadzieścia lat... Ty wiesz, jak musieliśmy kłamać w kamienicy, gdzie ona mieszka, że jestem jej bratem, który wrócił z zagranicy i nie ma się gdzie zatrzymać. Bohatersko to znosiła, bo mało kto w to wierzył.

Krysia słuchała już obojętnie tej gadaniny. Samochód się rozbił, ale ona ocalała i będzie musiała żyć dalej. Kierowca zginął. Kierowca, czyli w tym wypadku mąż. Nie ma go już. Jakiś obcy człowiek siedzi na jego miejscu i zatruwa ją jakąś idiotyczną gadaniną. Jego słowa ledwie do niej dochodzą. Czuje się jak po silnym szoku. Obcy człowiek coś plecie o meblach, o telewizorze, o alimentach... Nieważne. Ważne jest to, że był mąż, byli ONI — a teraz go nie ma i jest okropna pustka. Dziecko? Ukochany Misiek? Ale czy dziecko może kobiecie zastąpić mężczyznę? Trzeba będzie postarać się o innego. Ale to nie takie łatwe i proste... Szkoda Franka, choć nie był ideałem męża. Smutne, że już nie żyje!

\* \* \*

Krysia napisała list do teściowej, która była kierowniczką Biblioteki Miejskiej w jednym z miast na Śląsku, o tym, co się stało, i żeby natychmiast przyjechała.

Była z nią w serdecznych stosunkach i nie było między nimi normalnych kwasów, jakie zwykle bywają między teściową i synową. Przyjechała natychmiast. Dzwonek i do przedpokoju wtoczyła się osoba jak gdyby watowana. Cała jej postać, mała i przysadzista, wyglądała, jakby ją ktoś sztucznie napchał watoliną. Do tej pulchnej figury nie pasowała czerstwa, młoda twarz o żywych, ciemnych oczach i srebrnej, krótkiej czuprynce. Zrzuciła z siebie płaszcz z futrzanym kołnierzem i usiadła na krześle, aby zdjąć botki. Przeszkadzały jej w tej czynności olbrzymie piersi i brzuch.

— Ufff! — stęknęła — zmęczyłam się. Najpierw pokaż wnuka!

Krysia wzięła na ręce Miśka, który leżąc przebierał nóżkami, jak gdyby wprawiał się do jazdy na rowerze, i z dumą pokazała go teściowej. Spojrzała na niego okiem hodowcy.

— Owszem, udany dzieciak. A ile waży?

— Ma dopiero pół roku, a waży już osiem kilo.

— Wcale nie tak dużo. Czy już siada?

Krysia wolałaby już przestać mówić o synku, a zacząć istotną rozmowę o ich zerwanym małżeństwie. Ale teściowa, która sama odchowała czworo dzieci, była w swoim żywiole. Rozpoczęła fachową rozmowę z panią Józefą o odżywianiu dziecka. — Trzeba mu dawać owsiankę — rzekła poważnie jak hodowca do hodowcy — z tartymi jabłuskami, mlekiem i cukrem, to wspaniała odżywka. Czy ssie palce?

— Tylko kciuk prawej rączki wsadza do buzi, gdy zasypia, a tak nie.

— Wystarczy. Trzeba sprawdzić, czy nie ma robaków.

— Mamo, chciałabym z mamą wreszcie porozmawiać o Franku.

— Mamy czas, zostają do pojutra. Jest blady i nalany, za mało przebywa na powietrzu. Jeździ z nim pani codziennie na spacer? — zwróciła się znów do Józefy.

— Codziennie wyjeżdżam z nim na spacer do parku, gdy jest pogoda.

— To mało. Balkon macie?

— Jest. Nawet dosyć duży.

— Dzieciak powinien cały dzień przebywać na balkonie, nawet gdy jest mróz. Opatulić go porządnie, położyć do wózek i na balkon.

Józefa spojrzała z szacunkiem na tego specja od hodowli dzieci. To nie to, co jej pani, która tyle zna się na dzieciach, co ona na przykład na obrazach. Słynne było powiedzenie Józefy o obrazach ojca Krystyny, który był znanym portrecistą i kilka pięknych jego prac wisiało w mieszkaniu córki. Na pytanie, jak się jej podobają te portrety, odpowiedziała:

— Portretów to tu nijakich nie ma, tylko same landszafty. Te nowoczesne metody, aby dzieci trzymać podczas mrozów na balkonie, nie znalazły jednak u niej aprobaty. — Znałam jednych państwa — rzekła zwracając się do teściowej —

którzy też tak dzieciaka na dworze trzymali... i na mózg mu padło, inteligencja mu zamarła i głupi już był do końca.

— To nie z tego — krótko ucięła teściowa. — Proszę nam zaparzyć dobrej herbaty — rozkazała. — Tylko mocnej, bo słaba mi szkodzi. — Z trudem zaczęła swoją watowaną postać wciskać do nowoczesnego fotelika.

— Och, te wasze meble na miarę kociaków — stęknęła. — No więc mów, moja Krystyno, co mi masz do powiedzenia. Albo lepiej ja ci powiem. Nie umiałaś utrzymać przy sobie męża!

— Masz ci los! — stęknęła Krystyna i klasnęła w dłonie. — Mama jak wszystkie teściowe, jak gdyby mama nie wiedziała, że mąż to jak kot — wychodzi z domu, kiedy i gdzie mu się podoba.

— Ale gdy mu jest dobrze, to wraca. A jemu widocznie w domu było źle, nie umiałaś dbać o niego.

— Przecież mama wie, że ja mam swoje zajęcie, jestem artystką... graficzką.

— Trele-morele. Tak wielką artystką znowu nie jesteś, moje dziecko, i powinnaś mu była umościć takie gniazdko, aby się dobrze w nim czuł i nie szukał innych gniazdek i innych samiczek.

— Mama przemawia teściowymi schematami — rzekła z goryczą Krysia — a nie wie, że on nie mógł znieść wrzasków Misia po nocach i od początku uciekał nocować do jakiegoś niby to „kolegi”.

— Trzeba się było od początku na to nie zgodzić. Płakać, awanturować się. Ty nie wiesz, że oni awantur i łez żony boją się jak niektóre żony ich pięści. Wymówki, awantury i beki — to nasza broń kobieca na tych łajdaków. Bardzo tego nie lubią, wierz mi. Miałam dwóch mężów i oni bali się mnie jak ognia. Znali mores. Wiedzieli, co się będzie działo, gdy będą gdzie indziej nocowali niż w domu. Dzisiejsze żony na wszystko się zgadzają jak te głupie barany. A ja, proszę cię, z miotłą w nocy stałam przed drzwiami i jak mi taki przyszedł nad ranem zalany, to ja go tą miotłą ciach przez łeb. Tak mu to zaimponowało i tak się nastraszył, że to się już nigdy więcej nie powtórzyło. A garnek z wodą chlusnąć na zalanego — nie łaska? To są, proszę cię, zwierzaki, a na zwierzaki działa tylko karcenie ich tym czy innym sposobem. Muszą się nas bać, rozumiesz?

— Mama to by się nadawała na pogromcę dzikich bestii — roześmiała się Krysia.

— Żebyś wiedziała. Ja tylko boję się Boga. Kiedyś na ciasnej ulicy, wieczorem, jakiś chuligan chciał mi wyrwać torebkę, to tak go zdzieliłam parasolką przez łeb, że umknął jak niepyszny.

— A gdyby mama nie miała przy sobie parasolki?

— To miałabym łaskę. Gdy mnie gnębił ten reumatyzm w nodze, zawsze chodziłam z łaską. Zdumiewa mnie, że teraz, w tych chuligańskich czasach, ludzie nie noszą łasek z grubą, ciężką gałką, jak dawniej. Powiedz temu swojemu gagatkowi

mężowi, żeby o tym coś napisał w ich gazecie. No i na rozwód bezwarunkowo zgodzić się nie powinnaś.

— Ja się też, moja mamó, nie zgodziłam, ale przecież gdy mnie nie było, gdy przebywałam w Krynicy, to on już się z wszystkimi rzeczami przeniósł do tej... do tej kurewki. Cóż mogę zrobić — zaplotła ręce na kolanie i spuściła głowę. — Zresztą, mamó, ja go nie kocham... dla mnie on już umarł... zginął w katastrofie... małżeńskiej.

— Trele-morele. Macie dziecko, macie dla kogo żyć, zarabiacie oboje dostatecznie. Miłość! A któż to widział miłość w małżeństwie? Jeden wypadek na sto. Małżeństwo to spółka działająca dla wspólnego życiowego interesu. Już ja jutro z tym łobuzem porozmawiam.

— Naprawdę mamusia to zrobi?

— A po cóż mnie sprowadziłaś? Chyba tylko po to. Nie wierzę w te twoje literackie: „ja go już nie kocham”, „on dla mnie umarł”, „zginął w katastrofie małżeńskiej”; tere-fere, babuleńku. Kochasz go do białości, spójrz na twoją twarz — maska. Nalej mi jeszcze herbaty, bo mnie zdenerwowałaś. Aha, przywiozłam placki z kruszonką, domowej roboty, sama piekłam. Są w torbie w przedpokoju. Przynieś, bo mi się tak trudno ruszyć, przekłete te modne foteliki.

Krysia wstała i pocałowała puchatkę w czoło. — Mamusia jest cudna, niezrównana! Och, gdyby on był taki!

— Toby nie był mężczyzną — odparła logicznie. Krysia przyniosła ciężką ręczną torbę.

— A to są jabłka z mojego ogródka. Małemu, pamiętaj, co dzień tarte jabłuszko i tartą marchewkę.

— Dostaje — odparła Krysia i zapaliła papierosa, podsunęła teściowej pudełko damskich. — Mamusia zapali?

— Ja takiego śmiecia w kartonie nie palę. Mam swoje sporty.

Wyciągnęła z torebki pudełko sportów, których machorkowa woń momentalnie rozeszła się po pokoju.

— Nie szkodzą mamie te śmierdzenie?

— Najzdrowsze — odparła jak wszyscy amatorzy sportów.

— No więc, co by mama zrobiła na moim miejscu. Bo te gadki o miotle i garnku z wodą na głowę to nieistotne. Może w dawnych czasach, ale nie dzisiaj, dzisiejszy mąż, gdyby żona tak postąpiła, toby ją chyba zbił na śmierć. Nie czyta mama co dzień prawie w pismach, że mąż zakatował żonę na śmierć.

— To pijacy. Ale przecież Franek nie jest pijakiem.

— Na trzeźwo też potrafią. Instytucja małżeńska, moja mamó, splajtowała po wojnie... N i e a k t u a l n a.

— Wina ciasnych mieszkań — odparła teściowa zaciągnawszy się głęboko smrodliwym dymem. — Co bym zrobiła? — powtórzyła i zamyśliła się.

— Gdyby mi bardzo na chłopie zależało, tobym się sama ulokowała w kuchence, a jemu oddała pokój.

— A mama myśli, że ryki Misia nie dochodziłyby do jego uszu? On ma wrażliwy sen i kocha spać. A czy mama zrobiłaby sobie skrobankę dlatego, że mąż sobie nie życzy mieć dzieci? Jak mamusię znam, to na pewno nie.

— Moja Krystyno. W czasach, w których byłam młoda i miałam męża, dziecko nazywało się „błogosławieństwem”, a ciąża „stanem błogosławionym”. O żadnych pozbywaniach się płodu nie mogło być mowy. Chyba u pań z „półświatka”. I dziwię się, że mój syn mógł tego od ciebie żądać. Po pierwsze grzech, a po drugie świństwo. I dobrześ zrobiła, żeś się na to nie zgodziła. Ale widzisz, moje dziecko, są te... kalendarzyki, które nawet Kościół popiera te daty, no już wiesz. Co ci mam tłumaczyć. No i środki zapobiegawcze. Powinniście byli o tym pamiętać, póki nie otrzymacie większego mieszkania.

— Czy to znowu moja wina? — jęknęła Krystyna i dłońmi ścisnęła czoło.

— A pewnie, że twoja. Ty byłaś panią domu i wszystkim ty powinnaś zarządzać... nawet... no, ale już nie precyzujemy. Stało się.

Położyły się obie spać na małżeńskim tapczanie. Teściowa umyła się dokładnie, nałożyła dziewczęcą koszulkę w kwiatki, pod którą kolebały się jej bujne okrągłości, i bardzo szybko zasnęła.

\* \* \*

Pani bibliotekarka poszła nazajutrz do syna do redakcji czasopisma, w którym pracował. Już po jej naburmuszonej twarzy i surowym wzroku poznał, że rozmowa nie będzie dla niego przyjemna. Udawał radość i miłe zdziwienie z powodu nagłego jej przyjazdu.

— Krystyna cię sprowadziła, ażeby się przed tobą wyżalić, tak?

— Mniejsza z tym, kto mnie sprowadził. Mam z tobą, synu, do pogadania.

— Tylko nie tu. Poczekaj, zaraz wyrwę się na chwilę z pracy i pójdziemy do kawiarni na dole.

— Co ty narozrabiałeś, Franciszku — zaczęła surowo, gdy zasiedli w kawiarni przy stoliku.

— W mamy wieku nie rozumie się tych rzeczy... chociaż — dodał dowcipnie — mama jest nad wiek rozwinięta. Po prostu zakochałem się...

— I myślisz — zapytała z niepokojem — że ci to nie przejdzie?

— Gdybym otrzymał rozwód od Krystyny i ożenił się z tamtą, toby mi może przeszło. Małżeństwo przynosi pecha miłości...

— Krystyna ci rozwodu nie da, powiedziała mi to.

— Tym gorzej dla niej, bo gdybym się z Elżbietą ożenił, toby mi się pewnie sprzykrzyła. Może bym wrócił z czasem do Krystyny, a tak to może trwać bardzo długo.

— Ale ognisko domowe to nie samochód, który się zmienia na nowy, gdy się nim dłuższy czas pojeździ.

— Nawet dobre porównanie zrobiłaś z tym samochodem. Mój stary wóz już źle chodził i... buczał — dodał z dowcipnym uśmiechem.

— Myślisz o dziecku, tak?

— Tak. To było nie do wytrzymania. Ja przy mojej umysłowej pracy muszę się wysypiać. Ostrzegałem ją, że w naszych warunkach mieszkaniowych dzieciak może rozbić małżeństwo. Ale skoro ona się uparła...

— Małżeństwa mają dzieci w jeszcze gorszych warunkach. Gdybyś ją naprawdę kochał, byłbyś to przetrzymał. Dzieci wrzeszczą do roku... do dwóch lat, a potem śpią spokojnie.

— Rok, dwa — powtórzył z ironią Franciszek. — Jak ja tygodnia z tymi rykami nie mogłem wytrzymać.

— A nie mogłeś się postarać o większe mieszkanie? Należy wam się, skoro macie dziecko.

— Rzadko kiedy otrzymuje się to, co się należy, zwykle, gdy komuś na czymś bardzo zależy, to sprawa leży — dodał i znów uśmiechnął się dowcipnie. Był jak widać w dobrym humorze. — Napijesz się mamó, winka?

— Napiję się — mruknęła. — Jesteś wstrętny, cyniczny i bez serca.

— Możliwe. Nie wiesz, że chłopcy, na ogół, to straszne łobuzy?

— Dranie, nie łobuzy — wybuchnęła. — Podłe dranie! Szkoda dla was kobiet.

— No, trudno, nic innego na to miejsce jeszcze nie wynaleziono. — Zamówił dwa kieliszki białego wermutu i dwie kawy.

— Cieszę się, mamó, że cię widzę w takiej formie, i przykro mi, że się tym wszystkim tak przejmujesz, szkoda twojego zdrowia. Sprawa mniejszej wagi, niż sobie wyobrazasz. Krystyna jest jeszcze dość młoda, przystojna, może sobie znaleźć faceta, przeprowadzi ze mną rozwód i wyjdzie drugi raz za męża. To są dzisiaj rzeczy na porządku dziennym.

— Chyba chcesz powiedzieć: „na nieporządku dziennym”. Straszny bałagan robicie z życia. Dawniej, gdy żona urodziła tylko dwoje dzieci, to mąż się martwił i wstydził, bo w innych domach było ich czworo albo pięcioro. A tutaj o jednego bębna tyle hałasu i kłopotu.

— Bo widzi mama — rzekł Franciszek popijając wino — wyrosliśmy z „dzieciństwa” w znaczeniu posiadania dzieci.

— Jacy „my”?

— My, intelektualiści.

— Twoja żona przecież też niby „intelektualistka”, a chciała jak normalna kobieta, mieć dziecko.

— Bo ona sama jest dziecinna — rzekł jak gdyby z odrobiną rozczenia. — Wpierw chciała mieć koniecznie pieska, nie zgodziłem się, bo kto miałby go prowadzić i opiekować się nim? Przecież nie ja! A potem bachora. Chcę mieć

kogoś — powiedziała, żeby się z nim móc bawić i figlować. No, więc ma, czego chciała, ze mną się zupełnie nie liczyła — dodał tonem pokrzywdzonego.

— Doskonale ją rozumiem — rzekła matka Franciszka, odstawivszy na bok swój nie dopity kieliszek. — Dorosły człowiek tęskni do czegoś mniejszego i głupszego od siebie, kogo by mógł wziąć w ramiona, posadzić na kolanach, pieścić go i rozkazywać mu. Dlatego właśnie trzymano na książęcych i królewskich dworach karzełki dla zabawy i również dlatego, aby poczuć swoją wyższość nad nimi. Potrzeba władzy — rozumiesz.

— Osoby panujące nie potrzebowały karzełków do zaznaczania swojej władzy, posiadały dosyć dworaków, którzy się przed nimi korzyli i spełniali kornie wszystkie ich rozkazy i zachcianki — odparł dość słusznie Franciszek.

— Ale dzisiejsza kobieta nie ma komu rozkazywać i nad kim panować, przecież służby na ogół nie posiada, a jeśli ma gosposię, to się jej boi i spełnia jej życzenia, aby, broń Boże, nie odeszła. A mąż przecież się zupełnie do tego nie nadaje. Nie zakazuje mu się i nie rozkazuje, co najwyżej prosi.

— No, chyba — odparł Franciszek i spojrzął na swoją rękę, czyli na zegarek. — Będę musiał, mamusi, wracać do redakcji. Mam pilną robotę.

— Zapłać i idziemy. Ale zapomniałam ci powiedzieć, że jesteś łobuz i łajdak! Nie opuszcza się żony dla jakiejś tam siksy, kiedy ona ma małe dziecko, a poza tym swoją zawodową pracę. To za wiele ciężarów na jednego. To jest... to jest nie po dżentelmeńsku. Właściwie to tylko to ci chciałam powiedzieć. — Z trudem zaczęła zbierać z krzesła swoje watowane kształty.

Uniósł jej małą, pulchną, trochę odmrożoną rękę do ust i pocałował spoglądając przymilnie w oczy.

— Mamusia jest cudna! Żeby żony były takie jak mama, to mężowie nigdy by od nich nie uciekali.

— A cóż ty masz do zarzucenia Krystynie? Dobra, porządna kobieta.

— Właśnie, że nieporządna. Mamusia nie ma pojęcia, jaki ona w domu potrafiła zaprowadzić bałagan. Strasznie nieporządna i niegospodarna.

— No, cóż chcesz, artystka — to słowo wypowiedziała z ironicznym uśmiechem. — A tamta? — zainteresowała się po babsku.

— Ela — cała twarz mu się rozjaśniła. — Ty sobie, mam, nie wyobrażasz, jaki u niej w tym jednym pokoiku z małą kuchenką jest porządek, jak w pudełeczku. A przecież też pracuje, prowadzi w naszej redakcji dział zagraniczny. Nie wiem, kiedy ona to wszystko robi. Ale przyjdiesz, wszystko posprzątane, stół czyściutko nakryty. Tu suróweczka, tam zielona sałata ze śmietaną. Idzie do kuchenki, zakłada fartuszek i tymi swoimi ślicznymi rękami, które wyglądają, jak gdyby nie potrafiły nic zrobić, na poczekaniu ugotuje jakąś smaczną zupkę...

— Pewnie z gotowych zup w paczkach.



— Nie wiem, do kuchni nie pozwala mi wchodzić. Potem usmaży befsztyczek albo kotlet wieprzowy. A jakie omlety potrafi zrobić. Nawet ty takich nie potrafisz.

— A więc stara historia. Przez żołądek do męskiego serca — westchnęła matka.

— Jasne — przecież serce i żołądek to najbliżsi sąsiedzi w organizmie ludzkim. Ludzie się myślą i nieraz bóle żołądka biorą za bóle serca, i przeciwnie.

— Biedna ta twoja żona — rzekła matka kierując się do wyjścia — mieć takiego dowcipnego męża, który jej robi głupie kawały. . .

— Więc widzi mamusia, Krystyna nie ma za grosz poczucia humoru.

— Czyli, uważasz, ona z tego, coś narozrabiał, powinna się śmiać, tak? Opuszczasz ją i dziecko, a ona powinna klepać cię po ramieniu i mówić: „Ale z ciebie, Franku, to urodzony satyryk”. Nie, mój drogi, takich żon nie ma na świecie. Gdzie jest zranione serce i ambicja, tam kończą się żarty. — Więc, mój drogi, bądź zdrowy. I dobrze się nad tym wszystkim zastanów. A dziecko powinienesz czasem zobaczyć, żeby się całkiem nie odzwyczaiło od ciebie. Przecież to twój syn.

— Jak najbardziej — roześmiał się. — Nawet do mnie podobny. No, to cześć, mama, i pokaż się znowu kiedy. Do widzenia i pozdrów ode mnie Krystynę.

\* \* \*

Po dwóch latach dopiero Krystyna zgodziła się na rozwód, wówczas, kiedy z jej miłości do męża zostało pogorzeliśko. Stał się jej najzupełniej obojętny. Franciszek z ochotą zgodził się, aby syn został przy niej. Mieszkanko kazała odmalować, kuchnię zamieniła na pokój dziecienny, obudowała piecyk gazowy, za kretonową firanką postawiła połówkę dla Józefa, a koło okna łóżeczko dziecienne, w którym sypiał Miś. Na ścianach porozwieszała konkursowe prace malarskie dzieci, aby Miś, budząc się, miał kolorowe i wesołe myśli. Zarabiała teraz dobrze, pracując przy filmowych kreskówkach, doszła do przekonania, że praca i zarobki mogą w dużej mierze zastąpić chłopa, kobieta jest wówczas niezależna, swobodna i spokojna. Miś, który już kończył trzy lata, był według zdania jego matki „dzieckiem nad wiek rozwiniętym”, a w rzeczywistości tylko najzupełniej normalnym, z tym, że wcześniej zaczął mówić. Po nocach już nie ryczał, czasem tylko budził się z płaczem. Krystyna pochylała się nad nim pełna niepokoju. — Co ci jest, skarbulku? . . . — Pani Józefo, czy on nie ma gorączki? — A może go brzusek boli? . . . — A może go ktoś urzekł, gdy byłem z nim w parku na spacerze? — mówiła poważnie Józefa. — Ja w to wierzę. Kiedyś, jak szłam w niedzielę taka wyszykowana do kościoła, spotykam jedną ze szpitala, patrzy na mnie jakoś dziwnie i mówi: „A pani Kmiec to coraz elegantsza, towar ma na sobie kosztowny, cała pani!” A mnie jak ci nagle brzuch rozboli! Ledwie do domu doszłam. Urok na mnie baba rzuciła!

Miś był rodzajem władcy i cały dom dostosowywał się do jego trybu życia i obyczajów. Aż dziwne, że Krysia nie mówiła o nim do pani Józefy „pan”. („Panu trzeba kupić kilo bananów”. „Proszę nie puszczać radia, pan będzie teraz spał”. „Proszę panu położyć na dnie nocniczka kolorowy obrazek, bo inaczej nie zrobi kupki”... etc.).

Los to raz dramaturg, raz komediopisarz, czasem pisze straszliwe „kobry”, a często grafomanie. Czasem w nieoczekiwany sposób spotyka ze sobą dwoje ludzi, aby ich w sobie rozkochać, a gdy mu się to znudzi, czyni tak, aby jedno od drugiego odeszło. Nieraz pisze tak zwaną powieść psychologiczną i wówczas komplikuje treść. Od pisarzy różni się tylko tym, że operuje żywymi ludźmi, a nie postaciami fikcyjnymi. Ustawia ich odpowiednio jak scenarzysta filmowy, a zarazem operator, i każe im mówić kwestie przez siebie skomponowane i działać według swojego planu. Tym tylko można tłumaczyć dziwne skojarzenia ludzi, niepodobnych do siebie ani zaletami, ani wadami, z zupełnie innych warstw społecznych, z odrębnymi zamiłowaniami. Jest niewyczerpany w pomysłach i zaskakujących sytuacjach.

Krystyna wracając z urlopu nad morzem, taszczyła do pociągu ciężką walizkę, jakiś młodzieniec wysoki, szczupły, w śmiesznym kapelusiku, wyrwał jej z ręki ten ciężar i uśmiechnąwszy się zapytał, do której klasy ma go zanieść. Powiedziała, że do pierwszej, i biegła za nim zdyszana, ponieważ szedł szybkim krokiem, nie oglądając się za nią, zupełnie jak zwykły tragarz. Usiedli oboje naprzeciwko siebie w tym samym przedziale. Teraz dopiero mu się przyjrzała. Ależ to chyba jest... — Znam pana z telewizji, pan jest Leszkiem Szarym. Widziałam pana ostatnio w Teatrze Sensacji.

Młodzieniec ożywił się i uśmiechnął się jak ktoś, któremu wspomniano o najdroższej osobie.

— Cieszę się, że jestem już taki popularny, że mnie ludzie poznają... Niestety, nie dają mi odpowiednich ról, mimo moich warunków wciąż gram jakieś ogony.

— Ja mam dużo znajomości w kołach filmowych — rzekła Krystyna. — Mnie pan nie mógł rozpoznać, bo ja się ukrywam w cieniu, za to dużo moich kreskówek idzie w kinie i telewizji.

— Doprawdy — ucieszył się. — Wiedziałem, komu zanieść walizkę — roześmiał się — chociaż to był przypadek.

— Ale również dowód niedzisiejszego dobrego wychowania — odparła.

— Mamusia wpoła we mnie od małego szacunek dla dam — czuło się, że pragnie, jak wszyscy aktorzy, mówić wyłącznie o sobie i wymaga tego samego od osoby, która z nim rozmawia. Krystyna, której przystojny chłopak bardzo się podobał, wyczuła to i zaczęła wychwalać jego grę.

— Pan ma rzadkie walory aktorskie, a mianowicie naturalną oszczędność gestów, no i... doskonałą dykcję...

— Prawda? — przytaknął naiwnie. — Jak się z panią przemiło rozmawia. — (Gdy mu jeszcze powiem — pomyślała rozbawiona Krystyna, że jest wybitnie przystojny, to gotów zauważyć moje nogi. . . ) Ale młodzieniec zdawał się być tak wpatrzony w siebie, iż nie zauważył wybitnie zgrabnych nóg Krystyny. Musiała mu się jednak podobać, kiedy zaproponował jej pójście razem do wagonu restauracyjnego. Zamówił zakąski i dwa koniaki. Z zapalem rozmawiali o filmach, o Mastroianim, Belmonte i innych. Zauważyła jednak, że gdy wychwalała polskiego aktora, Leszek jak gdyby udawał, że tego nie słyszy, i obojętnie spoglądał przez okno. Powróciła więc do jego osoby. — Muszę — rzekła — pogadać z reżyserami TV, aby panu wreszcie dali jakąś odpowiedzialną rolę. Pan się doprawdy marnuje. . .

— Pani jest szalenie inteligentna — wybuchnął. — Ja nie zwracam uwagi na te młode dziewczyny, bo zwykle są beznadziejnie głupie, dla mnie istnieje tylko kobieta dojrzała i mądra. Może nie być nawet specjalnie ładna.

To do mnie pite — pomyślała Krystyna i natychmiast zajrzała do lusterka w pudernicze. Wyglądała dobrze, oczy jej błyszcząły od koniaku, na opalonej twarzy zakwitły rumieńce.

— Napijemy się jeszcze po jednym? — zapytał Leszek Szary.

— Dobrze, ale teraz moja kolejka. Ja funduję. Był tak dobrze wychowany, że się nie sprzeciwiał. (Trzeba dalej rozmawiać o nim — pomyślała roztropnie Krystyna — bo inaczej oklapnie).

— Czy pan jest żonaty? — zapytała pudrując twarz.

— Byłem — odparł zapalając papierosa. — Moja żona to znana aktorka. . . musiała ją pani widywać na scenie w Ludowym. Ale cóż, ja byłem dla niej niczym — dodał z goryczą — myślała tylko o sobie, a mnie lekceważyła.

— Ja też rozwiodłam się z mężem — przerwała mu.

Ale on jak gdyby tego nie dosłyszał i ciągnął dalej: Widzi pani, żona musi, nawet gdy jest artystką, dbać o męża. A ja znałem dla niej tyle, co domowy piesek. Zostawiała mi mięso i zupę na miseczce, pogłaskała i biegła za swoimi sprawami. Nawet często mówiła do mnie: „piesku” albo „pieseczku”.

Głupi, ale uroczy — pomyślała Krystyna i uśmiechnęła się. — To nie ma znaczenia — rzekła. — Mój mąż wówczas, kiedy był we mnie zakochany, też mnie nazywał „pieseczkiem”. Gorzej jest, gdy przestają nas przezywać zwierzęcymi nazwami, jak „żabko”, „piesku”, „ptaszku”, a wołają na nas pełnym imieniem: „Krystyna — przedrzeźniała męża — muszę ci powiedzieć, że z tobą trudno wytrzymać!”

— To prawda — przyznał — gdy moja żona zaczęła do mnie mówić: Lesławie, to wiedziałem, że ma mi coś nieprzyjemnego do powiedzenia. Gdy mi wyznała, że kocha innego, to też nie zaczęła tego od „piesku”.

— No, widzi pan — roześmiała się Krystyna. Przyglądała mu się z uwagą. — A ja bym do pana mówiła raczej „kotku”. Pan ma coś kociego we wzroku, coś nawet drapieżnego.

— Prawda — ucieszył się. — Pani jest niesłychaną obserwatorką. Mam w sobie coś drapieżnego.

— Tak — podsunęła pochlebne Krystyna. — Coś z rasowego kota, takiego syjama.

— Właśnie — przytaknął — lubię, aby mnie głaskać, pieścić, poza tym przepadam za rybami i mlekiem w każdej postaci. Z panią się wyjątkowo miło rozmawia. Muszę do pani zadzwonić. Poproszę o pani numer telefonu.

Szybko nakreśliła na jego pudełku od papierosów swój numer.

— Pani mieszka sama czy z mężem? — zapytał.

— Mówiłam panu, że się z mężem rozeszłam. Mieszkam z synkiem i gosposią.

— Ja też mam dzieci — pochwalił się z miną małego chłopczyka, któremu dziewczynka chciała zaimponować, że ma pluszowego misia. — Dwie córeczki: Zosię i Iwonkę. Urocze dziewczynki. Jedna ma cztery lata, druga sześć. Zaraz pani pokażę ich zdjęcia. — Wyciągnął z portfela kilka fotografii i podsunął Krystynie. Oglądała je z udaną uwagą.

— Śliczne dziewczynki, a ta duża koło nich to kto? — Piękna dziewczyna!

— Eee, to nikt, to moja żona — rzekł niechętnie. — Jeszcze pokażę pani zdjęcia, gdy byłem w Szkole Dramatycznej. To ja jako Hamlet. Wspaniale wyglądam, prawda? A to ja jako Figaro, a tu znów ja w mundurze niemieckim. Paradny szkop, prawda? To z tego filmu Podziemie. Już jak ja zagram Niemca! — pokiwał głową z uznaniem.

Droga przeszła tak szybko, że Krystyna ze zdziwieniem ujrzała pierwsze oznaki zbliżającej się Warszawy.

Leszek Szary podskoczył na Dworcu Głównym do kolejki na postój taksówek. Znowu niósł jej walizkę.

— Podwiozę panią — rzekł, gdy już znaleźli się w samochodzie. — Dokąd?

Powiedziała swój adres. Gdy stanęli przed jej domem, młodzieniec też wysiadł.

— Mam niedaleko do domu — rzekł — pójde kawałek piechotą, tylko walizkę wniosę pani do windy.

— A może pan wstąpi do mnie na chwilę... Mam coś tam w lodówce... Napijemy się herbaty.

Zgodził się bez żadnych oporów.

Miś już spał. Pani Józefa również. Krystyna weszła cicho do kuchenki i szybko zorganizowała małą przekąskę, w lodówce miała jeszcze butelkę winiaku.

Na widok butelki kocie oczy Leszka zamigotały.

— Pani jest wspaniała! — nareszcie nie powiedział czegoś o sobie. — Dziwię się, że pani mąż mógł porzucić taką kobietę!

— To ja go porzuciłam — skłamała. — Strzał! — podniosła swój kieliszek do góry. — Na cześć naszego poznania!

Po czwartym kieliszku Leszek przestał mówić o sobie, zaczął ją całować. Krystyna przymknęła oczy. Poczowała się jak na plaży w słońcu i jak na plaży przed wskoczeniem do morza. Zrzucili z siebie szybko ubranie i padli oboje bez słowa w miłosne zapomnienie.

— Och — rzekł Leszek, gdy trochę zdziwieni tą nagłą przygodą oprzytomnieli i jak Adam i Ewa w raju po zjedzeniu zakazanego owocu ujrzeli, że są nadzy. — Pani się nie gniewa, prawda? Ale doprawdy, był taki nastrój...

— Kochany — szepnęła bardzo kobieco i pogłaskała go po ciemnej czuprynie. — Kiedy znowu przyjdiesz do mnie?

— Zadzwoń — odparł krótko i zaczął się szybko ubierać. — Obejrzał się krytycznie w ręcznym lusterku. — Czy wyglądam na zlumpowanego? — zapytał. — Jutro o dziewiątej mam próbę.

— Poczekaj, mały — rzekła ciepło — zetrę ci ślady mojego rózu na szyi.

— No, to cześć — powiedział, gdy był już ubrany. — Buźka! — zaproponował na pożegnanie i zrobił z ust dzióbek. Pocałowała go delikatnie, aby nie myślał, że ma do czynienia z jakąś roznamiętnioną wydrą, i zamknęła za nim drzwi.

Zadzwoił po tygodniu i przyszedł późnym wieczorem. Długo rozmawiał i opowiadał o swoich teatralnych planach na przyszłość, a mądra Krystyna słuchała, wpatrzona w niego jak w słońce, i nie odezwała się ani słowem. Potem napili się i milcząc zaczęli się rozbierać.

— Prawda, że jestem pięknie zbudowany? — rzekł Leszek stając przed nią w całej swej młodzińczej urodzie.

— Wspaniale! Jak Apollo.

— A propos — rzekł. — W kinie „Apollo” wyświetlają film, w którym ja gram małą rolę. Musisz pójść zobaczyć.

— Pójdę — obiecała i pocałowała go.

Była już zakochana w nim jak nastolatka i postanowiła zdobyć go sobie na długo — na — jak najdłużej.

Zacząła tak gorąco wychwalać jego zdolności przed znajomymi filmowcami, że dano mu w kilku filmach niewielkie role.

Leszek z wdzięczności obcałowywał ją całą, gorąco i namiętnie.

— Nie mam gdzie mieszkać — poskarżył się któregoś dnia. — Kolega, u którego mieszkam, żeni się.

— Mój biedaczku — rozczuliła się. — To wiesz co, przenieś się do mnie.

— Fajno! — ucieszył się. — Świetna myśl. Od jutra przytaszczę rzeczy.

I od tego zaczął się drugi rozdział w życiu Krystyny pod tytułem: „Krystyna i chłopcy”.

Miły Leszek od razu zaprzyjaźnił się z Misiem. Nosił go na plecach i prowadził z nim śmieszne dialogi, które jego mamę wprowadzały w zachwyty. Była

szczęśliwa i bardzo owym szczęściem zaniepokojona. Bo przecież znając życie, wiedziała, że taka słoneczna pogoda musi się zmienić na gorszą — no, ale na razie...

— Czym chciałbyś być, jak dorośniesz? — zapytał się Leszek Misia.

— Zgadnij! — zawołał chłopak.

— Lekarzem?

— Też coś!

— No, to może konduktorem pociągu?

— Nie chcem.

— Już wiem, chuliganem.

— Nie, ale czymś obok... m i l i c j a n t e m!

Krysia porwała „genialne dziecko” w objęcia i zaczęła je obcałowywać.

Co wieczór musiała być na stole wśród zakąsek butelczyna, inaczej Leszek grymasił i mówił, że mu nic nie smakuje. Krystyna wypijała z nim każdy kieliszek i potem na drugi dzień bolała ją głowa.

— Wypij sam. Mnie alkohol szkodzi. Źle mi się potem pracuje — rzekła w końcu.

— Żaden kumpel z ciebie. Pij!

I Krystyna z uśmiechem żalosego poświęcenia wypijała następny kieliszek.

Któregoś wieczoru zbuntowała się jednak i nie zorganizowała na kolację wódki. Leszek siedział ponury, osowiały i nie tknął jedzenia. Wypił tylko herbatę i poszedł spać. Następnego dnia sam kupił ćwiartkę i prawie całą wypił.

Krystyna zauważyła, że Józefa zmieniła się w stosunku do niej. Rano nie mówiła dzień dobry, zaczęła miewać jakieś lekceważące tony, a gdy Krystyna mówiła do niej o Leszku „pan”, uśmiechała się ironicznie.

— Jaki to tam „pan” — rzekła w końcu. — Takich „panów” to ja nie uważam.

— Jak Józefa śmie!

— Jak pani do mnie tak, to ja powiem, że dłużej w tym domu pracować nie mogę. Ja jestem wierząca, więc przy takim państwu, co to żyją ze sobą na wiarę, nie będę i już. Szukam innej posady.

Krystyna przestraszyła się. Przyzwyczaiła się do Józefy jak do kanapy nie nowoczesnej ani też antycznej — ale wygodnej. I jakżeż tu żyć nagle bez takiej kanapy. Szukać innej? Była solidna, uczciwa. Miś nazywał ją „baba” i lubił, choć jej wcale nie słuchał. Spróbowała z beczki uczuciowej. — I nic się pani do mnie nie przywiązała, ani do dziecka?

— Owszem — odparła. Pani to niezła kobieta i dzieciak, jak dzieciak, ale tam, gdzie grzech panuje, to mnie nie ma.

— Eee, jaki tam grzech, pani Józefo — spróbowała pożartować. — Kochamy się po prostu. Aaa, gdybym pani podwyższyła pensję?

— Mnie tam na pieniądzach nie zależy — skłamała — ale za mało biorę, aby trzy osoby obsługiwać. Do dzieckam się godziła, a nie do państwa. Ten pan

Leszek to tylko wciąż świeże koszule wdziewa. . . koło niego to więcej roboty niż koło dzieciaka.

— To prawda, że on jest taki dziecinny — rozczuliła się Krystyna. — No więc, pani Józeko, podwyższę pani o dwie setki i nie będziemy już więcej o tym mówić.

— Dwie setki swoim porządkiem, a państwo muszą się pobrać, bo inaczej odchodzę.

— Co takiego? — Krystyna była zaskoczona. — Pani mnie namawia do grzechu, pani Józeko — roześmiała się nagle. — Ja mam wyjść drugi raz za mąż!

— Pani, choć niby inteligentna i wykształcona, a tak coś nieraz powie, że aż człowieka zemdli. Powiedziałam i już.

Odeszła pełna godności i poczucia własnej wagi.

— Leszku — rzekła Krystyna i naląła sobie i jemu po kieliszku koniaku, który tym razem sama kupiła w Delikatesach — mam do ciebie małą prośbę. . .

— No co takiego, Krysieńko?

Jak zawsze, gdy popijał, był uprzejmy i zgodny.

— Weźmy ślub!

— Co takiego! — zerwał się i przewrócił kieliszek z koniakiem. — Ty chyba żartujesz!

— Wcale nie żartuję — odparła z uśmiechem Krystyna, wytarła rozlany koniak i napełniła mu kieliszek. — Wypij! — rozkazała — i ja też wypiję. Widzisz, kotku, Józefo postanowiła od nas odejść, bo w domu, w którym, jak powiada, państwo żyją ze sobą „na wiarę”, ona pracować nie będzie.

— To mnie chcesz poświęcić dla tej baby! — obruszył się. — Ona jest dla ciebie ważniejsza niż ja! Pakuję swoje rzeczy i wynoszę się od ciebie, skoro tak.

— Ciekawam dokąd? — odparła ironicznie, starając się panować nad łękiem, który jego słowa wywołały.

— Do. . . hotelu.

— Trzeba mieć na to skierowanie, to nie jest takie łatwe, i trzeba słono płacić za pokój, a u mnie masz mieszkanie za darmo.

— Wymawiasz mi to — rzekł chmurnie. — Tym bardziej się wyniosę.

I rzeczywiście zaczął pakować do swojej niedużej walizki koszule i piżamy.

Starła się być bardzo opanowana.

— Nie zapomnij maszynki elektrycznej do golenia i mydła. Ten ręcznik w paski jest twój. . .

Spojrzał na nią ze złością i zaczął wszystkie rzeczy wyrzucać z walizki na podłogę. — Chcesz się mnie pozbyć, jak widzę! — wybuchnął. — Skoro tak, to ja tobie na złość nigdzie się nie ruszę! Zostaję. — W swoim kąpielowym szlafroku rozsiadł się na fotelu i zapalił papierosa.

— Spóźnisz się na próbę, najdroższy — rzekła głaszcząc go po głowie.

— Bez śniadania nie pójde! — rzekł głosem rozkapryszonego chłopczyka. — Gadasz głupstwa, zamiast mi dać śniadanie.



— Już, już — ucieszyła się, że wszystko zostaje po dawnemu. Szybko włączyła elektryczny ekspresik do kawy i zaczęła krajać bułkę i smarować kromki masłem.

— Nie ma nic do śniadania, tylko masło?

— Jest jeszcze sucha kiełbasa w lodówce, zaraz pokroję. Widzisz, kochany, ty miewasz już tony i zachcianki prawdziwego męża, tak że między nami nic by się nie zmieniło...

— Proszę cię, abyś przestała o tym mówić, bo się znów zacznę pakować... Zmienisz sobie Józefę na inną starą prukwę albo mnie na innego...

— A gdzież ja bym drugiego takiego znalazła, jak ty, mój Leszku? — westchnęła. Sama się sobie dziwiła, że postępuje z nim tak mądrze i dyplomatycznie.

— To prawda — przyznał z zadowoleniem. — Gdzie byś ty takiego drugiego znalazła, takiego głupiego...?

Miała wielką ochotę przyznać mu rację, ale obawiała się, że tego nie weźmie za dobrą monetę; co innego powiedzieć tak żartem, a co innego, aby ktoś drugi to potwierdził.

Tego wieczoru Leszek przyszedł dopiero późno w nocy, zupełnie wylakierowany.

— Gdzie jest ta staaara wiedźma? — zapytał donośnym, ale zamazanym głosem. — Ta, ta Józefa... za... za... maluję ją w gębę... żeby się do nas nie wtrącała. Albo wiesz co... — zaczął się śmiać kretyńsko — ...poproszę ją, aby mnie... mnie... pocałowała, gdyby mnie pocałowała, tobym sięę zrzygał, a tak... to nie mogę...!

Uczył to jednak, i to na samym środku dywanu. Krystyna pomyślała sobie, że gdyby miała pieska, jak wielu znajomych, toby także musiała nieraz po nim sprzątać, więc westchnąwszy tylko ciężko, przyniosła ścierkę, miseczkę z wodą i wstrzymując oddech wszystko wytarła i wyniosła do łazienki. Leszek, czerwony, nabrzmiały, wstrętny mimo swej urody, rzucił się na tapczan. Miłość kobiety do mężczyzny ma zawsze cechy miłości matki do dziecka. Pieczołowicie, ostrożnie ściągnęła z niego marynarkę, potem spodnie, skarpetki i buty. Sama zrobiła sobie prowizoryczne posłanie na dwóch fotelach. Całą noc nie mogła zasnąć, rozmyślając gorzko nad tym, jakie by było jej życie, gdyby on się zgodził na małżeństwo... Nonsens! Odgłosy, które wychodziły z otwartych jak u trupa ust Leszka, przypominały warczenie motocykla. Czyż nie lepsza samotność? — myślała zupełnie rozbudzona Krystyna. — Trzeba mu będzie jutro wytłumaczyć, aby się od niej wyniósł, bo niby za jakie grzechy ma znosić u siebie tego pijaka. „Tego pijaka” — zdumiała się własnymi myślami — przecież to jest jej chłopak, którego ona kocha!

Obudził się dość wcześnie i głosem chorego człowieka poprosił o szklanekę mleka.

— Przepraszam cię, Kryśka — rzekł wypróżniwszy szklanę. — Pierwszy raz zdarzyło mi się tak paskudnie zalać. Więcej nie piję. Ohyda! Ale to oni mnie tak spili, bydłeta — otrząsnął się. — Przysięgam ci, że to się już nigdy nie powtórzy. Nie wierzysz? Przecież ja nie jestem nałogowym pijakiem. . .

— Wiem, że nie jesteś, ale musisz przestać pić. Szkoda ciebie.

— Jakaś ty mądra, właśnie, szkoda mnie i moich zdolności. Przystaję pić. Przysięgam! Ostatni raz! — Przyciągnął ją do siebie, woniał męskim potem i wyziewami alkoholowymi. Poczula do niego litość i wstręt.

— Daj spokój, nie teraz. . . Józefa może wejść albo Miś. . .

— Gwiżdżę na to. Kocham cię, bo jesteś dla mnie taka dobra. Chcesz, pobierzemy się, chociażby dzisiaj. Gdzie ja znajdę drugą taką babkę jak ty? Która by mnie tak doceniała.

— Mówisz to serio? — zdziwiła się.

— Zupełnie serio — zapalił papierosa i znów starał się przyciągnąć ją na tapczan. — Co mi to szkodzi, skoro tobie tak na tym zależy. . .

— Teraz już nie bardzo. . . po tej wczorajszej nocy. . .

— Nie kłam. Marzysz o tym. Bo ty mnie jeszcze nie znasz. Ja jestem w gruncie rzeczy bardzo porządny chłopak i skłonny do wielkich poświęceń. . .

— No, skoro to ma być dla ciebie takie poświęcenie. Przecież ja tylko ze względu na Józefę. Znów szukać kogoś innego, przyzwyczajając się do nowego cielska. . . Okropność.

— Jest tylko jedna przeszkoda — rzekł Leszek zapalając drugiego papierosa. — Nie mam ciemnego ubrania. Przecież w swetrze i starej marynarce nie pójde do Urzędu Cywilnego, a teraz sprawić sobie nie mogę. . . Poczekamy, aż dostanę zapłatę za tę moją rolę i wtedy. . .

Krystyna była jak wszystkie kobiety, lubią one bardzo wychodzić powtórnie za mąż, chociaż czasem wiedzą dokładnie, że to będzie jeszcze jedna ich kłeska życiowa. Chęć posiadania, ambicja, żyłka kolekcjonerska? Przede wszystkim obawa przed samotnością, ludzą się, biedne, że gdy ich uroda i młodość minie — mąż przy nich zostanie. I mimo wielu przykładów, że tak nie bywa, lecą do tego zwodniczego ognia jak komary do światła lampy. Z opalonymi skrzydełkami, brzęcząc z bólu, znów podlatują do innego światła. Głupie i niepoprawne.

— Na to ubranie jakoś poradzimy — rzekła z wolna i z namysłem obliczając już w myślach sumę, którą będzie musiała na to wydać. — Dzisiaj pójdziesz do krawca i zamówisz sobie eleganckie czarne ubranie.

— Ja ci to zwrócę — rzekł szybko — jak tylko otrzymam to, co mi się będzie należało z telewizji. — Ale wiesz — jego blada, wymiętoszona twarz rozjaśniła się — takie czarne ubranko bardzo mi się przyda, nieraz są jakieś uroczystości jubileuszowe albo pogrzeb któregoś z kolegów. Ludzie, nawet młodzi, tak często teraz odchodzą. . .

Do pokoju wpadł Misiek w czerwonym „pajacyku” i zaczął się gramolić na tapczan.

— Leszek — zaczął — powiedz, czy dupa to to samo, co pupa? Bo jak się zapytałem niani, to mi dała klapsa. Ona jest Baba Jaga, prawda? — Roześmiali się oboje niepedagogicznie. A Leszek wciągnął go na tapczan i objął muskularnym ramieniem.

— To samo, synku, to samo! — zaśmiał się. — A niani możesz powiedzieć, że to ona właśnie jest. . .

— Jak możesz, Leszku — oburzyła się Krystyna. — Przecież Miś weźmie to na serio i gotów się w ten sposób do niej odezwać. Tatuś tylko żartował — rzekła ściągając malca z tapczanu.

— To jest Leszek, nie żaden tatuś — rzekł chłopak.

— Ale będzie twoim tatusiem w tych dniach. . .

— Eee — zaśmiał się Miś — to by mnie musiał urodzić. Tatusie rodzą dzieci i mamusie też. . .

— Twój syn jest genialny! — zaśmiał się Leszek.

Do pokoju weszła naburmuszona Józefa i pociągnęła Misia za rączkę.

— Chodź zaraz wymyć ząbki! Co ty tu masz do roboty! Przeszkadzasz panu Leszkowi wylegiwać się do południa! Jazda do łazienki!

— Ty, ty, stara dupo! — wykrzyknął malec.

— Coo, coś ty powiedział! — zachrypniętym ze złości głosem wykrztusiła pani Józefa i z całej siły uderzyła chłopca w rączkę. — Żeby taki mały gówniarz do starszego człowieka śmiał się wyrażać! — Odchodzę — dodała z bolesną godnością — znajdzie sobie pani inną! Pójdę do ludzi, którzy starszą, szanowaną osobą nie poniewierają!

— Ależ, droga pani Józefo, kto panią poniewiera? A Miś to jeszcze dziecko, nie wie, co mówi! — odezwała się łagodnie Krystyna.

— Już ja dobrze wiem, kto go takich wyrazów uczy. Ten pan! — palcem wskazała śmiejącego się Leszka. — On! I, proszę pani, albo ten pan, albo ja! — wyszła wielkimi krokami, ciągnąc za rączkę przysiadającego na podłodze Misia.

— Widzisz, coś narobił! — rzekła gniewnie Krystyna. — Nauczka nie poszła w las! Nie nadajesz się do wychowywania dzieci.

— Przecież ja się nie godziłem do dziecka, tylko do ciebie.

— Idiota! — mruknęła Krystyna.

— Jak idiota, to mogę sobie pójść, zostaniesz sama z dzieckiem i tą wstrętną jędzą.

— Nie masz się o co obrażać. O której godzinie chcesz iść do krawca?

— Obojętne. O której ci wygodnie. . .

\* \* \*

Gośćmi na ślubie Krystyny i Leszka było trzech aktorów z telewizji i dwie dobre znajome Krysi. Tak się mówi, ale zwykle nie są one takie „dobre”.

— Co on w niej widział? — szepnęła jedna do drugiej. — Ani taka ładna, ani taka młoda...?

— Widział w niej mieszkanie — zaśmiała się druga „dobra”.

— Jakie tam mieszkanie, pokój z kuchnią i... dzieckiem.

— Ale on nie miał podobno dachu nad głową i nocował, gdzie się dało...

— To jeszcze nie powód... taki przystojny chłopak...

— Może sprawa honoru — zachichotała tamta — uwiódł niewinną rozwódkę, więc czuł się w obowiązku...

— Ona bardzo dobrze teraz zarabia — rzuciła ta pierwsza. — A to nigdy dla nich nie jest przeszkodą...

— A może — zastanawiała się druga — po prostu się w niej zakochał?...

— Taak, od pierwszego spojrzenia, a raczej od pierwszej wódki? Leszek dużo pije... Ale trzeba przyznać, że oboje wyglądają efektownie.

Przyjęcie weselne, z powodu ciasnoty mieszkania, urządziła Krystyna w Bristolu. Było dużo zakąsek i jeszcze więcej czystej wyborowej. Śpiewano oczywiście „sto lat” i nawet Krystyna była pod gazikiem. Nie na tyle jednak zawiana, aby nie widzieć, jak stan nietrzeźwości potęguje się u jej męża.

— Nie pij więcej, błagam cię!

— Oo, już gadasz jak typowa żona! Chłopcy — zawołał zamazanym głosem. — Nie żeńcie się, bo wszystkie żony to jednakowe cholery!

Koledzy, już też na bańce, roześmiali się ochoczo i wypili jego zdrowie. Około pierwszej w nocy zaczęto wstawać od stołu. Leszek zachwiał się i znalazł się na podłodze ku wielkiej radości weselnych gości. Postawiono go na nogi jak bezwładny manekin.

— Napij się wody sodowej — poradził mu któryś z kolegów. — No, bracie, weź się w garść...

— Ale... czyją? — zaśmiał się głupkowato — tej... tej pani? — wskazał ręką na Krystynę. — Ja ją mam w du... żym poważaniu, wiecie już gdzie? Kur... jej mać! Dajcie mi jeszcze wódki, bo jestem zanadto... trzeźwy, cholera!

Krystyna z pomocą jednego z mniej zalanych aktorów zdołała wyprowadzić Leszka i wpakować go do taksówki.

— Gdzie mam jechać? — zapytał taksjarsz.

— Www... świat! — wykrzyknął pijackim głosem.

— Na Nowy Świat — poprawiła go Krystyna — dwadzieścia trzy!

— Nie żaden nnowy, tylko stary świat. Nowy świat to ja mam w d...

Krystyna siedziała koło kiwającego się w obie strony pijaka, zgnębiona i przeżona. Co ja sobie narobiłam! — pomyślała z rozpaczą. — I to ma być mój mąż!

Gdy stanęli przed wskazanym numerem, Leszek wygramolił się z taksówki i zaczął szukać pieniędzy, otworzył portfel i setki wysypały się na jezdnię. Krystyna zaczęła je zbierać. Przez ten czas Leszek, opętany teraz przez pijackiego demona ruchu, zaczął biec, „holendrując” przez jezdnię. Krystyna z powrotem wskoczyła do wnętrza taksówki.

— Musimy go dogonić, panie kierowco. On jest zupełnie zalany. . .

— Wiadomo — odmruknął — ale czy się da schwycić! Leszek skręcił szybko w którąś z bocznych ulic i zniknął im z oczu.

Krystyna zatrzymała taksówkę, zapłaciła kurs i zaczęła go szukać. Łzy kapały jej z oczu na piękny, ślubny, biały kostium z elany. Nie były one „czyste jak łza”, ponieważ dołączył się do nich puder i róż.

— Czego pani szanowna szuka? — zwrócił się do niej grzecznie sierżant milicji. — Zgubiło się portfeli?

— Szukam męża — zachlipała. — Pijany był. . . wysiadł z taksówki i. . . przepadł!

— To nie szpilka, szanowna pani, znajdziemy uciekiniera. Poszli razem, wchodzili do różnych bram, tych, które były otwarte, ale nigdzie nie znaleźli Leszka. Zgnębiona poprosiła sierżanta, aby ją odprowadził do domu.

— Wróci nad ranem jak kot. . . — pocieszał milicjant — teraz to często się zdarza. . . Ot, wypił facet za wiele. . . jakaś uroczystość rodzinna?

— Taak — wyjąkała przez łzy — nasz ślub. . . wesele. . .

— Pani się dziwi! Wiadomo. . . na weselu pan młody zwykle się wylakieruje. Proszę nazwisko, adresik, przyprowadzę go pani, jeśli znajdzie. — Przyłożył rękę do daszka i odszedł równym, spokojnym krokiem.

Krystyna nie spała całą noc. Zażyła trzy proszki od bólu głowy i co chwila biegła do okna. O godzinie szóstej rano Leszek wrócił, wyglądał upiornie, był zielonoszary, oczy miał czerwone, a usta sine.

— Gdzieś ty był? — Krystyna była szczęśliwa, że żyje, że wrócił.

— W Izbie Wytrzeźwień — mruknął i nagle rozplakał się jak dziecko.

— Czemuś mi pozwoliła tyle wypić! . . . Daj mi kwaśnego mleka i proszek od bólu głowy. Pierwszy raz mnie coś takiego spotkało! Och, moja nieszczęsna głowa! Krystyna! Nie piję teraz przez miesiąc. Słyszysz!

— Taki zdolny chłopak, taki utalentowany, a taki alkoholik — powiedziała Krystyna.

— Nie jestem alkoholikiem! Mam wstręt do wódki. Ot, zdarzyło się i na tym koniec. Masz rację, że mnie szkoda, taki zdolny. . . taki talent. . . Ech! żeby to diabli. Zrób mi postanie, będę spał do wieczora, tylko proszę mnie nie budzić. Bardzo się na mnie gniewasz?

— Nieee, mój biedaku. . . żałuję cię. Tylko się boję, że wpadłeś w nałóg. . .

— To nie nałóg, Kryśka, to takie moje hobby.

— Bardzo pospolite i bardzo wulgarne — wzruszyła ramionami. — Znajdź sobie inne...

— Dobrze — rzekł potulnie i już jak gdyby przez sen: — Będę zbierał znaczki pocztowe... Dobranoc!

\* \* \*

Przez całe dwa tygodnie Leszek nie spojrzął na wódkę. Był miły, czarujący i Krystyna czuła się najzupełniej szczęśliwa, tym bardziej że Miś ubóstwiał go i nazywał Leszka „tata”. Bawili się razem, grali poważnie w warcaby. Był sam dziecinny, więc towarzystwo małego chłopca odpowiadało mu.

— Ja mu strasznie imponuję — rzekł raz Leszek. — Może dlatego, że jestem od niego trzy razy większy... a może dlatego, że się gołę?

Pani Józefa zgodziła się zostać u nich z litości „dla biednej pani” i... z dodatkiem stu złotych miesięcznie do swojej i tak już dużej pensji. Wszystko więc grało, a Krystyna czuła się trochę mamusią dwóch chłopców — małego i dużego — i starała się im we wszystkim dogodzić.

\* \* \*

Mówi się i pisze, że „życie potoczyło się dalej”. Ale nie mówi się, jak się potoczyło. Ciężarówką czy koleją, autobusem czy też własnym samochodem? Życie Krystyny z nowym mężem, synkiem i nianią toczyło się jak gdyby własnym małym fiatem 600, mocno zużytym i roztrzęsionym, a przede wszystkim ciasnym. Jej mieszkanie było stanowczo za małe na cztery osoby i Krystyna zapisała się do mieszkaniowej spółdzielni, wpłacając odpowiednią zaliczkę na dwupokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką. Z marzeniami o tym nowym mieszkaniu, które jej obiecywano za dwa, a najpóźniej za trzy lata... kładła się spać i budziła rano. Była to jak gdyby ziemia obiecana, pełna rozkoszy takich, jak spanie osobno, bez budzących co chwila odgłosów męskiego chrapania, jak: urządzenie sobie swojego własnego pokoju do pracy, zamykanie się w „swoim” pokoju po kłótni z mężem, czytanie bezkarnie książki do późnej nocy przy nowoczesnej lampce nocnej... Tak. Szczęście dzisiaj to nie mężczyzna, nie dziecko, ale w pierwszym rzędzie odpowiednie mieszkanie, czyste, nowe, obszerne. W myślach przybijała już gwoździe do ścian, na których miały wisieć portrety rodzinne.

Leszek jeździł do Łodzi, gdzie kręcono krótkometrażówkę filmową, w której miał grać niewielką rolę. Nie pił teraz i zupełnie poważnie traktował swoją pracę. Gdy wracał, Krystyna zupełnie niepotrzebnie szła do fryzjera, stroiła się w najbardziej zagraniczne sweterki; nie zauważał tego, Zajęty tylko i wyłącznie swoją

osobą. Ale należy przyznać, że miewał czasem wielkopańskie gesty. Za otrzymaną gażę kupił Misiowi kolejkę z szynami i stacyjkami, a Krystynie angielską wodę toaletową Yardleya. Prezenty jednak wybierał zwykle takie, które jemu również robiły przyjemność. Kolejkę ustawiał sam i obaj z Misiem w poważnym skupieniu puszczali ją po szynach, a Krystynie przyznał się, że lubi tylko i wyłącznie lawendę Yardleya.

Rzadko kiedy wychodzili gdzieś wieczorem, chyba tylko do kina.

Twierdził, że najbardziej lubi siedzieć w domu, ale jednak od czasu do czasu znikał gdzieś wieczorem, mówiąc, że idzie do kawiarni, i wracał po północy, co niepokoiło i drażniło Krystynę. Pytała go ostrożnie, aby nie być typową żoną, gdzie tak długo siedział? Robił duże, zdziwione oczy.

— Jak to gdzie? W Spatifie. Nie wolno?

— Ależ naturalnie, że ci wolno, tylko dlaczego mnie nigdy ze sobą nie zabierzesz?

— Siedzimy w męskim towarzystwie, nudziłabyś się. . .

— Czuję, że piłeś. . .

— Och, trzy kieliszki to nie jest żadne picie. Wiesz, że gdy pracuję, to nie piję. — I jak zupełnie autentyczny mąż zasłaniał się gazetą.

Jego stosunki z panią Józefą nie układały się zbyt dobrze. On jej nie cierpiał, bo brzydka i stara — ona jego, ponieważ był młody i przystojny.

— Pani to by się był patrzył inny mąż — rzekła kiedyś do Krystyny. — Poważny, stateczny, na stanowisku, jakiś profesor albo lekarz, a nie taki pajac.

— Nie lubię, jak Józefa wyraża się tak lekceważąco o panu — odparła krzywiąc usta.

— „Pan”, „pan”, jaki on tam pan! Pan to był nasz pan redaktor, ale go pani nie umiała przy sobie utrzymać, tyle powiem. . .

— I tak za wiele, moja pani Józefo. Proszę iść do kuchni i nie wtrącać się do mojego małżeństwa.

Machnęła ścierką, którą trzymała w ręce. — Jakie to tam małżeństwo w Urzędzie Cywilnym. Małżeństwo to jest kościelne, a takie terazniejsze to dla mnie nieważne.

— Dość tego. Ani słowa więcej na ten temat! — rozgniewała się Krystyna. — Zrozumiała Józefa?

— Co nie mam rozumieć, swój rozum mam. Zadurzyła się pani w smarkaczu i nic dobrego z tego nie wyjdzie. Idę i już więcej nie powiem ani słowa.

Po tej rozmowie Krystyna była tak zdenerwowana, że musiała sobie zaparzyć kawy i wypalić dwa papierosy, jeden po drugim. — Stara jędza — mruzczała do siebie. — I że ja muszę takie prukwiszcze u siebie trzymać! — Najgorsze to, że jej gdzieś na dnie świadomości przyznawała rację. Jej małżeństwo z Leszkiem miało jakiś charakter tymczasowy, całkiem niepoważny. Ale czyż związek małżeński musi być poważny? Zanosilo się na to z Franciszkiem — i co z tego wyszło.

Także klops. Dziś nic nie jest poważne i stabilne poza własną pracą, którą się lubi. Józefa nazwała Leszka „smarkaczem”. Jej nikt nie nazywał „smarkatą”, chociaż była raptem o trzy lata starsza od niego. Czy to taka duża różnica? A jednak ona była kobietą dojrzałą — a on młodym chłopakiem, i tak ich każdy oceniał.

Któregoś wieczoru Leszek wyszedł i wrócił dopiero o pierwszej w nocy. Buchało od niego alkoholem. Podszedł trochę chwiejnym krokiem do Krystyny i objął ją czule.

— Pani jest cudną kobietą, Basieńko — rzekł śmiejąc się głupkowato. — Prześpi się pani ze mną, prawda? Proszę się rozebrać... ja... pani pomogę.

Zdumionej i zaskoczonej Krystynie ściągnął sweter i bluzkę.

— Paani ma wspaniałe piersi. Filmowe! Zacałuję panią na śmierć, tylko ciii-cho, bo moja stara się obudzi, śpi tam obok w kuchence...

— Czyś ty zwariował. Leszku? — Krystyna, wzburzona, wyrwała się z jego objęć. To już było groźne, może początek delirium? Wziął ją za jakąś przygodną dziewczynę, którą chciał sobie widocznie przyprowadzić na noc.

— Leszku — starała się go przywrócić do przytomności. — To przecież ja, Krystyna!

— Jaka tam Krystyna... Ty jesteś Basia i ja się z tobą prześpię. Tylko chciałbym się czegoś napić! — Idąc zygzakiem doszedł do kredensu i zaczął szukać wódki. — Tu ja miałem zamelinowaną przed żoną półlitroweczkę i... ta cholera mi ją gdzieś schowała!

Otwierając dolne drzwiczki kredensu, zwałił się na ziemię i momentalnie zasnął.

Nazajutrz rano zbudził się wyspany i różowy jak aniołek. Zdziwił się tylko, że zamiast na tapczanie śpi na podłodze, podłożywszy sobie marynarkę pod głowę.

— Wyrzuciłaś mnie od siebie, ty niedobra!

— Wróciłeś do domu tak zalany jak jeszcze nigdy — odparła surowo Krystyna — szukałeś w kredensie wódki i zwałeś się na ziemię...

— Niemożliwe! — zdumiał się zapalając papierosa. — Przecież ja prawie nic nie wypilem, po ćwiartce na głowę. Chyba że jeszcze potem gdzieś poszliśmy... ale ja naprawdę nie przypominam sobie... I o której wróciłem?

— Nie udawaj, wstrętny pijaku. Wróciłeś o godzinie pierwszej w nocy! No i teraz przyznaj się, co to za Basia?

— Basia? Nie znam żadnej Basi. Coś ty sobie znowu ubzdurała. Owszem, przyznaję się, trochę się wylakierowałem, ale o żadnej Basi nic nie wiem. A skąd ci, Krysieńko, przyszła ta myśl, czy ja coś plotłem?...

— Nie tylko — odparła. — Wziąłeś mnie za jakiegoś kociaka, którego sobie niby to przyprowadziłeś. To był już szczyt wszystkiego, a raczej szczyt i dno!

— Jakaś ty podła — oburzył się zupełnie szczerze — chcesz we mnie wmówić, że już... białe myszki, że ze mną aż tak źle. To bardzo brzydko z twojej strony.



— Słuchaj, Leszku — rzekła bardzo poważnie. — To już nie są żarty. — To jest groźne. I ty musisz się leczyć. Powinieneś przejść kurację odwykową.

— Taak — przestraszył się — i może brać antabus. Nie chcę. Jeden od nas, znasz go, brał antabus i popił sobie. Szlag go trafił na miejscu, nawet nie stary chłop, koło czterdziestki.

Krystyna machnęła ręką ze zniechęceniem, jak gdyby chciała odegnąć od siebie te zbędne słowa, które wypowiadał, i wyszła z pokoju. Ubrała się i zadzwoniła do swojej znajomej, do której miała pełne zaufanie. Jej mąż też był kilka lat temu pijakiem i odzwyczaił się.

— Zośka — mówiła do słuchawki — mam do ciebie ważny interes, spotkajmy się o dwunastę w kawiarni u Marca. Mozesz?

Przyjaciółka, żona znanego architekta, zgodziła się chętnie. Trudno jest namówić kobietę do pójścia do teatru lub do kina — ale do kawiarni zwykle miewają czas. Krystyna, nim wyszła, długo siedziała przed lustrem, aby doprowadzić do porządku swoją twarz. Ten pijaczyna mnie zniszczy! — pomyślała z rozpaczą. Cerę miała szarą, oczy zapadnięte, zmarszczki na czole. Zrobiła sobie maseczkę z żółtka z oliwą, a gdy ją zmyła, nałożyła na twarz puder w płynie, zagranicznej marki, i na to trochę różu, rzęsy podczesała szczoteczka. Efekt był zadowalający. Nikt nie śmie wiedzieć — pomyślała — jak bardzo jestem nieszczęśliwa i przegrana. Usta koniecznie do góry! Nic tak nie postarza, jak kąciki ust, opadnięte w dół. Nie chcę w ludziach wzbudzać litości, litość to uczucie, jakim nas nasi bliźni najłatwiej i najchętniej obdarzają. Zosia, która na pewno, jak one wszystkie, z zdrości mi takiego młodego i przystojnego męża, nie będzie miała, widząc mnie, żadnej satysfakcji. A więc kąciki ust do góry! Uśmiech. Plecy wyprostowane. Piersi, opancerzone zagranicznym stanikiem, sterczą jak u warszawskiej Syrenki w telewizji!

— Świetnie wyglądasz, Krysieńko — rzekła Zosia na przywitanie. — No cóż — dodała — młody mąż, wiadomo... Szczęśliwa jesteś, prawda?

— Wiesz — roześmiała się Krystyna — szczęście to jak pogoda, jednego dnia słońce świeci i można się opalać, a drugiego leje i pochmurno... Czasem zaś burze i grzmoty, to nawet jest dobre, bo po burzy musi być pogoda. Ale wiesz... tak na ogół to nie skarzę się. A co u ciebie?

— Wszystko okey. Mój mąż dostał nagrodę, Jacek zdał maturę celująco, jakoś leci.

— No, to się cieszę. Słuchaj — rzekła popijając kawę. — Twój Heniek kiedyś lubił popijać, prawda? Byłaś nawet bardzo nieszczęśliwa z tego powodu.

— Teraz w ogóle odrzuciło go od alkoholu — odparła wesoło Zosia — nawet kieliszka w towarzystwie nie wypije. Wiesz, że oni to na ogół maksymaliści, wszystko — albo nic! To tylko my, kobiety, potrafimy wypić niewiele, palić najwyższej dziesięć papierosów dziennie, zdradzać męża rzadko, nie nałogowo, i to jest nasza wyższość nad nimi.

— Ale jak to się stało — zapytała Krystyna — że nagle przestał pić?

— Samochód — powiedziała tonem poufnych zwierzeń przyjaciółka. — Odkąd mamy samochód, przestał zupełnie pić. Na pijaków są tylko dwie rady: albo się ciężko rozchorują na nerki lub wątrobę, albo zaczynają prowadzić własny samochód.

— No, dobrze, ale jeśli kogoś nie stać na kupienie sobie wozu?

— To poleży w szpitalu z okropnymi bólami nerek albo wątroby i też mu się pić odechce... Może też rozchorować się na płuca — odparła z dobrym humorem Zosia.

Krystyna wyszła z kawiarni z silnym postanowieniem kupienia Leszkowi samochodu. Miała odłożone kilkadziesiąt tysięcy w PKO. Resztę sumy będzie spłacać ratami. Przydział otrzyma bez żadnych trudności.

— Leszku — zaczęła przy obiedzie — czy chciałbyś mieć własny wóz?

— Pytanie! — odparł z ustami pełnymi mielonego kotleta. — Tylko że nas na to nie stać.

— Mnie stać — odparła nie bez cienia samochwalstwa. — Na początek może syrenkę.

— Syrenkę! — poderwał się oburzony. — Żebym tym, którzy mają piękne zagraniczne wozy, nie mógł w oczy spojrzeć! Wolę nic niż syrenkę!

— No, to może... trabanta?

— Rozlatuje się po kilku miesiącach jazdy. Jeśli już mamy wykosztować się na samochód, to tylko na jakiś porządny... chociażby Wartburga albo skodę...

— I wtedy — oświadczyła poważnie Krystyna — będziesz musiał przestać pić.

— Jasne! Inaczej mógłbym spowodować jakiś wypadek albo siebie i ciebie rozwalić! Mało się czyta w gazetach o tych pijanych kierowcach, którzy spowodowali czyjąś śmierć? Zobaczysz, Krysieńko, że w ogóle na wódkę nie spojrzę. — Przytulił swoją twarz do jej twarzy jak kotek i muskał ją ustami.

Zapisał się na kurs samochodowy i rzeczywiście przez cały ten czas nie zajrzał do kieliszka. Piękna to była dla obojga chwila, a raczej godzina, gdy załatwiwszy wszystkie formalności pojechali do Motozbytu wybierać samochód. Zdecydowali się na najnowszy model skody. Leszek z wypiekami na twarzy, można rzec, „przymierzał” dużo wozów stojących koło siebie w równych rzędach. Siadał przy kierownicy, naciskał gaz, jeździł w kółko niesłychanie ważny i przejęty. Dziecko — pomyślała o nim z rozczuleniem Krystyna — dziecko, które wyrosło, ale nie dorosło.

— Ten niebieski byłby pod kolor twoich oczu! — rzekł z uśmiechem nieomal tkliwym — ale popielaty modniejszy. — Wybrali popielaty i po załatwieniu znów różnych formalności, z których jedno były... szeleszczące... wyjechali nowym wozem do domu.

Od tego czasu życie znów uśmiechnęło się do Krystyny całą gębą. Leszek zapomniał jak gdyby o istnieniu alkoholu, cieszył się tą nową męską zabawką, czyścił ją sam, jeździł nad Wisłę z żoną i Misiem i wszyscy troje szorowali samochód, gdy był zabłocony. Ponieważ jesień była złota, miedziana i słoneczna, więc jeździli do lasu na grzyby, a Krystyna cieszyła się, że jej chłopak jest taki zadowolony, a przede wszystkim, że zapomniał o swoim nałogu. Jego nałóg to była teraz ta elegancka, sprawnie chodząca skoda.

Któregoś popołudnia Leszek oświadczył, że jedzie swoim wozem (nigdy nie mówił „nasz wóz” — ale „mój”) z kolegami na ryby. — Jak chcesz — dodał grzecznie ale z lękiem w oczach — to jedź z nami, tylko boję się, że się zanudzisz na śmierć. . . — Przeznaczenie chciało, że Krystyna w swej dobroci i układności wobec młodego męża postanowiła nie jechać, nie chciała być z tego gatunku żon, które mężom depczą po piętach.

— Nawet nie bardzo mogłabym jechać, bo mam brydza, ale boję się, że beze mnie wstąpicie do jakiejś knajpy i pochlejecie. . .

— Jaa! — oburzył się — przecież wiesz, że odkąd prowadzę samochód, nie tknąłem kieliszka, sama się o tym przekonałaś!

— No dobrze, wierzę ci. Jedźcie, tylko uważaj, jedź wolno, bo w niedzielę jest mnóstwo pijanych kierowców na drogach.

— Przywiozę ci szczupaka — rzekł i pocałował ją na pożegnanie.

\* \* \*

Złe przecucia i lęki o kogoś bliskiego bywają zazwyczaj fałszywym alarmem. Los nie lubi, aby się złe przecucia sprawdzały. Woli zaskoczenie, bawi go, aby wiadomość o jakiejś katastrofie zaaplikować komuś, kto niczego złego się nie spodziewa i jest w doskonałym nastroju.

Krystyna wróciła wieczorem z brydza w dobrym humorze. Wygrała sto złotych i karta jej szła jak nigdy. Powinna się była trochę niepokoić, że Leszek jeszcze nie powrócił, ale nie była w nastroju do obaw. Przypomniała sobie zdanie jednej mądrej kobiety: „Gdy się niepokoisz o męża i boisz się, czy mu się coś złego nie stało — to wiedz, że spędza on czas bardzo wesoło u jakiejś damulki”. — A niech sobie spędza — roześmiała się Krystyna — bylebym ja o tym nie wiedziała. . . — Nagle zadzwonił telefon. To pewnie on! — pomyślała i z filiżanką herbaty w ręce podeszła do aparatu.

— Czy to obywatelka Szary — zabrzmiał obcy, poważny głos. — Pani mąż jest u nas na posterunku milicji.

— Co się stało? — zapytała zaskoczona.

— Pani mąż spowodował, prowadząc wóz w stanie nietrzeźwym, poważną w skutkach katastrofę. Jeden pasażer zabity, drugi ciężko ranny.

— Boże — wyszeptała i nagle poczuła, że ma zupełnie miękkie nogi, a podłoga zmienia się w trzęsawisko, w które się zapada. Ukłękła na ziemi, aby się nie przewrócić, nie wypuszczając z ręki słuchawki.

— A on... czy ranny? — zapytała roztrzęsionym głosem.

— Lekkie obrażenia ciała. Pozostanie w areszcie śledczym aż do rozprawy. Rozbita skoda jest u nas do odebrania.

Krystyna położyła słuchawkę na widelkach i poczuła, że puchnie jej górna warga. Cierpiała na nerwowe uczulenie i każde zmartwienie i zdenerwowanie objawiało się u niej puchnięciem twarzy albo wysypką. Zażyła phenegan, popiła herbatą i położyła się na tapczanie. Klęska życiowa, z której się już chyba nigdy nie podniesie. — Twoja wina — powiedział surowo głos wewnętrzny — bo kto wychodzi za mąż za byle smarkacza, i to w dodatku pijaka? A jeśli się już popełni takie kapitalne głupstwo, to nie sprawia się pijakowi porządnego samochodu. — Zakochałam się — odpowiedziała głosowi sumienia. — To trzeba było się z nim przespać raz i drugi — odpowiedziało — a nie wychodzić za niego za mąż, za własną głupotę drogo się płaci. — To wina tej przeklętej Józefy — starała się siebie bronić — to ona mnie do tego szaleńczego kroku namówiła. — Mogłaś ją śmiało odprawić i wziąć do dziecka kogoś innego. Kara za wygodnictwo i przyzwyczajenia.

W drzwiach stanął nagle rozespany Miś w piżamce.

— Ja chcem bajki — zawołał — mama, opowiadać bajki! O Czerwonym Kapturku, tylko żeby wilk babcię i Kapturka pożarł!

\* \* \*

Krystyna wszczęła kroki rozwodowe. Leszka już nigdy widzieć nie chciała, mimo jego rozpaczliwych listów, w których błagał ją o widzenie i o wybranie jakiegoś dobrego adwokata. Groziło mu za spowodowanie śmierci człowieka siedem albo osiem lat więzienia. — Nic jej już ten typek nie obchodził. Ułożyła go we wspólnym grobie z Franciszkiem i postanowiła żyć już tylko dla syna i swojej pracy.

Nie jestem zbudowana na tak nieszczęśliwe życie — pomyślała kąpiąc się w wannie i spoglądając na swoje piękne, gładkie ciało.

Miś ciężko i histerycznie przeżywał nagłe zniknięcie „tatusia”.

— Schowałaś go przede mną, mama — beczał bijąc ją piąstkami. — Oddaj mi tatusia... oddaj, ty, ty Babo Jago! Gdzie ty go masz? Buuuuuuu!!

— Tatusia już nie ma — powiedziała poważnie.

— Co to znaczy nie ma, mamusiu?

— Wyjechał od nas na zawsze...

— I już nie wróci? — głos chłopca przerywany był łkaniem.

— Nie, synku...

— To ja... ja się wyrzucę przez okno! — wykrzyknął i pobiegł do kuchni.

Poszła za nim, aby sprawdzić, czy okno w kuchni jest szczelnie zamknięte. Był za mały, aby się wdrapać na parapet i otworzyć je sam. Poleciała Józefie, by przy chłopcu nie otwierała okien. Z dziećmi jak z wariatami, nigdy nie można wiedzieć, co im przyjdzie do głowy! Zaczął się teraz odnosić do niej złośliwie i arogancko.

— To twoja wina, mama, że tatuś od nas uciekł — rzekł kiedyś do niej ze złością. — Byłaś dla niego niedobra...

Gdy ukończył sześć lat, opowiadał dzieciom na podwórzu, że jego mamusia tak lała tatę, że wsiadł do samochodu i uciekł na zawsze...

Powiedziała jej o tym sąsiadka.

— Co też za historie opowiada pani synek! Że pani tak biła męża, aż od niej uciekł. Ja temu nie dałam wiary, bo wiedziałam, jaka pani była dla niego dobra, ale inni ludzie mogą uwierzyć. Niech mu pani dobrze zleje skórę, że takie rzeczy o matce gada.

Krystyna zdenerwowała się i zawołała Misia do siebie.

— Co ty, smarkaczu, za brednie opowiadasz, że ja biłam tatusia i dlatego od nas uciekł!

— A bo co? Może nie? — odparł arogancko, trzymając obie ręce w kieszeniach.

Pierwszy raz w życiu uderzyła go, i to w twarz.

— Masz! Ty złe, zepsute dziecko, żebyś się oduczył tak kłamać!

Trzymając się za uderzony czerwony policzek, płacząc rozdzierająco, wybiegł z pokoju.

Sama też się rozplakała, położyła się na tapczanie, na którym do niedawna była jeszcze taka szczęśliwa, i wcisnęła twarz w poduszki, pachnące dymem tytoniowym Leszka i jej wodą toaletową.

Miś, wciąż trzymając się za prawy policzek, wybiegł na podwórze.

— Kto cię tak zaprawił? — zapytał go znajomy chłopczyk z tego samego bloku.

— Ma... ma... musia — wyjąkał, płacząc teraz na pokaz.

Sąsiadki zaczęły się nad nim litować. — Żeby tak dziecko uderzyć, pani kochana, to wstyd! Cały policzek ma siny. Chodź, biedaczku, przyłożę ci kompres z zimnej wody.

— Nie chcem — odparł z wzrokiem wbitym w ziemię.

— A bardzo cię boli?

— Jeszcze jak, mówić nie mogę. Mamusia to tak często, o byle co się rozzłości i leje.

— No, widzi pani, kochana, co to za matka. Zaczynam już wierzyć, że męża też tak biła, aż od niej uciekł.

— Ee tam, pijany wracał do domu — wzięła Krystynę w obronę druga — sama widziałam nieraz, to może go i kiedy miotłą przez łeb zdzieliła. Dobrze zrobiła, bo zwykle jest odwrotnie, mąż po pijanemu bije żonę, jak u tych Serków na górze. . . A raz to się jednemu z nich dostało.

Sprawa zniknięcia „tatusia” nie dawała Misiowi spokoju.

— Niania — rzekł kiedyś do Józefa. — Co mamusia zrobiła tatusiowi, że od nas uciekł?

— Głupstwa pleciesz — obruszyła się Józefa. — Była aż za dobra dla niego. . . A on. . . łajdak i pijak, po pijanemu wóz rozwalił i przy okazji pasażera zabił. Posiedzi sobie teraz niewąsko — dodała ze złością.

— Na krześle — nie zrozumiał Miś.

— Tyś jeszcze za głupi, aby to zrozumieć. Posiedzi w zamknięciu. . .

— Ojej, biedny tatuś! Co tam będzie robił?

— Będzie liczył, ile latek tak sobie posiedzi — zarechotała zjadliwie Józefa.

Dzieciom na podwórku chwalił się teraz w ten sposób: — Ty, Edek, wiesz, że mój tatuś siedzi?

— Mój też. . . za granicą.

— A mój w zamkniętym pokoju, aha!

— I co tam robi?

— Liczy latka. . .

— A mój forszę, którą tam zarabia.

Krystyna, której sąsiadki powtarzały te rozmowy, dowiedziała się od Misia, że informacji tych udzieliła mu Józefa. Całą więc złość wylewała na nią. Józefa nie brała jej tego za złe i starała się ją jakoś udobruchać.

— Pani kochana napije się dobrej, mocnej kawki? — było to stwierdzenie połączone z zapytaniem.

— Sama sobie zrobię — odburknęła Krystyna.

Pani to teraz taka czegoś nerwowa. . . ale ja rozumiem. . . takie nieszczęście z tym panem Leszkiem, pani ma prawo być nerwowa. . .

— Prosiłam, żeby więcej o tym mowy nie było.

— Ale ja tylko powiem jedno, pani, kobieta już nie taka młoda, nie powinna była wychodzić za mąż za takiego, z przeproszeniem, gówniarza.

— Sama pani Józefa mnie do tego popchnęła — zauważyła kwaśno Krystyna.

— Żeby mnie tak Pan Bóg pokarał, jeśliś panią namawiała! Nie chciałam tylko pracować w domu, gdzie grzech panuje.

— Już dość tego! — rozgniewała się Krystyna. — Niech Józefa idzie do kuchni, zaparzy mi tej kawki. . . byleby tylko przestała gadać. . .

\* \* \*

Misia zapisała do przedszkola. Przyniósł stamtąd koklusz, odrę i... dużo brzydkich wyrazów. Po silnej grypie, której się tam nabawił (pani była higienistką i wciąż otwierała wszystkie okna), odebrała go. Ponieważ nauczono go tam tylko śpiewać, zabrała się sama do jego edukacji. Wolał oczywiście kopać z chłopcami piłkę na podwórzu albo jeździć w szalonym tempie na dziecinnym rowerku. Był zwyczajnym, normalnym, współczesnym chłopakiem, jak oni wszyscy teraz, przedwcześnie rozwiniętym, który dawno przestał mówić dziecinnym dialektem, za to gadał okropną, nowoczesną gwara, jakże niepodobną do pięknej polskiej mowy. — Odwal się mama, z tym abecadłem. — Ta Małgosia to wdechowa babka, nie? — Ja mam w dupie naukę, wiesz, itp. Żeby go zmusić do czytania i pisania, musiała obiecywać „loda”, pójście do kina na film dla dzieci, w niedzielne przedpołudnie, wycieczkę do zoo lub cukiernię i ciastka. Krystyna pocieszała się, że się „dotrze” jak nowy samochód i wyrośnie na porządnego, udanego mężczyznę. Największe zło to był dla niej przykład tych innych „podwórzowych” dzieci, ale trudno go było od nich odizolować.

Gdy ukończył siedem lat, zapisała go do szkoły. Wtedy zainteresował się nagle, czemu nazywa, się inaczej niż matka.

— Mama, dlaczego ja mam na nazwisko Belg, a ty Rzepecka? Czy ja nie jestem twoim rodzonym synem?

— Ależ jak najbardziej, synku, tylko twój prawdziwy tatuś nazywa się Belg, więc ty też. Rozumiesz?

— Trochę kapuję. A Leszek to był twój przybrany mąż?

— Coś w tym rodzaju — odparła ubawiona.

— A co ten mój prawdziwy tatuś robi? I czemu do nas nie przychodzi?

— Widzisz — odparła wahająco — on nie bardzo lubi dzieci.

— Ja mam szczęście — zacisnął małe piąstki. — Jeden tatuś nie lubi dzieci, drugi siedzi w „kiciu”.

— Co to za określenie? Kto cię tego nauczył?

— Koleś — odparł butnie. — Idę się pobawić piłką, mama.

— Teraz musisz odrobić zadanie na jutro.

— No, niech będzie. Ale wieczorem oglądam w telewizji kobrę.

— Nie będziesz tego oglądać, to nie jest widowisko dla dzieci. . .

— Co ty, mama! Młodzież teraz ogląda całą telewizję, jak leci. A jak mi dzisiaj nie dasz zobaczyć kobry, to nie odrobię lekcji!

— Ach ty, mały szantażysto — powiedziała tonem poirytowanym.

— A co to za sport, mama? Nie słyszałem o szantażystach.

Rozbroił ją tym zapytaniem, przyciągnęła go do siebie i pocałowała.

— Ojej, nie lubię tego, mama, całujesz na mokro, albo na czerwono — obtarł policzek rękawem. — No, więc jak będzie z tą telewizją? Układ stoi?

— Zadzwoń do naczelnego redaktora „Ekranu”, on na pewno będzie wiedział, czy dzieci mogą na to patrzeć. . .

Kobiecie bez męża niełatwo jest wychować chłopaka. Należałoby w tej sprawie zasięgnąć rady jakiegoś tresera, bo jeśli można na przykład zmusić fokę, aby nosem podrzucała w cyrku piłkę — a małą, aby z ferworem jeździła w kółko na rowerze, to przecież można w końcu zmusić dziecko do nauki i czystości.

— Misiu! Jedną nogę umyłeś, a drugą masz czarną!

— Zapomniałem umyć tę drugą. . .

— No, to umyj, nim pójdziesz spać.

— Jutro, mama, jutro umyję wszystkie nogi. Dzisiaj jestem taki przepracowany.

Jego koledzy na podwórku byli tacy sami jak on, jak gdyby pochodzili z serijnej produkcji taśmowej, i wszystkie matki skarżyły się jednakowo, że ich synkowie nie chcą się uczyć, myć i nie słuchają rodziców. Różnica polegała tylko na imionach, na jednego wołało się Edek, a na drugiego Boguś, na trzeciego Zbyszek, inaczej trudno by ich było odróżnić. Wszyscy mieli podobne hobby, zbierali wierzchy od pudełek po papierosach lub zapałkach, kolorowe zagraniczne kartki pocztowe. Przybijali je do ściany. Wszystkich jednakowo interesowały sportowe mecze i gdy je nadawano przez telewizję, nie było sposobu, aby ich od telewizora oderwać. Książek nie zbierali. Czytanie wymagało pewnej pracy umysłowej, a radio i telewizja dawały już gotową potrawkę, którą tylko połykało się bez fatygi. Wszyscy jednakowo interesowali się samochodami i z daleka już rozpoznawali marki.

— Mama — wołał od okna Miś. — Popatrz, jaki piękny taunus stanął przed naszym blokiem! Ale fajny, niee?

— Skąd wiesz, że to taunus, synku?

— Ma się to oko. Ja każdą markę samochodu z daleka rozpoznam. A jak będę duży, to mi kupisz samochód, mama? Kupisz, prawda?

— Nigdy już żadnego samochodu nie kupię — odparła twardo.

— To jak ja będę wyglądał. Rodzice moich kolegów i koleżanek przeważnie mają własne wozy.

— Niech sobie mają, a my nigdy nie będziemy mieć i koniec.

— A jak będę duży, to sam sobie kupię.

— Ciekawa jestem, za co.

Zaczął się głęboko namyślać. — Za świniaki — wykrzyknął tryumfująco.

— Jak to za świniaki? — zdziwiła się.

— A tak. Jeden taki ma duże gospodarstwo pod Warszawą i kupił sobie pięknego czarnego opła. Jego Małgosia, która ze mną chodzi do szkoły, mówi, że jej tatuś raz po raz zabija świniaka, sprzedaje i ma na wszystko.



— Ale skąd weźmiesz pieniądze na zakupienie takiego dużego gospodarstwa? — zapytała Krystyna trochę zaniepokojona tymi przyziemnymi marzeniami syna.

— Ożenię się z Małgosią albo z Jadźką. Rodzice Jadźki też mają na wsi gospodarstwo i duży sad. Będę sam włąził na drzewa — zapalił się — strząsał z drzewa owoce, potem sprzedam i kupię sobie opła kapitana.

— I ty myślisz, Misiu, że rodzice Jadźki czy Małgosi pozwolą córce wyjść za mąż za takiego leniucha, który nic nie ukończył, niczym nie jest; będą się starali wydać córkę za inżyniera albo doktora. . .

— Oo. . . wielkie rzeczy, to „zdam na inżyniera”, byle tylko mieć własne świnia i drzewa owocowe. A tobie, mama, kupię futro, czarne.

— Nie chcę czarnego futra!

— Ale całe nabijane brylantami! — zeskoczył z parapetu i zaczął koziołkować po dywanie.

Chciała się śmiać z tej rozmowy, ale jakoś nie mogła. Przejęła ją niesmakiem i niepokojem. Przyszłość swojego syna jedynaka ujrzała w formie świnki z zakręconym ogonkiem, syna, o którym marzyła, aby został kimś wybitnym. Pocieszyła się szybko, że to przecież jeszcze dziecko, że z tych marzeń wyrośnie jak z portek i butów. Jej sąsiadka, żona pewnego lekarza, miała też syna w wieku Misia, z którym się razem bawili. Przychodziła czasem do Krystyny na pogawędkę.

— Pani Krysiu, wie pani, co mi powiedział mój Zbysio? Że on musi, gdy dorośnie, mieć samochód zagranicznej marki. A skąd weźmiesz na to pieniądze? — pytam się go. — A wie pani, co on na to? Obrabuję nocą na pustej ulicy przechodnia, ogłuszę go i zabiorę mu portfel z całą forszą! — Aż mnie ciarki przeszły po plecach, gdy to powiedział. I niech pani powie, skąd mu taki makabryczny pomysł przyszedł do głowy?

— Z gazet — odparła Krystyna. — Przecież gdy się już nauczą czytać, to czytają przede wszystkim codzienną prasę i trudno ich przed tym ustrzec. Za to książek mądrych i pożytecznych nie wezmą do ręki. Ach, nie ma już dzieci — westchnęła — są jacyś mali dorośli, jacyś mikro-starsi, którzy nie bawią się ani w mrućka, ani w talarka, jak to my, gdyśmy były małe, ani też w ciuciu-babkę, za to gdy trochę podrosną, to bawią się w „cium, cium babkę”, czyli całują się z dziewczynami po kątach.

— Wcale nie tak po kątach — odparła sąsiadka — ale jawnie, na ulicy, w biały dzień: chłopak jedną ręką trzyma dziewczynę za szyję, a drugą je lody.

— Czyli — uśmiechnęła się smutno Krystyna — dzieci to już nie to, co nazywało się „błogosławieństwo boże”, ale dopust boży!

— Przesada! Nie można uogólniać, są jeszcze dobre, kochające dzieci, które rano biegają z koszyczkiem po mleko i bułki, córki, które matkom pomagają w gospodarstwie, tak jak u państwa Żbików w drugim bloku. Jeden ich syn jest

już po politechnice i praktykuje w fabryce... nawet zarabia. Córka zdała kurs krawiectwa i szyje sobie i matce sukienki.

Krystyna pomyślała, że zamiast Misia wolałaby mieć taką córeczkę, która by sobie i jej szyła suknie — ale nie pomyślała tego na serio. Z jej Misia będzie jeszcze człowiek — a gdy się ożeni — ludzie. Nie należy brać wszystkiego tak tragicznie. Wyszła razem z sąsiadką na miasto.

\* \* \*

Miś rósł jak ciasto i był jak ciasto biały i miękki. Żadnych sportów nie uprawiał, za to przed telewizją wysiadywał całymi godzinami.

— Dlaczego ty nie masz mięśni — dziwiła się Krystyna. — Ramiona jak u dziewczyny.

— Mięśni się nie nosi — odparł poważnie. — Niemodne. Nie wiadomo skąd, jak cała obecna młodzież męska, znał się na każdej dyscyplinie sportowej. Siedząc przy telewizorze, wykrzykiwał: — Ale go zaprawił, skubaniec! Brawo, Grudzień! Lewy prosty! Jego specjalność! Niemiec ma dobre uniki. Ale młócka! Mama! Polak wygrał w pierwszej rundzie! — wołał i bił się po udach z radości.

— No to co? — odparła Krystyna zajęta jakimś rysunkiem.

— Jak to co? Nic cię to nie obchodzi?

— Nic a nic — przyznała szczerze.

— Ciebie tylko obchodzą te twoje głupie rysunki.

— Nie takie znowu głupie, kiedy z nich żyjemy.

— Eee... jakie to tam życie. Bez samochodu. Prawie wszyscy rodzice moich kolegów mają samochody.

— Nie pleć... nie wszyscy.

— Pewnie” że nie wszyscy, ale dzieci tych rodziców, którzy umieją zarobić. Mama, ty mi kupisz samochód.

— Mówiłam ci już tyle razy, że samochodu nigdy mieć nie będziemy.

— Jak to? — mruknął ponuro. — Ja będę miał.

— Gdy zdasz maturę, a potem pójdziesz na jakieś wyższe studia i zaczniesz zarabiać, to może sobie po wielu latach kupisz samochód.

— Albo wygramy w totolotka, mama.

— Najpierw myśl o tym, aby zdać maturę — odparła rozsądnie. — Dwa lata jesteś opóźniony. Aż wstyd.

— Jaki tam wstyd. Inni chłopcy też nie zdali, a rodzice pozwalają im prowadzić samochód.

— To bardzo nierozsądni rodzice.

— Tobie się zdaje, że ty jedna jesteś mądra — rzekł spoglądając na nią chmurnie spod ciemnej grzywy. — A skoro tak, skoro nie chcesz mi kupić samochodu, to sobie z kumplami wypożyczymy cudzy.

Przestraszyła się. — Nie, Miśku, tego nie zrobisz, to tylko najgorsze chuligany tak postępują.

Nic nie odpowiedział. Odszedł od telewizora, gdzie nadawano właśnie jakiś interesujący film z dziedziny przyrody. Poszedł do swojego pokoju, bo wreszcie dostali większe mieszkanie, w którym na ścianie przybite miał różne nalepki z pudełek od papierosów i zagraniczne kolorowe karty pocztowe. Położył się na tapczanie, z ramionami pod głową, nastawiwszy poprzednio radio na bigbeatowy koncert.

Krystyna, której te hałasy przeszkadzały w pracy, zamknęła drzwi od jego pokoju.

Gdy po jakimś czasie weszła tam, aby wziąć jakąś potrzebną jej książkę, ujrzała, że trzyma w ręce podręcznik matematyki i uczy się.

Ucieszyła się i chciała przygasić radio. Poderwał się z tapczana.

— Zostaw! — wykrzyknął — mnie się bardzo dobrze pracuje przy muzyce.

W rozmowie z innymi matkami podrastających synów dowiedziała się, że wszyscy chłopcy uczą się albo rysują wyłącznie przy dźwiękach bigbeatowych płyt.

— Ci młodzi — westchnęła Krystyna — to jakiś inny naród niż my. Naród, który żyje obok nas, mówi innym niż my językiem, chociaż do polskiego zbliżonym, naród, który ma zupełnie inne zamiłowania niż my w ich wieku, dla których miłość to tylko bardziej zbliżona forma do ich tańców „lets-kiss”, „twista” itd. — Przy tych słowach Krystyna roześmiała się, bo ją przeszedł dreszcz grozy, więc postarała się to obrócić w żart.

— To prawda, że to jakiś inny naród ta obecna młodzież — westchnęła właścicielka dorosłego syna, która rozmawiała z Krystyną. — Ale cóż, trzeba żyć z nimi w jakiejś symbiozie, iść na ugody, ustępstwa, postarać się ich zrozumieć. . .

— Rodzice na ogół starają się iść właśnie po tej linii — odparła Krystyna — ale często ich słowa uderzają o mur, o jakiś chiński mur nie do obalenia. Ale w gruncie rzeczy to mi ich żal. Nie znają czystej radości życia. Radości, którą nam daje każda wiosna, kwitnące jabłonie i wiśnie, wiewiórka. . . las. . . grzyby — rozmarzyła się. — Mnie to wciąż zachwyca na nowo. Gdy spaceruję latem samotnie po lesie, to wpadam w jakąś euforię. Jestem po prostu szczęśliwa.

— Tak — przytaknęła jej ta druga czterdziestolatka — tych radości, radości, które daje samo obcowanie z przyrodą, oni biedni nie znają. . . Są ślepi i głusi z wyjątkiem orkiestry bigbeatowej, która do nich dociera.

— No, ale na szczęście nie wszyscy — zakończyła tę rozmowę Krystyna optymistycznym akcentem.

Któregoś wieczoru Krystyna stała przy oknie, wypatrując powrotu Misia. I znów tak jak dawniej, gdy daremnie wyczekiwała powrotu Leszka — niepokoiła się. Pamiętała ów druzgocący telefon z milicji. Życie jest przecież złożone z drobnych radości i poważnych klęsk — i o tym nie należy zapominać. Trzeba

wciąż być na czatach i przygotowanym na wszystko najgorsze. Telefon od kogoś, kto śledzi wyniki toto-lotka i gra na spółkę z tobą, który by zabrzmiał słowami: „Wygraliśmy pół miliona!” — nie zdarza się. . .

Była godzina dziesiąta wieczór i Misia ani śladu! Gdyby to był mąż, toby mogła przypuścić, że poszedł do jakiejś kobiety, ale ten gówniarz (jak go nieraz w myślach nazywała)? Gdzie on może się włóczyć? Czasem mówił, że idzie do jakiegoś Jasia uczyć się i wracał dość późno. — Nie ma się czego niepokoić. . . Jak dorachuję do pięćdziesięciu, to się zjawi — zaczęła sobie wróżyć. — Dorachowała do siedemdziesięciu, ale chłopaka wciąż nie było. Na szczęście zaczęło ją swędzić lewe oko, co zwykle było oznaką, że oczekiwana osoba za chwilę się zjawi. Usłyszała pełen nadziei warkot jadącej do góry windy. To on! Ale winda z tak zwaną niesłusznie „złośliwością przedmiotów martwych”, kiedy wiemy dobrze, że one są żywe, stanęła na jednym z niższych pięter. Po chwili „przedmiot martwy” znów obiecująco wjechał na górę, zazgrzytał klucz w zamku. Nie trzeba okazywać radości z jego powrotu — pomyślała roztropnie Krystyna — należy surowo go złącać, że tak późno wraca. Zamiast tego zawołała radośnie: — No, nareszcie! Już myślałam, że ci się coś stało! — Spojrzała na niego pytająco. Buty miał zabłocone, rozpruta z boku marynarkę, minę jak gdyby sztucznie obojętną, ręce czarne.

— Jak ty wyglądasz! Biłeś się z jakimiś chuliganami czy co?

— Co ty, mama. Dlaczego miałem się bić?

— No to czemu tak dziko wyglądasz? Powiedz, gdzie byłeś?

— A co cię to obchodzi. Daj coś zjeść!

— Najpierw doprowadź się do porządku, popatrz, jakie masz ręce! Idź natychmiast do łazienki.

Poszedł posłusznie i dość długo tam siedział. Wyjęła z lodówki wędlinę, postawiła na stole talerzyki, imbryk z wodą na gazie. Było jej zupełnie wesoło i łagodnie na duszy, cieszyła się, że sama nareszcie coś przekąsi. Niepokój nie dodaje apetytu, zmusza jedynie do palenia papierosów. Ci, którzy nam radzą, aby przestać palić, nigdy widocznie nie czekali długo na kogoś bliskiego. . . Spojrzała na popielniczkę i była zaskoczona niezliczoną ilością niedopałków. Miś pożerał ponuro, smarował jedną kromkę chleba po drugiej, nakładał plasterki kielbasy. Jadł gwałtownie, szybko, jak gdyby chciał zjeść jakiś swój kłopot. Spoglądała na niego z tym rozczuleniem właściwym kobietom, kiedy to przygotowują samcowi żarcie, a on niczym nie gardzi i wcina, aż mu się żuchwy trzęsą. Gdy podjadł, zrobił pauzę na papierosa. Zaciągnął się głęboko i wypuścił smugę smrodliwego dymu ze sporta. Nie cierpiała tego dymu i zwykle prosiła go, ażeby jeśli już musi palić, kopcił jakieś inne papierosy — ale teraz była tak zadowolona, że wrócił, że mu się nic nie stało, że nie chciała psuć mu jeszcze bardziej humoru, bo zauważyła, że jest zły.

— No, powiedz, gdzie byłeś tak długo? — odważyła się zapytać.

— U kolegi — mruknął. — Mama, pościel mi tapczan, jestem taki skonany... Poszła natychmiast do jego pokoju.

— I wiesz, mama — rzekł ściągając z siebie przepecone farmerki, których nie wolno było prać, bo, jak twierdził, wyjdą z fasonu — gdyby się kto pytał, czy wychodziłem dziś po południu z domu, to powiesz, że nie.

— Dlaczego? — złąła się. — Czy coś przeskrobałeś? Przyznaj się...

— Coś ty, mama! Nic nie przeskrobałem. Ja chcę spać.

Wróciła do swojego pokoju, czując, jak jej kąciki ust lecą w dół, a serce bije nierówno. Coś musiał narozrabiać, kiedy chce mieć alibi. Mój Boże! Tego mi jeszcze brakowało! Musiała zażyć meproamat, aby tej nocy móc zasnąć. Pomyślała, że dzieci dawniej nazywano „pociechami”, bez ironicznego mrugnięcia okiem. Ładna „pociecha”. A najgorsze, że musi go kochać, bo to przecież jej rodzony syn.

\* \* \*

Nazajutrz rano Józefa z zadowoloną miną przyniosła wiadomość (uwielbiała sensacyjne nowinki), że panu doktorowi Wilke, co to mieszka w drugiej kamienicy i u którego jej pani bywa — chuligany skradły samochód.

— Ano tak — rozsiadła się do tego opowiadania — samochód pana doktora stał wieczorem na pustej ulicy w okolicy Banacha. Chuligany wdarły się do środka, puściły motor i odjechały, ale nie umiały jeździć, więc tylko samochód rozkważyły, ale milicja go odszukała, bo pan doktor zaraz zadzwonił na milicję i podał numer wozu.

— A tych... tych chuliganów przyłapali? — zapytała zmienionym głosem Krystyna i wyciągnęła z pudełka papierosa.

— Gdzie tam! Samochód zepsuli, a sami zwiali. Takie to teraz ludzie. I szukaj wiatru w polu!

Krystyna starała się obojętnie mówić o tym wypadku. — Pewnie będą ich szukać po domach... gdzieś w okolicy Ochoty... Badać rodziców...

— Pani to jak dziecko. A jaka matka się przyzna, że jej syn tego dnia nie był w domu, tylko się gdzieś bałaganił. Pani by się przyznała?

— Nie wiem, co bym zrobiła — odparła gniewnie. — Ale na szczęście to nie nasza dzielnica, a poza tym Misiek nigdy by czegoś podobnego nie zrobił.

— Może i nie — odparła z pewnym wahaniem Józefa — taki łobuz to on znowu nie jest, chociaż mi nigdy nie mówi „dzień dobry” i z czarnym parasolem spaceruje przy pogodzie, jak te młodociane chuligany.

— A cóż ma parasol do tego? — roześmiała się trochę nieszczerze Krystyna.

— A ma. Ci z parasolami i z dziewczuchami pod pachą to są najgorsi. Już ja się przekonałam. Starszego człowieka potracą, pierwsi się w kolejkach sklepowych

pchają, a jak się wyrażają! — zaczęła energicznie zamiatać podłogę z taką surową twarzą, jak gdyby miotłą popychała „tych z parasolami”. — A gdzie to nasz Misiek był wczoraj po południu? Jużem spała, jak wrócił, alem się na moment przebudziła, było już chyba po dziesiątej. . .

— Był u kolegi — rzekła Krystyna tonem nie zachęcającym do dalszej rozmowy na ten temat.

\* \* \*

Pod wieczór wybrała się do doktorostwa Wilke, aby dowiedzieć się szczegółów kradzieży samochodu.

— Proszę, proszę bardzo — rzekł Wilke, który jeszcze w białym kitlu otworzył jej drzwi. — Przychodzi pani złożyć kondolencje z powodu kradzieży samochodu. Żona wyjechała na wypoczynek do Krynicy, właśnie do niej dzwonię, aby ją o tym zawiadomić. Nowy wartburg. Ledwo go nabyłem, miał dopiero kilka tysięcy kilometrów przebiegu, a teraz. . . kaleka. . . istna kaleka! Och — w tym momencie zacisnął pięść — gdybym tylko mógł odnaleźć tych łajdaków, łobuzów. . . kości bym im połamał!

Krystyna spojrzała na jego silne, czerwone dłonie i dreszczyk jej przeleciał po krzyżu. Gdyby, nie daj Boże, Miś był wśród owych łobuzów i to się wykryło, a miała co do tego poważne przypuszczenia — to nie wyszedłby cało z łap doktora.

— Ale dlaczego — zapytała — chce pan zawiadomić żonę o tym wypadku, skoro samochód odnaleziono? Zmartwi się, biedna. . .

— To ja mam sam się gryźć, a ona tylko chodzić po kawiarniach i grać w brydża! To byłoby niesprawiedliwe — odparł.

Telefon zaterkotał w sposób specjalny, oznajmiając rozmowę zamiejscową.

Doktor podniósł słuchawkę i po krótkiej chwili zaczął mówić, a raczej krzyczeć do telefonu. — Halina, to ty? Muszę cię zmartwić, skradziono nam samochód — zrobił krótką pauzę. — Co, zaniemówiłaś? Ale został przez naszych dzielnych milicjantów odnaleziony. Dlaczego „chwała Bogu”? Nie masz pojęcia, w jakim stanie! Te łobuzy, chuligany, zatarły silnik, nalewając czystej benzyny bez oliwy. Przy wrzucaniu biegów zakleszczyły skrzynię biegów. Drażek przekładowy zgięły na chama. Że co, że po co ci to opowiadam, bo i tak się na tym nie znasz? Dobra. Na ile tysięcy szkód? Bo ja wiem. . . chyba na jakieś dwadzieścia kilka tysięcy. Że Ubezpieczenie pokryje te koszty? Nie łudź się, tylko częściowo, mamy wpłacone to mniejsze ubezpieczenie. No, nie martw się, co najwyżej nigdzie nie pojedziemy na święta. No, to cześć, Halina, baw się dobrze!

Te ostatnie słowa wzbudziły w Krystynie iskrę wesołości.

Typowy mąż — pomyślała — po tych wszystkich fatalnych wiadomościach życzy jej, aby się dobrze bawiła.

Doktor odłożył słuchawkę, z miną zadowoloną z siebie usiadł i poczęstował ją papierosem.

— I żeby taka swołocz umiała jeszcze wóz prowadzić — sapnął wśród smugi dymu — ale gdzie tam! Nie mają zielonego pojęcia. . .

— No to po co to robią? Jaki mają cel?

— Jaki? Żeby właścicielowi samochodu krzywdę zrobić z wrodzonego łajdactwa i lekceważenia cudzej własności. A najgorsze, że to się wciąż nazywa „wypożyczeniem cudzego samochodu” i nie podlega surowej karze. Gdyby rodzice takich chuliganów musieli płacić duże odszkodowania za szkody, które ich synkowie robią, toby gówniarzy lepiej pilnowali!

— Ale skąd wiadomo — rzekła Krystyna — że to młodzi chłopcy, a nie jakieś dorosłe typy?

— Dorośli po pierwsze umieliby się z wozem obchodzić, a po drugie od razu prysnęliby poza Warszawę i zmienili tabliczkę z numerem. Zresztą, wiadomo, że takie łobuzerstwa robią wyrostki, te wyrostki robaczywe — warknął ze złością. — A u nas, w naszych blokach, to niby nie? Często widzę jak się wieczorami kręcą koło samochodów stojących na ulicy.

Spojrzał na Krystynę bystro. — Zauważyłem, że pani syna też interesują samochody.

Zmusiła usta do fałszywego uśmiešku. — To teraz takie ich hobby — rzekła. — Każdy z nich marzy o prowadzeniu własnego samochodu.

— To niech, cholera, pracują ciężko fizycznie, dorabiają się jakiegoś używanego wozu, ale niech nam naszych z trudem zdobytych mnóstwem wyrzeczeń i . . . rat nie „wypożyczają”. Och, żebym kiedyś mógł natrafić na tych łajdaków.

Krystyna wstała, pożegnała się i wyszła. Serce, można rzec, miała jak gdyby spuchnięte z niepokoju. Intuicja mówiła jej, że Miś brał udział w tym „skoku”, jak to się u nich nazywa.

— Misiek — rzekła wróciwszy do domu — czyś ty przypadkiem nie brał udziału w tej kradzieży samochodu pana doktora?

— Jakiego samochodu, jakiego doktora? — zapytał niby obojętnie, ale ciemny rumieniec oblał mu twarz i czoło.

— Nie udawaj, że nie wiesz. Wartburga doktora Wilkego „wypożyczyły” sobie jakieś chuligany i zniszczyły go. Nic o tym nie słyszałeś?

— Nieee. . . Ale to fajno! — roześmiał się bezczelnie. — Będzie musiał bulić teraz za naprawę.

— Wóz ma ubezpieczony. Ale czemu tak cię to bawi?

— A bo. . . — spuścił oczy na swoje spiczaste buty na wysokich obcasach — bo po co on ma mieć, a inni nie.

— Powiedz mi, Miśku — starała się mówić spokojnie, bez wyraźnego zdenierwowania — dlaczego prosisz, abym mówiła, gdyby się ktoś pytał, czy tego wieczoru gdzieś wychodziłeś, że cały czas byłeś w domu?

Spojrzała na niego i nieomal po jego zmarszczonym czole dostrzegła pracę mózdzku, który głowi się nad odpowiedzią, a raczej nad odpowiednim kłamstwem.

— A bo bałem się, że będzie dzwonić taka jedna dziewczyna, co się z nią umówiłem do Hybryd, ale wolałem pójść z kumplami na piwko.

Nie umie jeszcze dobrze kłamać — pomyślała Krystyna — jego ojciec robił to sprawniej. — A mówiłeś, że poszedłeś do swojego kolegi Jasia. . . ?

— Najpierw do Jasia, a potem z nim i z innymi chłopakami na piwko. Czy to takie dziwne? Co robisz takie oczy. Nie wiesz, że wszyscy chłopcy piją teraz piwo. A w ogóle — w tym momencie chciał ją nastraszyć i mieć nad nią przewagę — co cię to obchodzi, gdzie i z kim ja chodzę? Jestem już dorosły, kończę siedemnaście lat i mogę robić, co chcę!

— Póki jesteś u mnie i na moim utrzymaniu — rzekła już ze złością — to muszę wiedzieć, z kim i gdzie chodzisz. Mam do tego prawo!

— Jak będziesz tak szurać, to. . . ucieknę z domu! — Była to groźba, którą wiele matek słyszało co dzień od swoich synów i córek, wiedząc, że one tego najbardziej się boją. . . Czy nie było już wiele takich wypadków?

Krystyna wahała się przez moment, jak ma na to zareagować, najchętniej wyrznęłaby go w mordę, w tę przystojną, chłopięcą mordkę, ale co to z nimi można wiedzieć — obcy naród — a nuż oddałby jej ten policzek? Nieee — tego by chyba nie zrobił, ale mógłby wyjść z domu i wrócić Bóg wie kiedy — albo wcale. . . Musi się opanować. Najlepiej powiedzieć ostrym tonem: „A teraz idź spać!” Co też uczyniła.

— Pójdę — rzekł już potulnie — ale daj mi do łóżka jakiś kryminał.

— Nie mam żadnego kryminału, którego byś już nie czytał. Dam ci Gdy słońce było bogiem Kosidowskiego. Piękna i pasjonująca lektura.

— A czy to sensacyjna powieść?

— Właściwie tak. . . Wiesz, o dawnym Meksyku, o Inkach. . .

— Inki-szminki. Nic mnie to nie obchodzi. Przeczytam sobie jeszcze raz Sprawę Niteckiego.

Odszukał tę powieść kryminalną w jej bibliotecze.

— No to cześć, mama. Dobranoc!

— Dobranoc, synku — rzekła z tą pokorą i dobrotliwością dzisiejszych matek, zupełnie bezbronnych wobec swoich dzieci, położyła się w sukni na tapczanie, zamknawszy drzwi do pokoju Misia, z którego rozlegały się dzikie tony bigbeatowej orkiestry.

Idąc kiedyś Nowym Światem, Krystyna ujrzała naprzeciwko siebie Franciszka. Zatrzymał ją. Zauważyła z prawdziwą przyjemnością, że się postarzał. Miał oczy okrażone sinym półksiężycem i górną wargę zapadniętą. Może sobie robi protezę? — pomyślała wesoło i złośliwie.



— Krystyna! — wykrzyknął. — Nic się nie zmieniłaś. (Tego powiedzenia nie należy nigdy brać na serio, jest to jak gdyby angielskie „how do you do?”, na które się jak zwykle nie odpowiada). No, co u ciebie słychać? Chodź, pójdziemy do tej małej kawiarenki. — Nie czekając na odpowiedź pociągnął ją za rękaw.

— No i jak ci się żyje? — zapytał, gdy już usiedli przy stoliku. — Słyszałem, żeś wyszła drugi raz za mąż?

— Wyszłam za mąż — odparła — i... wyszłam z małżeństwa. Roześmiała się. — Rozumiem, rozwiodłaś się. No, to świetnie, zazdrosny mąż nie będzie cię szpiegował. Możemy sobie swobodnie poplotkować. Miś to już duży chłopak, co?

— Co się stało — rzekła ironicznie — że się nagle zainteresowałaś swoim synem... bo dotychczas?

— Wiesz, że ja nie znoszę dzieci, ale lubię dorosłych w różnym wieku. Chciałbym go kiedyś zobaczyć. Do kogo podobny?

— Do wszystkich chłopców w jego wieku.

— No, to chyba przystojny, bo ta nasza dzisiejsza młodzież to taka dorodna, wyrośnięta...

— Owszem, udał mi się.

— Udał się nam — poprawił ją. Kiwnął na kelnerkę i zamówił dwie kawy.

— No, ty wzięłaś w tej robocie minimalny udział, mój Franku.

— Ale zawsze...

Gdy się uśmiechnął, skonstatowała, że mu u góry brakuje kilku zębów.

— No, a ty? — zapytała wsypując cukier do podanej kawy. — Jesteś szczęśliwy?

— Chyba tak — rzekł z pewnym wahaniem. — Widzisz, w małżeństwie należy dobierać się wadami. To wcale nie jest paradoks. Ja jestem egoistą, jak wiesz, ona jeszcze większą. Ja potrafię być nerwowy, ona histeryzuje o byle co. Ja jestem rozrzutny...

— Tego nie zauważyłam — przerwała mu z ironicznym uśmieszkiem.

Pominał jej uwagę. — Ona by wyrzucała pieniądze garściami...

— A czy również potrafi tak kłamać jak ty? — zapytała Krystyna zapalając papierosa.

— Zawsze byłaś złośliwa, Krysieńko. Ja nigdy nie kłamałem z nałogu, tylko z litości... żeby ciebie nie ranić.

— A czy ona też jest w stosunku do ciebie taka miłosierna? — zapytała. — Widzisz, Franciszku — mówiła dalej — ludzie przyznają się tylko do tych wad, które właściwie wadami nie są. Przyznają się do tego, że są nieporządni, że nie mają pamięci, że często coś gubią, nawet do tego, że bywają kłótlivi i nerwowi. Ale nikt nigdy nie słyszał, aby ktoś o sobie powiedział: „jestem kłamcą”, „jestem brudasem”, „brakuje mi rozumu”, „jestem skąpcem i sknerą”.

— Lub: „jestem świnia” — roześmiał się Franciszek. — A ja, widzisz, przyznaję się: „byłem wobec ciebie świnia”. Ale to była twoja wina — dodał szybko — tyś mnie do tego doprowadziła.

— Wiem — rzekła jadownicie — doprowadziłam cię tym strasznym moim występkiem, że jak wszystkie kobiety pragnęłam mieć dziecko.

— W naszych ówczesnych warunkach, w tej ciasnocie, to naprawdę było w stosunku do naszego małżeństwa jeśli nie występkiem, jak to określiłaś, to w każdym razie jakimś kardynalnym błędem.

— Dobrze, nie mówmy już o tym. Zmieńmy temat. Słyszałam, że ci się dobrze powodzi, pracujesz w dwóch redakcjach, masz samochód.

— Tak — rozjaśnił się jak właściciel rasowego psa, któremu o nim wspomniano. . . — Fiata tysiąc sto. Idealny wóz! Prowadzimy go z Elą na spółkę. I wiesz — mówił z radosnym ożywieniem — umówiliśmy się tak, że w towarzystwie raz ona pije i wówczas ja prowadzę wóz, a na drugi raz odwrotnie.

— Ale może wam się kiedyś pomylić, które wypilo, a które nie — rzekła Krystyna siląc się na żarciki i nie czując się w towarzystwie swojego dawnego męża ani dobrze, ani wesoło, nawet skonstatowała, że wszystko, co mówił, drażniło ją. Pomyślała, że dopiero w dawnych miłościach widzi się własną głupotę. No i cóż w tym Franciszku było takiego, że za nim tyle lat szalała? Spoglądała na niego teraz jak na starszego brata swojej długoletniej miłości. Owszem, był nawet podobny do Franka, ale to nie był on. Całe szczęście, bo inaczej czułaby się w jego towarzystwie głupio, byłaby okropnie skrępowana i dawne wspomnienia gorących nocy i pogodnych dni nie dałyby jej tak spokojnie z nim rozmawiać. Stał się dla niej nagle niemodny i nie do użytku jak ulubiona suknia, która długo leżała w szafie i którą się nagle wyciągnęło, zapragnęło przymierzyć. A tak jej kiedyś było w niej do twarzy! . . . On jak gdyby odgadując jej myśli spojrzął na nią bystro i rzekł: — Ty to musisz mnie bardzo nienawidzić!

— Ach skąd! — przełknęła łyk kawy i uśmiechnęła się. — Nienawiść to uczucie nie beznadziejne, a nawet może się z niej wykluć miłość, ale wyobraź sobie, że ja do ciebie nic nie czuję, absolutnie nic. . . Najzupełniejsza obojętność.

Poczuła, że go mocno dotknęła w jego męskiej ambicji.

— Tak, że gdybyś się nagle dowiedziała, że umarłem, tobyś się nie zmartwiła? — zapytał.

— Byłoby mi przykro, jak zwykle, gdy przeczytam w gazecie nekrolog o jakimś bliskim znajomym.

— Miła jesteś — uśmiechnął się krzywo i zapalił papierosa. — A ja zawsze cię bardzo lubię.

— Nie sztuka, zawsze mnie „bardzo lubiłeś”, a nie kochałeś, a lubienie to takie uczuciutko małe i pocziwe, które może przetrwać lata. . .

— Wiesz — rzekł po chwili milczenia Franciszek — chciałbym poznać tego naszego Michała. Przyślij go do mnie, bardzo proszę.

— Ależ oczywiście — odparła — kiedy zechcesz. . .

— To może w niedzielę, bo w tygodniu jestem szalenie zajęty. Obiecujesz na pewno?

— Masz prawo widzieć się z twoim synem, tylko mnie to dziwi, że tak długo nie zdradzałeś żadnego zapotrzebowania w tym kierunku. . .

— Ty wiesz, jaki jestem zajęty. Po prostu na nic nie mam czasu. Ciągłe wyjazdy, zjazdy, kolegia, ale już nieraz o tym myślałem. A co, dobrze się uczy?

— Źle — odparła krótko. — Już dwa lata siedzi w jednej klasie. Powiada, że wszystko, co profesor im wykłada, to on ma „w jednym palcu”.

— Tak jak oni wszyscy. . . — zasępił się. — Ale ja już bym go do nauki potrafił zmusić. . .

— No, no — trochę się zdenerwowała — tylko bez takich pomysłów. Sądzę, że dziecko przyznał, nie masz do niego żadnych praw.

— Po co się zaraz denerwujesz. Wcale nie chciałbym go mieć w domu, tylko wiadomo, że chłopak bez ojcowskiej opieki niedobrze się wychowuje.

— Ja już muszę iść — spojrzała na ręczny zegarek. — Obiad.

— Ja też. No, więc stoi, Michał przychodzi do nas w niedzielę po południu. Poczekaj, zapiszę ci dokładny adres. — Sięgnął poprzez stół i podniósł jej dłoń do ust. Wargi miał ciepłe i miękkie. Krystynę przeszedł dreszcz obrzydzenia, szybko wyrwała mu dłoń. Franciszek poprosił kelnerkę o rachunek, zapłacił za dwie kawy i wyszli.

— No, to do widzenia, Kryśka. Cześć! Cieszę się, że cię spotkałem.

— Ja też — odparła grzecznie i obojętnie.

Wracając do domu rozmyślała, czy dobrze zrobiła obiecując mu wizytę Misia, a może to zataić przed chłopakiem? Może nie „wywoływać ojca z lasu” — pomyślała żartobliwie. A nuż mu się ten papa spodoba i zacznie tam częściej bywać. Niebezpieczna zabawa. Pomyślała z przyjemnością, że zrobi „tatusiowi” małe świństwo i nie wspomni Misiowi o tym zaproszeniu.

Warszawska niedziela podobna jest jedna do drugiej, z tą tylko różnicą, że liście w Alejach są raz na drzewach — raz pod drzewami, raz zielone jak grynszpan — a raz rude jak rdza. Kobiety w jakąś niedzielę pokazują gołe nogi, a w kilka niedziel później widzi się te same nożyska w wysokich butach, sięgających kolan. Ale z każdej niedzieli wieje ta sama nuda i niepokój, że trzeba ją jakoś lepiej spędzić.

Misiek siedział jak każdej niedzieli od rana przy telewizorze. Krystyna czytała pasjonującą książkę, a Józefa pichciła w kuchni. Po obiedzie, który zwykle w dzień świąteczny bywał lepszy niż w powszedni, Krystyna kładła się z książką na tapczanie, Miś znowu zasiadał przy telewizorze. Józefa miała tak zwane „wychodne”. O godzinie szóstej po południu zaterkotał telefon. Miś podniósł słuchawkę.

— Kto to dzwoni? — zapytała Krystyna.

— Mój tatuś — odparł. — Pyta się, dlaczego mnie do niego nie przysłałaś, skoro obiecałaś?

Krystyna, zmieszana, nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. — Ach, na śmierć zapomniałam! — rzekła w końcu.

— Dobrze, tatusiu — rzekł do słuchawki — będę u ciebie za kwadrans.

— Masz dokładny adres ojca? — zapytał.

— Mam. Tylko ubierz się przyzwoicie, aby mi wstydu nie zrobić.

— Dobra — rzekł krótko i poszedł do łazienki. Nałożył na siebie czyste ciemne ubranie, białą nylonową koszulę, ciemny krawat. Długo stał przed lustrem, gładząc i przyklepując włosy. Małym grzebykiem rozczesał modne w tym sezonie baczki, które były o wiele jaśniejsze od włosów na głowie.

— Ciekawa jestem — rzekła matka — co twój ojciec powie na te baczki?

— A co ma mówić? Wszyscy teraz takie noszą. Dziewczeta także. No, to cześć, mama. Chyba nie wrócę późno.

Ta warszawska niedziela była dla Krystyny wyjątkowo nudna i zaprawiona myślami nie tyle czarnymi, co żółtymi. Kolor żółty uważany był zawsze za kolor zazdrości. Zazdrosna była o tego tatusia, którego los musiał jej znów postawić na drodze życia. A nuż sobie tak przypadną do serca, że będą chcieli się często widywać? Zdenerwowana chodziła po mieszkaniu, zmieniała kwiatom wodę, zaparzyła sobie mocnej herbaty, a potem zaczęła wklepywać w twarz tłusty krem, o czym wiedziała z doświadczenia, że uspokaja nerwy i rozprasza niedobre myśli.

O godzinie dziewiątej Miś wrócił ożywiony i zadowolony. — Patrz, co dostałem od ojca — rzekł z dumą i położył na stole wieczne pióro. — Prawdziwy parker — dodał.

— No, no — rzekła Krystyna ani to z podziwem, ani też ze specjalnym zadowoleniem. Pomyślała zaś: oho, chce sobie chłopaka kupić.

— Mama — rzekł Miś. — Tatuś jest fajny, wiesz! I tak miło o tobie gadał, że jesteś utalentowana i że ten twój film animowany dla dzieci „Nasze ZOO” to najlepsza audycja w telewizji. I wiesz, poczęstował mnie winem i ciastkami, prawdziwą kawą. Mama, on mnie prosił, abym znów w przyszłą niedzielę do nich przyszedł. Pozwolisz, cooo?

Był wyjątkowo grzeczny i rozmowny, więc pogłaskała go po głowie i powiedziała, że będzie mógł ojca odwiedzać, kiedykolwiek on go zaprosi. Paliła ją ciekawość, aby się dowiedzieć, jaka jest ta jego żona, ta Ela. W końcu nie wytrzymała..

— A powiedz mi, Miśku, jaka jest ta... ta pani... pani Ela?

— Żona tatusia? Fajna. Pakowała we mnie tyle ciastek, że o mało się nie porzygałem.

— A ładna?

— Stara baba — rzekł wydymając małe, wypukłe usta. — Będzie miału ze trzydziestaka.

Krystyna roześmiała się szczerze. — No, to nie taka znowu stara. To ja jestem starsza od niej. . . A powiedz, łacina, szykowna?

— Czy ja wiem? Ja na starsze babki to nie zwracam uwagi. A wiesz, mama, tatuś ma samochód, ale jaki fajny, wiesz. „gatunkowy”. Odwiózł mnie tym wozem aż pod dom. I powiedział, że jak zdam maturę, to mi kupi motocykl!

— Na to ja się nigdy nie zgodzę! — wybuchnęła. — Jeszcze by mi tego brakowało!

— A cóż ty będziesz miała do gadania, jak zdam egzamin dojrzałości!

— Tak długo, jak jesteś u mnie w domu, będziesz robił to, co ja zechcę.

— Zobaczmy — rzekł butnie.

— Zobaczmy — odparła tym samym słowem, ale wypowiedzianym władczo i apodyktycznie.

Miś nic już nie odpowiedział, tylko poszedł do swojego pokoju, z którego niezadługo buchnęły z radia tony modnych piosenek.

Zbliżały się imieniny Misia i poprosił matkę, aby pozwoliła mu zaprosić do domu kolegów i koleżanki. Skrzywiła się. — Ojej, co to będzie dla mnie za kłopot, a potem ten straszny bałagan.

— Żadnego bałaganu, mama. To bardzo przyzwoici goście. Będą siedzieć tylko u mnie w pokoju. No. . . pozwól.

— Ale żadnego alkoholu — rzekła stanowczo.

— Coś ty, mama? Tylko kawa i soczki.

— A kto przyjdzie — zapytała.

— Trzech moich kolegów, jeden syn lekarza, drugi syn jednego inżyniera, a trzeci to taki młody, bardzo obiecujący poeta. No i dwie albo trzy koleżanki. Wszystkie dziewczęta z porządnych rodzin. Będziemy się bardzo ładnie bawić. Zobaczysz. I słuchaj, mama — jak kot otarł się twarzą o jej ramię. — Narobisz fajnych kanapek, dobrze? I każesz Józefie upiec mnóstwo jabłek.

Odezwała się w niej pani domu. — Eee, to będzie mało, trzeba jeszcze kupić jakichś wędlin, może sera. . .

— Jesteś idealna mama! Będzie fajna zabawa!

Nie znał innych przymiotników jak „fajne” i „idealne”. Zeszłoroczny przymiotnik, który młodzież stosowała nawet do ciastek, „genialne”, wyszedł już z mody.

\* \* \*

W dzień świętego Michała pokój Misia, elegancko wyfroterowany i wysprzą-  
tany, oczekiwał przybycia gości. O godzinie szóstej po południu zaczęli się scho-  
dzić. Krystyna, która tego dnia poszła do masażu, do fryzjera i włożyła na siebie  
najładniejszą, bardzo młodzieżową sukienkę, witała ich u progu. Chłopcy kłania-  
li się niezgrabnie, dziewczyny ścisnęły jej dłoń wilgotnymi, długimi palcami o

wyostrzonych perłowych paznokciach. Wszystkie były ładne lub też zrobione na ładne. Dwie miały długie, proste włosy, które złotymi strugami opadały wzdłuż biustu, dwie zaś nosiły wysokie ciemne czuby i włosy ściągnięte z czoła. Wszystkie miały oczy uczernione i usta pociągnięte jasną pomadką. Nie uśmiechały się na przywitanie, nie powiedziały ani słowa i szybko zrzucając płaszczyki powędrowały za rozpromienionym Misiem do jego pokoju, skąd po chwili odezwały się z adaptera dźwięki bigbeatowych płyt.

Krystyna weszła do nich po chwili, uśmiechnięta przyjaźnie, z tacą kanapek. Na środku pokoju jak gdyby w somnambulicznym transie poruszały się dwie pary, ponieważ trudno to było nazwać tańcem. Dziewczyna zamiast na tancerza spoglądała na swoje nogi, czy ich podskoki są prawidłowe, chłopiec ze zblazowaną miną patrzył w sufit. Na tapczanie siedziały, przytulone do siebie, dwie pary, które na widok wchodzącej pani domu natychmiast odsunęły się od siebie, jedna z dziewczyn wstała i odebrała tacę z kanapkami z rąk Krystyny. — Pani pozwoli — rzekła uprzejmie. Miś, który krążył wśród gości, szybko schował za szafę jakiś przedmiot, który mógł być butelką lub karafką.

— Usiądź, mama, z nami — poprosił. — Rozerwiesz się trochę.

— Proszę, niech pani siądzie tu koło nas — jedna z dziewczyn zrobiła jej miejsce koło siebie.

Krystyna, która postanowiła być młodą, rozkoszną mamą, taką, o której młodzież mówiłaby potem jej synowi: „Ale ty masz fajną mamusię!” — zaczęła wypytywać te panny o ich zajęcia, ich pracę. Jedna była na wydziale farmacji, druga zamierzała po zdaniu matury zostać aktorką filmową, trzecia postanowiła dostać się do handlu zagranicznego, aby móc wyjeżdżać. Czwarta studiowała anglistykę. Odpowiadały grzecznie, uprzejmie, ale wciąż bez uśmiechu, jak gdyby ich młode i pewnie ładne zęby były nie do pokazywania. Gdy przestała pytać, pokój zaległo skrzępowane milczenie. Chłopcy stali razem pod oknem, kopcili i coś sobie półgłosem opowiadali. Poczuli się nieswojo, tak jak wówczas, kiedy odwiedziła pewną staruszkę z rodziny w Domu Matysiaków. Tak samo jak tam, dawano jej odczuć w sposób delikatny i nawet uprzejmy — różnicę wieku. Powiedziała więc: — No, bawcie się dobrze, ja idę do swoich zajęć — i wyszła czując, że z tej młodej fe-rajny zniknął momentalnie jakiś ciężar i skrzępowanie. Później przechodząc koło zamkniętych drzwi pokoju, w którym odbywała się ta „prywatka”, usłyszała piski i chichoty dziewcząt, grube, rubaszne śmiechy chłopaków. Widocznie opowiadają sobie jakieś tłuste kawały — pomyślała bez złości i jadu. Nie zazdrościła im. Ich młodość nie miała w sobie ani prawdziwej wesołości, ani pustoty, ani słodkiej tajemnicy zakonspirowanego erotyzmu. Wszystko było jasne, jawne, realne, jak przy świetle dziennym. Rozebrała się, umyła i położyła na tapczanie z dziwną i przerażającą powieścią Styrona *Na pastwę płomieni*. Po godzinie zasnęła mocno i nie wiedziała, kiedy towarzystwo rozeszło się. Ponieważ nazajutrz była niedziela, więc nie budziła Misia, który jeszcze o godzinie dziewiątej spał smacznie. Jó-

zefa pobiegła do kościoła. Krystyna poszła do kuchni, zrobić sobie kawy, gdzie ku swojemu zdziwieniu ujrzała jedną z dziewczyn, które były na imieninach Misia. Była otulona w jego kąpielowy szlafrok, a na nogach miała jego sandały. Jej uczesanie i lekki makijaż były nienaruszone. Wcale się nie stropiła widokiem pani domu, tylko grzecznie powiedziała „dzień dobry”, jak gdyby jej miejsce w kuchni o tej porze było rzeczą najzupełniej naturalną.

— Skąd pani się tu wzięła? — zdziwiła się Krystyna.

— Spałam u Michała — rzekła najswobodniej w świecie. — Mieszkam pod Warszawą, więc bałam się późno wracać do domu. . .

— Aha — rzekła Krystyna tak zaszokowana, że nic innego nie potrafiła wypowiedzieć. Postawiła imbryk z wodą na gazie i zaczęła zmywać naczynia.

— Ja pani pomogę — rzekła dziewczyna i wyrwała jej z ręki zabrudzone talerze. Zaczęła sprawnie i szybko zmywać je pod kranem. Krystyna bez słowa nasypała kawę do termosu i zalała ją wrzątkiem. Spojrzała na dziewczynę. Była ładna tą modną urodą, pozbawioną wdzięku i blasku. Jej oczy niewiadomego koloru, zasmarowane ciemną szminką, nie błyszczały. Cerę miała matową, bez skazy, bez żadnego pryszczyka. Nie tak jak pensjonarki z czasów jej młodości, które wiecznie martwiły się jakimiś wypryskami, wrzodzikami, wągrami. Piło się na to bratki i brało na przeczyszczenie. Co te małpiątka robią, aby mieć takie cerę? — zastanawiała się. — Może się myją. . . Ale przecież myśmy się też myły, i to o wiele częściej niż one. Po prostu puszczają się i to hormony działają tak dodatnio na cerę — pomyślała złośliwie i przymrużywszy oczy, przyglądała jej się z ubawioną ironią. Dziewczę, umywszy talerze i filiżanki, poustawiało wszystko porządnie w kredensie i poszukało szczotki do zamiatania.

— Jak pani na imię? — zapytała Krystyna, nalewając kawę do filiżanek.

— Elżbieta — odparła zamiatając energicznie podłogę.

— No naturalnie — zaśmiała się — po co ja się pytam. Przecież wszystkie jesteście Elżbiety, Ele.

— No, nie wszystkie, proszę pani, są jeszcze: Iwonki, Ewy, Małgosie, ale to starsze roczniki, najmłodsze to Agatki.

— Tak, ale wasze lata można by obliczyć według imienia, któreście otrzymały na chrzcie. — Krystyna mówiła pół żartem, pół serio, i trochę uszczypliwie. Właściwie powinna była potraktować ją surowo, udawać strażniczkę cnoty, kazać jej się szybko ubrać i zwiewać, ale ta sytuacja zanadto ją dziwiła i bawiła, aby tak postąpić, poza tym dziewczyna była, trzeba przyznać: sympatyczna, grzeczna i dobrze wychowana — oczywiście uznając jej nowoczesny styl życia.

— Dawno pani zna Misia? — zapytała stawiając przed nią napełnioną filiżankę kawy. — Napije się pani?

— Chętnie. A Michała to znam już kilka miesięcy. To moja sympatia.

— I co, „kuszujecie” ze sobą — użyła tego dawnego wyrażenia, używanego w pewnych sferach, a które pochodziło od francuskiego słowa „coucher”.

— Nie rozumiem — odparła smarując sobie masłem bułeczkę.

— No... czy?... — Krystyna zmieszała się i nie wiedziała, jak to określić. — No, czy żyjecie ze sobą?

— Jak czasem — odparła zupełnie naturalnie i swobodnie.

— A czy pani zdała już maturę?

— Będę zdawać w Technikum Hotelarskim...

— Aha. No, dobrze. To teraz może pani pójdzie do łazienki, wykąpie się i ubierze.

— Dobra. Tylko muszę sobie od Michała przynieść moje rzeczy. Ale wpierv, pani pozwoli, zaniosę mu do łóżka śniadanie. Pewnie się już obudził.

Nie czekając na jej pozwolenie, zabrała się szybko do przygotowania śniadanka dla swojej „sympatii”.

— A co on jada na śniadanie? — zapytała znów z tą rozbrajającą naturalnością.

— On pije tylko surowe mleko i zjada dwie bułeczki z masłem — rzekła Krystyna zapalając papierosa.

Elżbieta wynalazła w kredensie, bez zbędnych pytań, mosiężną tackę, postawiła na niej duży kubek surowego mleka, nasmarowała dwie bułeczki masłem i powędrowała z tym do jego pokoju. Gdy wyszła, Krystyna otworzyła szeroko okno w kuchence i wystawiła twarz na zimne powietrze. Można zwariować! — pomyślała. — Inny naród... inne obyczaje, a my, ludzie starsi, jesteśmy częściowo pod ich okupacją. Brońmy się, na miłość boską! Już ja sobie z Miśkiem pogadam, niech ona tylko pójdzie!

Po chwili usłyszała, jak „siksa” (tak ją w myślach nazwała) wyszła z pokoju syna i poszła do łazienki. Po jakimś czasie wróciła biała i schludna w swojej cocktailowej kiece.

— No, to chyba się pożegnamy — rzekła Krystyna lodowatym tonem. — A czy rodzice nie niepokoją się, gdzie pani tak długo przebywa?

— Ja mam tylko mamusię. Tatuś nie żyje. Mamusia wie, że nigdzie po lokalach nie chodzę i nie zadaję się z byle kim, nie ma powodu niepokoić się o mnie.

— No i domyśla się zapewne, że pani się dobrze prowadzi — ton Krystyny był wyraźnie sarkastyczny.

— Przecież ja nic złego nie robię — odparła tonem niesłusznie posądzonego dziecka. — No to... do widzenia pani. Już sobie pójdę — pochyliła się do jej ręki, aby ją cmoknąć. Krystyna wyrwała swoją dłoń z gniewem w oczach.

— Nie jestem starą matroną, aby mnie w rękę całować, moja mała.

— Przepraszam... myślałam... że tak jak moją mamusię... No to... bużka!

Podniosła się trochę na palcach (była niższa od Krystyny) i przyciągnęła jej twarz do swojej. Nie rozumiejąc już siebie kompletnie matka Misia oddała jej pocałunek, i to w oba policzki.



— Paa, mała — rzekła ciepło — ... Uważaj na siebie. Jesteś jeszcze taka młoda...

— Pani jest fajna! — wypaliła Elżbietka. — No to... cześć!

Gdy Miś, zaspany jeszcze, wypuszczający z ust fetorek pomieszanego cock-tailu piwno-winnego, zjawił się w kuchni. Krystyna założyła ręce na piersiach jak oficer, który ma zamiar zrugać szeregowca.

— Co to ma znaczyć, mój Michale!

— A o co chodzi? — usiadł przy stole i zapalił papierosa.

— Nie udawaj dumia. Co ma znaczyć to nocowanie u ciebie jakichś kocia-ków?

— A co to, nie wolno? — odparł beczelnie. — Czy to ci przeszkadza?

— Przeszkadza — uderzyła pięścią w stół. — Nie pozwolę z mojego domu robić burdelu!

— Licz się ze słowami! — wybuchnęła. — Ela to bardzo przyzwoita dziewczyna i jak oboje zdamy maturę, to się z nią ożenię!

— Gdy zdasz maturę, to będziesz robił, co zechcesz, ale nie w moim domu. Rozumiesz, smarkaczu! Kto tu będzie rządził — ja czy ty? I obiecałeś, że nie będzie alkoholu, a tymczasem bucha od ciebie jak z trzeciorzędного baru. I to nocowanie dziewczyny! Wstydu nie macie za grosz! Wynoś mi się z kuchni i żebym cię tutaj nie widziała! Cuchniesz jak stary pijak. Marsz stąd!

Zerwał się od stołu. — Dobra — warknął — skoro mnie wypędzasz, to... to... — głos mu zachrypł — to ja... ja... się przenoszę do tatusia. On mi już to zaproponował, ale ja się nie zgodziłem... ze względu na ciebie. Ale teraz, dziś jeszcze się przeniosę! I ja mam dość tej ciągłej kontroli i niewoli.

— A przenoś się, proszę bardzo — rzekła w złości, czego później tak gorzko żałowała. — Chociażby zaraz. Ciekawam, jak długo wytrzyma z tobą ten twój ukochany tatuś!

Nigdy nie przypuszczała, że Miś to naprawdę uczyni, i aby uspokoić nerwy, ubrała się i wyszła na miasto, w niedzielę uroczyście nudne i zamknięte. Gdy po godzinie wróciła do domu, zastała pokój syna otwarty, opróżnioną szafkę, a w łazience brak jego przyborów toaletowych.

Więc jednak — pomyślała i łzy napłynęły jej do oczu. Siąknęła i poszukała chusteczki. A łajdak! Łobuz — wróci na pewno za kilka dni, ale co za wstyd dla niej przed Franciszkiem i co powie Józefa?

Właśnie wróciła z kościoła pobożnie surowa i naburmuszona.

— I ja po tej hałastrze będę musiała w niedzielę sprzątać! — rzekła, wchodząc do pokoju Misia. — Ani mi w głowie. W święto grzech pracować. Niech sobie sam sprząta!

— Ja posprzątam, moja Józefo. Proszę iść do kuchni, zrobić sobie coś do zjedzenia.

— A gdzie to nasz panicz się podziewa? — Czasem po przedwojennemu mówiła o nim „panicz”, bo jej pochlebiało, że u „państwa” pracuje.

Krystyna szybko przejrzała zestaw kłamstw, które by najlepiej pasowały do tej sytuacji. — Misia zaprosił do siebie ojciec na... tydzień. Powiedział, że go prędzej zmusi do nauki niż ja.

— Racja — przytaknęła Józefa. — Chłopak bez ojca źle się kształci i wychowuje. Potrzeba mu męskiej ręki, a z pani to sobie za przeproszeniem nic nie robił. Pani swoje — a on swoje — to znaczy nic... Ino by cały dzień tych „bytów” słuchał i na telewizję patrzył...

— No właśnie — przytaknęła spokojnie Krystyna, zadowolona, że jej kłamstwo chwyciło i Józefa uwierzyła.

Odezwał się telefon. Krystyna domyśliła się, kto dzwoni, więc podeszła i nie zdziwiła się, gdy w słuchawce zabrzmiał głos Franciszka.

— Krysieńko — mówił Franciszek — chyba wiesz, że Michał jest u mnie, powiada, że mu dokuczasz, i nie chce do ciebie wracać. Co mam robić? Ja go chętnie wezmę do siebie na jakiś czas. Zobaczymy, jak się będzie sprawował i uczył.

— Ależ, proszę bardzo — Krystyna starała się mieć głos opanowany i spokojny. — Jeśli tylko potrafisz go nakłonić do nauki, to okey. Poczujesz wreszcie — dodała — z nieszczerym śmiechem — „gorzki smak miłości rodzinnej”.

— Chyba nie masz do mnie żalu — znów mówił głos Franciszka — może powinienem był od razu zapakować go do samochodu i odstawić do ciebie? Ale chłopak jest taki rozżalony i rozklejony, to bardzo trudny wiek. Trzeba z nim dyplomatycznie i ostrożnie. Podobno chodziło o jakąś dziewczynę, że ją u siebie przenocował?

— Tak — odparła Krystyna — niech sobie uprawia amory gdzie chce, ale nie u mnie w domu.

— Ale łobuz jest już w tym wieku... — powiedział Franciszek wesołym tonem i jak gdyby z aprobatą.

— I nie tylko to, mój Franciszku, ale jeszcze sobie popił niewąsko, chociaż mi przysięgał, że nie będzie na ich zabawie alkoholu.

— A to drań dopiero! — roześmiał się. — No, Kryśka, nie przejmuj się, widzisz, wszyscy mężczyźni to przeważnie łobuzy i kłamcy, młodzi, starzy, bez różnicy.

— Nareszcie przejrzałeś — odparła Krystyna. — No więc dobrze, niech Miś jakiś czas u ciebie zostanie. Tylko proszę, trzymaj go krótko, on jest bardzo typowy „młodzieżowy”. No, to cześć, Franku, i dawaj mi znać, jak on się u was sprawuje. — Franciszek odpowiedział „dobra”, „cześć” i odłożył słuchawkę.

\* \* \*

Po ucieczce Misia w domu było cicho, porządnie, panował grobowy spokój i śmiertelna powaga. Wszystko, każdy mebel stał na swoim miejscu sztywny i nieruchomy. Zniknęły z poręczy krzesel marynarki Misia, radio milczało godnie. Telewizor, którego teraz Krystyna nie otwierała, przedstawiał obecnie niepotrzebny mebel — Krystyna czuła, że długo nie wytrzyma, że od tej ciszy dostanie rozstroju nerwowego, tak jak dawniej od hałasów. Człowiek wszystko znosi z wyjątkiem przesady i nadmiaru. Życzyła sobie, aby coś się w tym domu stało, coś nowego. Żeby się ktoś nagle zjawił. Królewicz z bajki? Nieaktualne. Ale jakiś inżynier z bajki, artysta z bajki... Może aktor... O, tylko nie to, na aktorów już przestała w ogóle zwracać uwagę. Może... lekarz z bajki, który pomylił piętra i zadzwonił do jej drzwi. Przystojny, w dojrzałym wieku. („Proszę, niech pan spocznie, zaraz zaparzę kawy...”, „Pani, taka przystojna kobieta, i sama? Pozwoli pani, że do niej od czasu do czasu wpadnę...” „Oczywiście... jestem naprawdę bardzo samotna”).

Prawda jednak wyglądała inaczej: zadzwoniła do niej jedna ze znajomych, że ktoś ma na sprzedaż młodego rasowego pudelka. Niedrogo, za tysiąc złotych, matka medalistka, ojciec hrabia de Romadour. Krystyna poszła obejrzyć pieska. Mały, czarny figlarz, z pięknie zapuszczoną nad czołem grzywą, od razu wskoczył jej na kolana i różowym języczkiem polizał po twarzy. Wszystko z wyjątkiem tego języka, jak płatek różowej szynki, było u niego czarne. Oczka żywe, roztropne, były również czarne jak loczkowana sierść.

— Nazywa się Karol — rzekła właścicielka szczeniaka. — W skróceniu Lolek.

Mały lizus, wyczuwając w Krystynie podatny materiał na jego nową panią, łasił się, czulił, położył jej murzyński łebek na ramieniu i polizał w ucho.

— Będiesz mój — oświadczyła mu. Zapłaciła i wyszła z pieskiem na smyczy.

W mieszkaniu obwąchał wszystkie meble i przysiadł, a spod niego wypłynęła długa struga. Uczyniwszy to, zaraz poszukał sobie coś do zabawy i wybrał z łazienki jej nowy czarny pantofel. Był silny i zawzięty, o wyciągnięciu z jego paszczy pantofla nie było mowy. Wczepiony w niego zębami, dał się podnieść do góry jak ekwilibrystka w cyrku, która wisi w powietrzu na szczęce akrobaty.

Krystyna usłyszała własny śmiech. Wołała: — Lolek, puść to! — Do pokoju z właściwym sobie, jak gdyby kapłańskim dostojenstwem, weszła Józefa. Piesek zaszczekał grubym głosem dorosłego psa i pantofel wypadł mu z paszczy. Krystyna podniosła go i ujrzała z żalem, że jest pogryziony haniebnie i w kilku miejscach przedarty. — Ach, ty podłe, podłe psisko — zawołała z udaną złością. — Popatrz, coś zrobił z moimi najlepszymi pantoflami!

— Czyj to ten kundel? — zapytała surowo Józefa.

— Mój — odparła spokojnie Krystyna i zaczęła czochrać pieszczoła za uszami. Piesek zdążył już wskoczyć jej na kolana.

— Taak? — głos Józefy był ostry i odpychający. — I ja może mam po nim sprzątać? O nie... Do psa się nie godziłam, tylko do państwa. — I dodała jak jakiś dawny zdradzony mąż: On albo ja!

— Sama będę po nim sprzątać, moja Józefo — rzekła spokojnym głosem Krystyna.

— To się tak mówi, a potem cały kłopot spadnie na mnie. Jeśli ten psiak ma u pani pozostać, to ja odejdę!

Krystyna zdziwiła się prawie tak jak Józefa słowom, które padły z jej ust:

— A proszę bardzo, pani Józefo. Teraz, kiedy Misia nie ma w domu, to właściwie nie potrzebuję gosposi. Będę chodziła na obiady do restauracji.

— Jak pani sobie chce — mruknęła tamta z wyraźnym niezadowoleniem i wyszła z kuchni. Krystynę nic dziś nie mogło wprawić w zły humor, nawet taki kłopot, jak odejście Józefy. — Lolek, Lolas, no, daj spokój wreszcie, noo... dosyć tych pieszczoł... idź sobie! Aj... gryziesz, ty łobuzie szkaradny! — gdyby ktoś słyszał te jej wykrzykniki z drugiego pokoju, mógłby przypuścić, że przekomarza się ze zbyt natarczywym amantem.

Po chwili weszła Józefa z chustką przy oczach, jej wielkie piersi podnosiły się w łkaniu.

— A miałam dzisiaj taki proroczy sen. Pani mi się śniła w białej sukni, to zawsze śmierć albo choroba, i wyganiała mnie z domu grubym kijem.

— Ależ, droga Józefo, któż tam dzisiaj wierzy w sny. Bzdury!

— Ale takim grubym kijem — chlipnęła niewiasta. Krystyna wstała i objęła ją za ramiona. — Niech się pani uspokoi, nikt przecież pani nie wygania z domu ani grubym kijem — w tym miejscu nie wytrzymała i roześmiała się — ani cienkim. Jeśli pani chce koniecznie odejść, to nie będę pani gwałtem zatrzymywać. Jak pani chce...

Józefa, wciąż z chustką przy oczach, wyszła, aby po jakimś czasie powrócić.

— Ja bym w tej chwili poszła sobie, ale mi pani biednej żal. Jeden mąż ją opuścił, drugi, z przeproszeniem, drań, też zwiął, nawet syn ją porzucił. Biedna pani jak ta sierota. Serca bym nie miała i Pan Bóg by mnie ciężko pokarał, gdybym panią w takiej niedoli opuściła.

— No, to wszystko zostaje po dawnemu — rzekła opanowanym głosem Krystyna. — Niech mi pani, proszę, zaparzy mocnej kawy.

— A jak się wabi ten... ten czarny diabeł? — zapytała Józefa niechętnie, spoglądając na pieska, który zmęczony figłami przemienił się w puszystą mufkę, leżącą bez ruchu na kanapie.

— Karol mu na imię, Lolek.

— Na to ja się nie mogę zgodzić, aby psu dawać imię świętego.

— Teraz taka moda. Psy się nazywają: Tobiasz, Kuba, suczki Agata, Jagusia.

— U nas na wsi też był pies, ale nie takie półdiabły, tylko prawdziwy pies na łańcuchu, chaty pilnował. Wabił się Lord.

— No, dobrze — zaśmiała się Krystyna — niech mu będzie Lord. To nawet podobne do Lolka. Lord, Lordzik! Chodź do swojej pani!

Pudelek poruszył się, jedno ucho mu drgnęło, podniósł się, przeciągnął i skoczył na dywan. Tutaj, ku przerażeniu Krystyny, zaczął biegać w kółko, w końcu przysiadł, zebrał wszystkie nogi do kupy i jak ciemna farba olejna z tuby, poczęła się z niego wydostawać, długa, skręcona kielbaska.

Józefa przyskoczyła i z całej siły uderzyła go w tyłeczek. — Co za wstrętne psisko, na dywanie będzie mi się załatwiał? A won stąd, kundlu. Won do przedpokoju!

— Pani Józefo — rzekła surowo Krystyna. — Jeśli pani ma bić i prześladować tego pieska, to naprawdę lepiej, aby pani ode mnie odeszła. To jest mały szczeniak, półroczny, i powoli dopiero można go nauczyć porządku.

— Pani woli psa ode mnie! — histerycznie załkała Józefa. — Mój sen... takim grubym kijem! — wyszła podniósłszy fartuch do oczu.

Krystyna bez wstrętu, jak to młoda matka, która nie brzydzi się kupkami niemowlęcia, sprzątnęła po nim, postanawiając jednak oduczyć szczeniaka takich brzydkich manier. Sama potem ugotowała mu kaszkę, do której wrzuciła kilka kawałeczków surowego mięsa. Łobuz mięsko wyjadł, ale kaszy nie ruszył. Założyła mu obrózkę ze smyczą i poszła na spacer. Szedł opornie, co chwila przysiadając i udając ofiarę. Krystyna mimo tych wszystkich drobnych kłopotów była już zakochana po uszy (jego uszka) w Lolku — czyli Lordzie (dla pani Józefy). Przypomniała sobie wyczytane w „Szpilkach” powiedzonko, które brzmiało: „Kobiety niesłusznie wymagają od mężczyzn wierności — przecież od tego Bóg dał kobiecie psa!!! Lolek okazywał jej tyle czułości i oddania, jak dotychczas żaden mężczyzna. Gdy wracała z miasta, skakał jej do kolan, szczekał radośnie, skręcał się w kółko jak gąsienica, a potem niby dziecko prosił „na kolanka, na kolanka”, i wówczas oblizywaniom nie było końca.

— Pani się jeszcze zarazi jakimś paskudztwem od tego psiaka — ostrzegła Józefa. — Kto to widział z psem się całować.

— Właśnie Józefa widzi — dowcipkowała Krystyna. Była teraz prawie szczęśliwa. Miś bolał ją od czasu do czasu, jak wątroba lub głowa. Starła się o nim myśleć jak najmniej. Czyżby wzięła rozwód i z rodzonym synem? Aż się dziwiła sama, że tak to rozstanie łatwo zniosła. Miała już wprawę z tamtymi chłopami. Bolało ją tylko to, że nie zadzwonił do niej, nie napisał kilku słów. Widocznie dobrze mu było u taty. Któregoś przedpołudnia nie wytrzymała i zadzwoniła do Franciszka do redakcji.

— Ach, to ty, Krysieńko. Więc powiem ci, że Michał to chłopak na medal! Gratuluję ci... — o mało jej słuchawka nie wypadła z rąk ze zdumienia. Więc tak nagle potrafił się zmienić! — Jaki grzeczny, dobrze wychowany — mówił

Franciszek. — Pomaga Eli w gospodarstwie domowym, nawet zmywa talerze... Ona też za nim przepada. Fajny chłopak!

— A uczy się? — zapytała Krystyna — bo to najważniejsze.

— Wiesz, z tym to trochę gorzej. Ale to prawie wszyscy chłopcy teraz. Rodzice się martwią, przejmują, a tymczasem ku ich zdziwieniu, chłopak zdaje maturę bez poprawek. Tacy to oni są. Muszą tylko chcieć.

— Ale Miś nie bardzo się do tego pali — wtrąciła Krystyna.

— Nie nazywaj go Misiem, to takie niepoważne. Michał i koniec. Obiecałem kupić mu motocykl, jeśli nie obleje matury.

— Możesz mu obiecać — rzekła Krystyna — ale potem kup mu co innego. Nie chcę, aby rozbił siebie, a przy okazji pasażera albo pasażerkę.

— Kiedy on tak o tym marzy. Dlaczego ma się zaraz rozbić?

— Widzisz — rzekła Krystyna — wypadki chodzą po ludziach, ale ludzie nie chodzą po wypadkach.

Franek roześmiał się. — Zabawne sformułowanie. Będę na niego uważał, nie bój się. Ostatecznie to mój jedyny syn.

Krystyna poczuła, że fala złości uderza jej do głowy. „Jego jedyny syn”. Dużo dbał i dużo łożył na tego syna przez tyle lat... Stary osioł, który teraz, gdy ona chłopaka odchowwała, będzie się chełpił nim. Należałoby go jak najprędzej zabrać od ojca...

— Wiesz, Franku — rzekła sztucznie spokojnym głosem — powiedz mu, aby mnie odwiedził w tę niedzielę.

— Ależ, oczywiście, na pewno przybiegnie do ciebie stęskniony — miała wrażenie, że powiedział to z odcieniem ironii.

— Powiedz mu — dodała — że w domu jest dla niego niespodzianka — pomyślała o Lolku, wiedząc, że Miś, jak wszystkie dzisiejsze młodziaki, przepada za psami. — No, to cześć, Franku! Bądź zdrow!

Odłożyła słuchawkę — czuła się jak po bolesnym zastrzyku. Franciszek wbił jej igłę z zastrzykiem zazdrości gdzieś w okolice serca. Ach, jaki podły! Co za los! Najpierw męża odbiła jej kobieta, potem alkohol zabrał jej kochanka, z którym nie wiadomo po co wzięła ślub, a teraz mąż, ten pierwszy, odbił jej syna. I cóż jej w życiu pozostało? Praca i piesek. Już wgramolił się na jej kolana i murzyński łebek przytulił do jej twarzy. Ale zaraz potem zeskoczył na podłogę i zaczął niepokojąco biegać w kółko. Szybko nałożyła mu smycz i zjechała z nim windą na dół. Ale jak wszystkie prawie szczeniaki, nie chciał zrobić kupki na dworze. Próżno prosiła go, namawiała powtarzając: — No. Loleczku, kupka, kupeczka... — nic nie pomogło i musiała wrócić do mieszkania, gdzie natychmiast załatwił się na dywanie. Dała mu kilka klapsów, ale on, myśląc, że to zabawa, zaczął ciągnąć brzeg jej pikowanego szlafroka, aż go przegryzł w dwóch miejscach. Wyrwała mu go w końcu i pobiegła po szczotkę i szufelkę. Gdy ścierała to wszystko, nagle nerwy jej nie wytrzymały i rozpląkała się. Zawstydziała się sama przed sobą, że beczy

jak mała smarkula. Tylko że małą dziewczynkę mama weźmie na kolana i zacznie pocieszać — a jej już nikt nie będzie pocieszał i uspokajał. Jeszcze, jak na złość, weszła do pokoju Józefa.

— Cóż to moja pani taka zapłakana! A bo też trzeba jej było jeszcze takiego kłopotu z tym psiskiem. Darowałyby go pani komu.

Krystyna zerwała się z podłogi, którą wycierała, była zapłakana i czerwona ze złości. — Proszę natychmiast stąd wyjść! — krzyknęła. — Rozumie pani! I proszę się do mnie i do mojego psa nie wtrącać! — pierwszy raz tak się do Józefy odezwała, z pasją i wściekłością, więc Józefa natychmiast postarała się też o łzy i płacząc wyszła z pokoju.

Franciszek zadzwonił w sobotę, że Michałek wybiera się do mamusi w niedzielę po południu. Ucieszyła się. Razem z Józefą upiekła placek ze śliwkami, który lubił, i kupiła kakao. Poszła do fryzjera. Przed jego przybyciem włożyła bardzo krótką suknię, którą uznawał. Przyszedł punktualnie o piątej po południu. Miał na sobie koszulkę zagraniczną, różową, w której mu było szalenie do twarzy. Był czysty, ostrzyżony i trzymał w ręce trzy herbaciane róże.

— To ode mnie i od tatusia! — rzekł. Chciała go porwać w ramiona i uściskać, ale w tym momencie Lolek rzucił się na niego z ujadaniem i nawet chciał go ugryźć. Krystyna chwyciła go za kudły. — Nie bój się, Misiu, on mnie broni, nie pozwala, aby ktokolwiek się do mnie zbliżył. Daj mu kawałek czekolady, to go przekupisz. — Po chwili oba szczeniaki były już w najlepszej komitywie. Zaczęły się tarzać i przewracać na tapczanie. Lolek gryzł Misia po rękach, ale już z żartów i pustoty, a Miś czochrał mu grzywę nad czołem.

— Mama! On jest idealny! Skąd go masz? Pożyczysz mi go kiedy, żebym się z nim pokazał na ulicy?

— O, co to, to nie, Miśku. Piesek jest mój i nigdy go nikomu nie dam.

— Nawet na godzinę? — zapytał Miś dziecinnie i rozbijając.

— Nawet na godzinę. Ty masz tatusia... kolegów i swoje koleżanki, a ja mam tylko jego. Loleczek, Lordzik, chodź do pani! — Zezował na nią czarnym okiem i ani mu się śniło przerwać zabawę z kolegą.

— Widzisz — rzekł złośliwie Miś — on już woli mnie od ciebie. — Zaczęli się uganiać razem po pokoju, wskakiwać i zeskakiwać z tapczanu.

Krystyna śmiała się, nagle znów było wesoło w jej dość ponurym życiu. Co to znaczy młodość! — pomyślała. — Jakże smutno i głucho bez niej w domu.

— A może — zaryzykowała — wolisz wrócić tutaj. Będiesz wtedy z pieskiem wychodził na spacer?... Zastanów się...

— Nie mogę, mamusiu. Tatuś kupił mi tę koszulkę za sześćset złotych. To byłoby brzydko z mojej strony. No i wiesz, tam jest duży telewizor, dwadzieścia cali — dodał z dumą.

— No, jak jest taki duży telewizor, to zrozumiałe, że wolisz tam pozostać — rzekła poważnie, ale z ironią, która do syna nie dotarła.

— No i wiesz, mama, tatuś zabiera mnie ze sobą do kina na wszystkie filmy, nawet na takie z gołymi piersiami.

— Jak to filmy z gołymi piersiami — udawała, że nie rozumie.

— Ja tak mówię w skrócie. Gdzie są gołe dziewczyny. Jakie fajne, mówię ci, mama! A... a Ela do mnie nie dzwoniła? — przypomniał sobie nagle.

— Jaka Ela? — udała zdziwienie.

— No, ta moja sympatia? Nie widziałem jej od tego czasu...

— Nie wiem — odparła chłodno. — Może dzwoniła, jak mnie nie było. Ty teraz nie myśl o dziewczynach, tylko u maturze.

— Że wam tak na tym zależy. I tatuś, i mania wciąż o tej maturze. Przecież powiedziałem, że zdam, no to zdam... Wielka sztuka...

Przeszli do kuchni, gdzie stół był nakryty do podwieczorku. Miś jadł mało i ciągle tylko wpychał Lolkowi do pyszczka kawałki placka.

— Nie dawaj mu tyle ciasta — rzekła Krystyna — potem nie będzie chciał jeść kolacji. Sam nic nie jesz...

— Nie mogę, mama. Jestem taki najedzony. Dzisiaj była u nas na obiad kaczka z jabłkami. Mówię ci, jaka fajna! Zjadłem trzy kawałki.

Mówi o mieszkaniu ojca „u nas” — pomyślała z przykrością. — Franciszek odbił mi syna...

— A powiedz, Misiek, kogo ty więcej kochasz? Mnie czy ojca — zaryzykowała niebezpieczne pytanie.

— Oboje was bardzo lubię — odparł drapiąc jedną ręką pieska, który siedział pod stołem. — Tylko widzisz, tatuś tak wciąż nie szura jak ty. Rozumie młodych. My z ojcem — mówił wesoło — to jak dwa kumple. Chodzimy sobie we dwójkę do kina, wiesz? Na piwko do kiosku. A raz to powiedział: No, Michał, pójdziemy sobie dziś po południu do „Asa” — wiesz, mama, to jest taka młodzieżowa kawiarnia — może sobie coś poderwiemy!

— Jak mógł tak powiedzieć — oburzyła się Krystyna

— Pewnie tylko żartował, bo on bardzo kocha tę swoją Elę i nie myśli jej zdradzać.

Wszystko, co mówił, drażniło Krystynę i myślała z ulgą, że niedługo sobie pójdzie i przestanie jej mimo woli dokuczać.

— No i wiesz, mama — mówił dalej Miś — on mnie uczy prowadzić samochód. Jak tylko wyjedziemy za miasto, to tatuś daje mi kierownicę do ręki i pozwala prowadzić maszynę. Pani Ela wtedy piszczy, że wysiądzie, że się boi, ale tatuś ją uspokaja, że przecież mnie pilnuje.

— No, to w takim razie — rzekła Krystyna zjadliwie, przymrużając oczy, co zwykle robiła, gdy mówiła jakąś złośliwość, jak gdyby chcąc słabiej widzieć swoją ofiarę — już byś teraz nie rozbił cudzego samochodu.

— Jak to cudzego samochodu — ton miał naiwnie zdziwiony, ale oczy przeżone. — Co ty masz na myśli, mama?



— To samo co ty, synku — spokojnie ukrajała sobie kawałek placka czekając, jak na to zareaguje.

— Nie kapuję... — mruknął najwyraźniej stropiony.

— Krótką masz pamięć. Michałku. Nie przypominasz sobie, jak kiedyś skradliście z kumplami Wartburga doktora Wilkego i rozwaliliście go, nie umiając prowadzić?

— To nie ja — krzyknął i zerwał się od stołu, czym tak przestraszył Lolka, że zaskowyczał i wskoczył na kolana swojej pani.

— Lepiej, żebyś się przyznał. Ja i tak wiedziałam od początku.

Spuścił głowę, był czerwony jak rzodkiewka.

— Kumple mnie namówili — mruknął. — Zresztą wtedy byłem jeszcze takim gówniarzem. Dzisiaj już bym tego nie zrobił.

— No, myślę — rzekła surowo, będąc jednocześnie zadowolona, że mu to powiedziała.

Miś podniósł głowę. — I powiesz to tatusiowi? — zapytał roztrzęsionym głosem.

— Nie — ton miała już łagodniejszy — nie powiem... chociażby dlatego, żebym się wstydziła. Zwykle matka odpowiada za wybryki dzieci, że ich nie dopilnowała. Zupełnie jak gdyby to było możliwe. Chłopaki w twoim wieku to jak koty. Dopilnuje tu kota, kiedy się wymknie z domu.

— No, to ja już pójdę, mama.

— Idź i uważaj na jezdni. A kiedy się znów pojawisz?

— Nie wiem... Mam teraz tyle nauki, za trzy miesiące matura, cholera.

— A zdasz, synku? — pogłaskała go po głowie, ale on potrząsnął łebkiem i ręka jej opadła jak zwiędły liść.

— Dałem tatusiowi słowo honoru, więc zdam. Zresztą — wyduł pogardliwie usta — wielka sztuka. Jak tylko zechcę...

— No, to zechciej wreszcie. Do widzenia, Miśku i sprawuj się dobrze.

Pocałował ją w rękę, Lolka w czarny nosek i wybiegł do przedpokoju.

\* \* \*

Minął jeden miesiąc i drugi. Krystyna żyła spokojnie i pracowicie w towarzystwie Józefy i pieska. Józefa mimo ciągłej samoobrony nie wytrzymała i polubiła Lorda. Wyprowadzała go na spacer i pilnowała, żeby jadł.

Krystyna uważała, że obecne jej życie nie jest najgorsze. Gdy zechciała widzieć ludzi, to szła do kawiarni lub do znajomych na brydża. Z przyjaciółkami zerwała. Nie wytrzymały, aby jej nie zadawać niedyskretnych pytań. O przyjaciół mężczyzn w jej dojrzałym wieku było bardzo trudno. Im który był starszy, tym bardziej leciał na nastolatki. Kobieta w wieku balzakowskim stała się zupełnie niemodna. Wszystko było obecnie tylko dla tych smarkul. Amory, stroje,

dansingi, sporty. Przekonała się, że bez chłopów też można żyć. Nie było to pełne życie — ale za to pozbawione dramatów i tragedii, które każda miłość nosi na końcu swojego pysznego tęczowego ogona. Miała jednak adoratora, starszego pana, pewnego mecenasa, który mieszkał w jej kamienicy i przychodził ją odwiedzać. Jego flirt polegał na tym, że skarżył się na różne dolegliwości. Raz były to kamienie nerkowe, raz zęby, innym razem wątroba albo choroba wieńcowa. O ciśnieniu, białych i czerwonych ciątkach rozprawiał ze znajomością rutynowanej pielęgniarki!

— Mam za wiele białych ciątek — stęknął kiedyś.

— No, to bardzo panu winszuję — zażartowała Krystyna — w pańskim wieku...

— Jak to? Nie rozumiem...

— A ja nie rozumiem, jak można mieć takie małe poczucie humoru jak pan...

— Gdyby panią tak łeb bolał jak mnie...

Raz nawet w swojej męskiej zarozumiałości, której nie odbiera ani wiek, ani fizyczne dolegliwości, zaproponował jej małżeństwo.

— Ja jestem kawaler, pani rozwiedziona, samotna, może byśmy się pobrali?

— A nie wie pan przypadkiem, po co? — zapytała nalewając mu drugi kieliszek koniaku, który pił, ponieważ „rozszerzał naczynia wieńcowe”.

— Jak to po co? Aby razem doczekać się starości i nie być samotnym.

Śmiała się niedelikatnie, bo nagle wyobraziła sobie tego zwiędłego, oklapniętego sześćdziesięciolatka, rozneglizowanego w jej łazience. A nieunikniony widok starczych, bladych nóg... brrr... otrząsnęła się wewnętrznie, cóż za koszmarnie!

— No i niech kochany pan powie, co by mi z tego przyszło?

— Rzeczywiście, niewiele... — przyznał z westchnieniem. Odprowadzając go do przedpokoju, uścisnęła mu rękę silniej niż zwykle.

— W każdym razie dziękuję panu za tę propozycję. To największy komplement, jaki mężczyzna może zrobić kobiecie.

— No, widzi pani — rzekł podnosząc jej rękę do ust. — Bo ja panią naprawdę bardzo lubię, cenię i podziwiam.

— Ja pana też — rzekła ciepłym tonem — ale to jeszcze nie powód, abyśmy się mieli pobrać.

Dwa miesiące nie przychodził. Tak mało znaczył w życiu Krystyny, że ledwo to zauważyła. Nagle, któregoś popołudnia zjawił się. Był jakiś odmłodzony, dobrze ubrany, nawet trzymał się prosto.

— Muszę się pani zwierzyć z wielkiego wydarzenia — zrobił pauzę, po czym rzekł triumfująco: — żenię się, w tych dniach odbędzie się nasz ślub. Proszę panią na świadka i na małe przyjęcie weselne u mnie.

— To wspaniale! Strasznie się cieszę, oczywiście, że przyjdę do Urzędu Cywilnego, a potem do pana. Znalazł pan jakąś „ciepłą wdówkę”?

— Co też pani mówi! Moja narzeczona, Jolanta, to młoda dziewczyna, studentka. No cóż, z a k o c h a ł a się. Prowadziłem jej proces o zniesławienie. Wygrałem. Sama mi się oświadczyła. Czy pani uwierzy?

Taktownie nie okazała zbytniego zdziwienia.

— Wcale się nie dziwię — rzekła myśląc, iż to kłamstwo winno jej być poczernić wargi. — Pan jest przecież jeszcze zupełnie atrakcyjnym mężczyzną.

— Ona to samo twierdzi.

— Tylko dam panu jedną radę, niech pan jej nie kokietuje swoimi licznymi dolegliwościami, to strasznie zraza kobiety.

— Przecież jej nie będę się z tych rzeczy spowiadał, to nie taka zaufana, stateczna dama jak pani, której można było wszystko o sobie powiedzieć. . .

— Doprawdy — rzekła z głęboką ironią — nie doceniałam tego zaufania, którym mnie pan obdarzał. Żałuję — dodała komediancko — ale dziś już za późno. . .

\* \* \*

Mówi się „jak piorun z jasnego nieba”. A zwykle piorun strzela z ciemnych, kłębiastych chmur. Natomiast w życiu zdarza się to często. Ktoś sobie żyje spokojnie, zdrowo, nie ma wyraźnych kłopotów i nagle!!! I to zwykle przez telefon.

— Trrr — zadzwonił nagle telefon w mieszkaniu Krystyny. Nie spodziewając się już w życiu złych wiadomości (zdawało jej się, że je już ma za sobą), podniosła słuchawkę i usłyszała wzbudzony głos Franciszka.

— Krystyna! Muszę cię zmartwić. Wiesz, co zrobił ten łajdak, chuligan. . . łobuz!

— Jaki łobuz? Nie rozumiem. . .

— No, ten twój synalek. Wyobraź sobie, że kiedy wyszliśmy z Elą na imieniny do znajomych, gdzie miało być głębsze picie, więc samochód zostawiłem przed domem, ten, że już tak powiem, gnojek, znalazł kluczyki do wozu w kieszeni mojej marynarki, otworzył, zapalił i pojechał sobie na spacer. Ponieważ o prowadzeniu nie ma jeszcze pojęcia, więc najechał na ciężarówkę, która rozgniotła w moim nowiutkim fiacie cały przód. Naturalnie od razu milicja, spisanie protokołu. Chłopak nie miał przy sobie prawa jazdy, więc go zatrzymali. Wezwali ojca, czyli mnie. Muszę płacić karę i odbiorą mi prawo jazdy. Jednym słowem, kłops i koszmar! — Zrobił małą pauzę, aby nabrać oddechu, głos miał zachrypnięty z wściekłości tak, że Krystyna mogła wtrącić kilka słów.

— To twoja wina! Sam mi się chwalił, że go uczysz prowadzenia samochodu i że często mu dajesz do ręki kierownicę.

— A twoja wina — zawarczał — żeś go tak wychowała! Leń, bęcwał i chuligan! Ot, co znaczy babskie wychowanie! Odsyłam go dzisiaj do ciebie. Nie chcę go więcej widzieć na oczy. Pij sobie sama piwko, któreś nawarzyła. Cześć!

## Część II

Miś został więc u matki i mieli odtąd razem wieść żywot niezbyt wesoły. Zmieniał się co miesiąc jak polski klimat. Obecnie był ciemny i ponury niby listopadowy dzień. Do matki nie odzywał się prawie wcale, czułe słowa miał tylko w stosunku do pudelka Lolka. Kto to wymyślił, że dzieci muszą kochać rodziców? — zastanawiała się. — Wcale nie muszą. Za to rodzice muszą kochać dzieci, chociażby one nie były zupełnie warte ich uczucia. I tak już jest, i tak się od wieków przyjęło. Czuła, że Miś lekceważy ją i traktuje ją jak każdą inną starszą osobę. Nie wiadomo, czy to było umyślne, ale jej słowa nie docierały do jego uszu. Cokolwiek powiedziała, mówił „słucham” albo „proszę”? i musiała dwa albo trzy razy powtarzać byle błahe zapytania.

— Misiu, czy wychodzisz teraz?

— Słucham?

— No właśnie — zirytowała się — słuchaj, jak do ciebie mówię, żebym nie musiała powtarzać dwa razy tego samego.

— Proszę?

Ale jak przychodzili jego koledzy lub koleżanki, zmieniał się nie do poznania. Słyszał doskonale byle głupstwo, które do niego mówili, i nie było żadnych „słucham” albo „proszę”. On, taki milczek, mówił dużo, śmiał się.

Lekceważy mnie — myślała z goryczą. — Jestem dla niego tylko rodzajem kombajnu, który robi pieniądze i jednocześnie przygotowuje mu smaczne kąski. Co prawda, to i rodzice nie robią obecnie wiele, aby dzieci ich szanowały. Nie oddają się im całkowicie, tak jak dawniejsi, mają swoje życie. Ale co dalej? Będą żyć koło siebie jak dwoje obcych ludzi albo jak małżeństwo, które się rozwiódło, ale z braku oddzielnego mieszkania zmuszone jest mieszkać razem. Kiedyś kupiła dwa bilety do kina.

— Michał, mam dwa bilety do kina na „Nagie szczęście”.

Tym razem usłyszał: — Na którą, mama?

— Na dziewiętnastą. Tylko żebyś był gotów.

— Będę, ale wiesz, mama, daj mi mój bilet. Jeszcze przedtem skoczę do Edka.

Dała mu bilet nie przeczuwając podstęp. W kinie miejsce obok niej pozostało puste do końca. Dlaczego nie przyszedł? — dziwiła się. — Przecież tak pragnął

być na tym filmie. Może mu się coś stało? Wszystkie kobiety, jeśli chodzi o bli-  
skich, podejrzewają, że los jest jeszcze okrutniejszy, niż jest w rzeczywistości, że  
jak bliska osoba spóźnia się lub nie przyjdzie wcale, to znaczy, że jej się coś stało.  
A to zwykle jest nieprawdą. Wychodząc z kina rozglądała się wokoło, ale Micha-  
ła nie dostrzegła w tłumie publiczności. Gdy strapiona wróciła do domu. Miś już  
leżał na tapczanie, z rękami pod głową, słuchając radia.

— Czemuś nie był w kinie?

— Byłem, mama.

— Przecież miejsce koło mnie pozostało puste?

— Bo przyszedłem już, jak było ciemno, i usiadłem gdzieś z brzegu.

— Ale gdy wychodziłam z kina, to też cię nigdzie nie widziałam.

— Słucham?

Powtórzyła to pytanie z ciężkim westchnieniem.

— A bo pierwszy wybiegłem.

— Słuchaj, Michale, ty wcale na tym filmie nie byłeś.

— Co ty, mama — roześmiał się. — Chcesz, to ci opowiem całą treść. Fajny  
obraz. Gregory Peck był fantastyczny! I to, że z miłości zamordował Monikę Vitti.  
Bardzo psychologiczne.

Nic już nie powiedziała. Jej rodzony synek wstydził się z nią pokazywać wśród  
ludzi, że niby ze starszą osobą młodzież nie chodzi. Przecież patrząc na nich nikt  
by nie pomyślał, że on i ona to jakaś para kochanków — tylko że matka i syn. Jak-  
że to wszystko dziwne! Dawniej synowie, gdy mieli jeszcze stosunkowo młodą  
matkę, i w dodatku elegancką panią, to byli z niej dumni i chętnie się z nią poka-  
zywali. A teraz się jej wstydzą. Dlaczego? Żeby nie być przez kolegów nazwanym  
„maminsynkiem”?

Stała przed lustrem i zrobiła, jak każda kobieta, odpowiednią minę, aby się  
sobie wydać ładniejszą: wysunęła do przodu brodę, wyduła dolną wargę. Jak na  
to wszystko, co przeszła, wyglądała jeszcze zupełnie efektownie. Biust, podnie-  
siony odpowiednim stanikiem, sterczał pod bluzką bojowo, brzuch ledwie się za-  
rysowywał pod elanową spódnicą. Włosy farbowane na kasztan, siwiały na skro-  
niach (trzeba będzie pójść do farby) były gęste i dobrze się układały. Szyja? Pazur  
wiedźmy bezlitosnej, zwanej „starością”, jeszcze się do niej nie dobrał. Czy mo-  
głaby znaleźć jakiegoś mężczyznę, który by się nią zainteresował? — Westchnęła.  
Cóż, kiedy i młodzi, i starzy wolą te młode. Kobieta czterdziestoletnia zupełnie  
wyszła z obiegu.

Poszła do pokoju Misia i usiadła w foteliku, wyciągając do przodu nogi, które,  
mimo iż tyle lat nosiły te sześćdziesiąt kilogramów wagi, nic nie straciły ze swej  
nieskazitelnej linii.

— Musisz przyznać, Misiu — rzekła — że nogi to ja mam dwudziestoletniej  
dziewczyny.

Wzruszył ramionami i na chwilę oderwał oczy od kryminału, który czytał.

— Czy to nie wszystko jedno, mama. I tak już nikt ciebie nie będzie chciał poderwać.

— Wiesz — rzekła z gniewem — to, jak wy nas, ludzi starszych, traktujecie, nazwałabym „dyskryminacją wiekową”.

— Słucham?

Nie powtórzyła więcej tego trafnego określenia, nie było komu.

— Może byś wyszedł z psem na spacer?

— Lolek wychodził ze mną po obiedzie.

— Ale potrzebuje, bo kręci się koło drzwi.

— Proszę?

Kochał pieska, ale był taki leniwy, że nie chciało mu się z nim wychodzić, i zwykle musiała to robić sama.

— Ja się będę teraz uczył, mama.

Na to nie miała już żadnej repliki. Musiała jednak przyznać, że Michał jakoś więcej przykładał się teraz do nauki. Nie było to jej zasługą, ale jego przyjaciele Edka, który mieszkał w tym samym bloku. Jej groźby i prośby to był groch rzucony o ścianę. Natomiast słowa Edka, groch rzucony gołąbkowi na balkon, połykał te ziarnka łapczywie. Kiedyś Krystyna usłyszała z drugiego pokoju, jak Edek przemawiał do leniwego mózgu Michała.

— Ty nie bądź frajer. Zdaj wreszcie tę cholerną maturę, tak jak ja. Tylko sobie wytknij jakiś cel. Ja sobie powiedziałem: zdasz, bracie, to się postarasz o jakieś zaproszenie do Anglii lub Ameryki, zarobisz i kupisz sobie tam samochód. No i przez jednego kolegę dostałem zaproszenie do Brooklynu do jego ciotki, której wcale nie znałem. Mamusia sprzedała złotą bransoletkę i kupiła mi bilet na Batorego. Miałem przy sobie tylko pięć dolarów. Ale dostałem posadę w jednym dużym barze.

— Jako kelner? — zapytał Michał.

— Aleś ty głupi, zaraz jako kelner. Myłem talerze przez kilka miesięcy, zarobiłem i kupiłem sobie forda.

— Ale używanego. . .

— No to co? Ale mam własny samochód i wożę nim dziewczyny. Teraz zapisałem się na anglistykę. Zdam i znów tam pojedę.

— I zostaniesz na zawsze?

— A po co? Tam, mój kochany, trzeba pracować, nie ma żadnego obijania. Musisz wstawać, bracie, o świcie i harować dwanaście godzin na dobę.

— To nie dla mnie — mruknął Miś zapalając sporta.

— Pewnie, że nie dla takiego śmierdzącego lenia jak ty. Wylaliby cię po tygodniu.

— Proszę? — Miś tym razem udał, że nie dosłyszał tych słów.

— Bo ty jesteś śmierdzący leń — ryknął mu do ucha Edek. Nie obraził się. Edek imponował mu. Był wyższy od niego, wyrośnięty jak szparag. Nosił dłu-

gą marynarkę, rozciętą na bokach i zapinaną na błyszczące guziki. Wyhodował baczki i wąsy spuszczone w dół. Na nogach elastyczne niebieskie spodnie. Tych spodni najbardziej zazdrościł mu Michał.

— Edek, sprzedaj mi te portki. Ile chcesz?

— Głupis. Na takie portki trzeba ciężko zapracować. Odpieprz się.

Krystyna dosyć lubiła Edka. Był z tego gatunku chłopaków, co to hołdują najdziwaczniejszej modzie, ale wewnątrz mają wszystko uporządkowane i wiedzą, czego chcą. Poza tym był dobrze wychowany i grzeczny dla osób starszych, baczki i wąsy nie miały odpowiednika w jego charakterze. Lubił czytać kryminały jak cała obecna młodzież, ale chętnie czytywał również książki podróżnicze i historyczne. Michał nazywał go: „Eddie” — a on Michała: „Michel”.

— Czy mogę poprosić do telefonu Michela?

— Kogo? Misia? — odpowiadała przekornie Krystyna. Michał, który we wszystkim pragnął naśladować Edka, też wybrał anglistykę.

— Gdy zdam maturę i angielski, to pojedę do Ameryki — snuł marzenia. — Tam ożenię się z córką bogatego farmera, będę miał własne krowy i bawoły. Będę ci przysyłał paczki, mama.

— Chyba mnie zaprosisz do siebie na jakiś czas? — zapytała półzartem.

— A jak? Pewnie, że cię zaproszę, i nawet ci przyślę dolary na podróż. . .

— To ładnie — uśmiechnęła się. — To znaczy, że mnie kochasz. . .

— Proszę?

— Mówię, że to znaczy, że mnie kochasz — powtórzyła podnosząc głos.

— Owszem. . . lubię cię, jak nie szurasz.

— Psa się lubi — rzekła już nie żartobliwym tonem — a matkę się kocha.

— O, nieprawda, pieska to ja właśnie kocham, Lolek, Loluś, chodź do swojego pana!

Był rozbijająco dziecinny i posiadał wdzięk małego chłopca. Matki mówią o swoich dzieciach z rozczuleniem: „on jest taki dziecinny” albo „ona jest jeszcze taka dziecinna”. Ale przecież są różne dzieci, nad wiek rozwinięte i debilowate. Tak samo jak nie ma rodziców, którzy by o swoim źle uczącym się synu czy córce nie mówili: „on — albo ona — jest szalenie zdolny, tylko straszny leń”. A może te rzekome „lenie” to dzieci o słabych zdolnościach i niedorozwiniętej pamięci? Tak czy inaczej Michał miał olbrzymie powodzenie u dziewcząt, wciąż do niego telefonowały: poproszę do telefonu Michała.

— Zobaczę, czy Michał jest w domu — odpowiadała obojętnym głosem.

Kiedyś niechcący podsłuchiwała rozmowę jakiegoś chłopca i dziewczyny, którzy się przypadkowo włączyli.

— Bogdan, to ty? — Nooo, szkoda, że cię nie było, fajna była zabawa. Trochę my popili. Po tym, jakeśmy już wszyscy leżeli, to nagle Elżbieta siup za drzwi i zadzwoniła. Chciała nas nastraszyć, że to starzy przyjechali. — Noo i coo? — Ja pobiegłam otworzyć. — A zdążyłaś nałożyć kieckę?

Poczekajcie — pomyślała zarazem ubawiona i zgorszona Krystyna. — Uwaga — włączyła się w ten młodzieżowy dialog, wypowiedany znudzonymi i tępyimi głosami — wapniak słucha!

— Mama. . . ? — zapytał głos chłopaka.

Odłożyła słuchawkę i roześmiała się głośno. Ale właściwie to było smutne. Jak oni traktują to, o czym skrycie marzyły dziewczęta z jej młodości, to, o czym im śpiewały wiosną słowiki i pisali poeci: Tuwim, Pawlikowska, Staff. Biedna młodzież dzisiejsza, która o wielkich wzruszeniach miłosnych czyta z takim niedowierzaniem. . . A z jakim rozbawieniem i uciechą oglądali filmy kryminalne w kinie lub telewizji.

— Eee, za mało było trupów — mówił wzruszając ramionami Michał po obejrzeniu jakiejś „kobry”. Za to gdy w serii „Święty” strzelano do siebie jak do zajęcy, a facet ugodzony kulą w brzuch skręcał się i wił z bólu jak postrzelona zwierzyna, bił się z radości po udach i kwiczał z uciechy.

— Ale go zaprawił, sku. . . baniec! Fajno, nieee! Kapitalne!

Gdy w westernach jeden cowboy mierzył z daleka do drugiego, a tamten uciekał, Michał denerwował się.

— No, strzelaj prędzej, bo ci ucieknie! Nooo, nareszcie, ale dostał w sam tył głowy. Chyba już trup, niee?

Straszne, żalobne słowo „trup”, największe zło i nieporozumienie, jeśli chodzi o tak myślącą istotę, jak człowiek, dla nich nie było niczym strasznym. Było nawet dość pocieszne. Nie mieli za grosz wyobraźni. Nigdy nie myśleli o tym, że aby stać się trupem, musi się wpierw przejść moment największej grozy i śmiertelnego lęku.

Ale to też nie było takie proste i nie można było przylepić do Michała etykiety z napisem „zły”, „nieczuły”. Niewrażliwy na ludzkie cierpienia i tragedie, przejmował się widokiem wyrzuconego z gniazda młodego wróbelka, a raz, gdy na jezdni samochód przejechał jakiegoś młodego pieska, Michał tak się tym przejął, że obawiała się, iż dostanie nerwowego szoku. Następujący wypadek przekonał ją raz jeszcze, że jej syn cierpi na znieczulicę, ale tylko jeśli chodzi o ludzi. Był koniec kwietnia i pogoda była nie tyle, jak się to mówi, „w kratkę”, co. . . w „kropki”. Deszcz padał drobnymi kroplami, później mróz ściał lodem kałuże i stojącą wodę, a z dachów zwisały sople lodu jak broda świętego Mikołaja. Właśnie robiła projekty rysunkowe, gdy wtem usłyszała, jak drzwi wejściowe się otwarły, i usłyszała głos Michała, który kogoś zapraszał. W progu pokoju stanęła po chwili bardzo elegancka pani, ubrana skromnie, ale tą skromnością, która kosztuje grube pieniądze, tuląca do piersi pieska okrytego jej moherowym szalem. Koło niej stał Michał w mokrym płaszczu i butach, z których lała się woda. Uśmiechał się, ale zęby szczykały mu z zimna.

— Michał, jak ty wyglądasz! — zawołała przerażona Krystyna. — Wpadłeś do wody czy co? Może cię któryś z kolegów popchnął do jakiegoś stawu. Ach, te



smarkacze! — Z syna przeniosła zatroskany wzrok na nieznajomą. A pani skąd się tu wzięła — wyrażało jej spojrzenie.

— Bardzo przepraszam, że tak wtargnęłam do obcego mieszkania, ale chciałam pani podziękować!

— Mniece? Za co podziękować?

— Że pani ma takiego bohaterskiego i dzielnego syna, proszę sobie wyobrazić, że byłam z Jacusiem w Parku Łazienkowskim, szczeniak wszedł na zamrznięty przy brzegu staw, lód się załamał i Jacuś zaczął tonąć. Ja zupełnie straciłam głowę, ale pani dzielny syn, który opodal spacerował z kolegą, momentalnie wszedł na pękający lód i wyratował Jacka. Gdyby nie on, byłby na pewno utonął. Nigdy mu tego nie zapomnę — dodała z patosem.

— Ale gdzie on jest, ten pani Jacuś — zapytała rozglądając się Krystyna.

— Tutaj — powiedziała nieznajoma i odsłoniła szal, który zakrywał do połowy lisi pyszczek żółtego jamnika. Krystyna wstrzymała nietaktowny w tym momencie śmiech. „Jacuś” — była pewna, że to chłopczyk, a tymczasem. . .

— To rzeczywiście pięknie ze strony Michała, ale teraz, synku, idź się prędko przebrać w suche rzeczy. . . Boję się, abyś nie dostał zapalenia płuc.

— Nigdy panu tego nie zapomnę — powtórzyła dama ściskając obie dłonie Michała.

— Eee tam. . . wielkie rzeczy — mruknął — każdy na moim miejscu byłby to samo zrobił. . . Zresztą staw w tym miejscu nie był głęboki.

— Całe szczęście — rzekła nieznajoma — że byłam moim wozem i od razu mogłam wybawcę Jacusia przywieźć do domu.

— Idź się przebrać! — rozkazała matka. — I proszę, niech pani siada. . . Może gorącej herbaty? Od razu zaparzę i dla Michała. — Nie czekając na odpowiedź, szybkim krokiem wyszła do kuchni.

Gdy wróciła, pani z pieskiem nie wstając, aby nie strącić z kolan pieszczocha, wyciągnęła do niej rękę:

— Z tego szoku zapomniałam się pani przedstawić. Jestem żoną pisarza podróznika, Zbyszka Walkiewicza. Pewnie pani nieraz czytała jego reportaże z egzotycznych wojaży.

— Ależ oczywiście — ucieszyła się z tej znajomości Krystyna. — Świetne pióro. A ja jestem kreatorką animowanych filmów w telewizji. — Tu wymieniła swoje panięskie nazwisko.

— To pani! Jakże mi miło! Te rysunkowe filmy to istna radość dla oczu.

Aby przerwać tę chińszczyznę pełną uśmiechów i pochlebstw, Krystyna wstała i dopiero po pewnej chwili wróciła z tacką, na której były dwie duże filiżanki mocnej herbaty, cukierniczka i plasterki pokrajanej cytryny.

— Tę miłość do psów — rzekła — mój syn odziedziczył po mnie. Mamy też pieska, czarnego pudełka, i dosłownie od ust go sobie odejmujemy. Jesteśmy zazdrośni o jego uczucia. . . Nieraz mam wrażenie, że woli Michała niż mnie. On

umie się z nim bawić, tarzają się razem po dywanie jak dwa szczeniaki. Piesek żartami gryzie chłopaka, a chłopak znów go tarmosi, przewraca, podrzuca do góry. Ja tylko umiem się z nim pieścić — uśmiechnęła się do tych słów.

— Jaka pani jest śliczna, gdy się pani uśmiecha — zachwyciła się dama z pieskiem. — Powinna pani uśmiechać się zawsze.

Już nieraz słyszała ten frazes, głupi i niezyciowy, nie była japońską gejszą, aby się uśmiechać nawet wówczas, gdy życie się do niej wykrzywiało, a wykrzywiało się i robiło brzydkie grymasy tak często.

Wszedł Miś w suchym ubraniu i kapciach na nogach. Wziął filiżankę herbaty, nasypał do niej cztery łyżeczki cukru i wrzucił trzy plasterki cytryny.

— Panie Michale — rzekła dama obrzucając go czułym spojrzeniem. — Niech pan powie, czym mogłabym się panu odwdziżyć za to, co pan dla mnie uczynił?

— Przecież ja tego nie zrobiłem dla pani — mruknął po swojemu — tylko dla tego szczeniaka. Ja bardzo lubię pieski. My też mamy psa. Lolek mu na imię. Ale teraz zasnął tak smacznie... nie będę go tu sprowadzał, bo jeszcze by się rzucił na Jacka. Kocha ludzi, ale nie lubi psów...

— Zupełnie przeciwnie niż niektórzy chłopcy — tu spojrzała Krystyna na Misia — którzy nie lubią ludzi, a kochają psy.

Obie panie roześmiały się.

— No więc, panie Michale — powtórzyła dama — proszę szczerze powiedzieć, czym mogłabym panu zrobić przyjemność...

— Ja wiem? — zawahał się. — Zbieram kolorowe zagraniczne kartki pocztowe ze znaczkami. Gdyby pani miała takie pocztówki?

— Ależ mam całe mnóstwo — ucieszyła się. — Mój mąż z każdej podróży pisuje do mnie. Naturalnie, że panu je przyślę pocztą w dużej kopercie. Ale co jeszcze, bo to za mało...

Michał zaczerwienił się. — Gdyby... gdyby mnie pani zechciała kiedyś wziąć do tego swojego taunusa. Taki fajny wóz...

— Z rozkoszą! — zapewniła go. — Ale i mamusię... Michał skrzywił się.

— Eee, po co? Mama nie lubi jeździć samochodami, ma jakieś kompleksy. Pojedziemy we trójkę z Jackiem.

— No, to w takim razie ja zaproszę pańską mamusię do siebie na małe party. Za kilka tygodni przyjedzie do Polski brat męża z Ameryki. Chyba mi pani nie odmówi?

— Ależ z miłą chęcią — odparła Krystyna bez entuzjazmu. Ta słodziutka dama zaczęła ją już po trochu męczyć.

— To wspaniały człowiek — mówiła pani z pieskiem. — Podczas wojny bił się w Norwegii, nawet był ranny. Po wojnie dostał się do Ameryki i tam już pozostał. Po latach ciężkiej harówki dorobił się wreszcie własnej wytwórni koszul męskich i nieźle na tym zarabia. O, pani wie, tam człowiek energiczny, z inicjatywą i tak pracowity, jak on, nie zginie. Dzisiaj ma piękny własny domek z

ogrodem w okolicy Chicago, a obok, niedaleko, tę swoją wytwórnię. Oczywiście, samochody, własny swimming-pool, basenik pływacki, i wszelkie luksusy. Tylko w małżeństwie nie miał szczęścia, ożenił się ze śliczną rodowitą Amerykanką i ma z nią dwoje rozkosznych dzieciaków. Ale po jakimś czasie musiał się z nią rozejść. Nie była żadną gospodynią ani panią domu. Cały dzień tylko uganiała swoim wozem, a o dom nic nie dbała.

— I tylko dlatego się z nią rozwiódł? — zdziwiła się Krystyna.

— Może były jeszcze inne powody... podobno była także bardzo rozrzutna. Dzieci zostały przy nim, chłopiec i dziewczynka. Czy pani wie, po co on przyjeżdża do Polski? Uśmieje się pani. Aby sobie tutaj znaleźć żonę. Pragnie się ożenić z Polką z kraju. Tamtejsze Polki są dla niego, jak mi pisał, zanadto płytkie i nie ma z nimi o czym rozmawiać, a on pragnie mieć żonę, dziewczynę poważnie myślącą...

— To takiej też u nas nie znajdzie — wtrącił Michał. — U nas dziewczyny myślą poważnie, ale o... zarobkach.

— Szwagier wcale nie szuka żony wśród tych najmłodszych. Wiek mu jest obojętny, byleby była ładna, zgrabna i...

— Młoda — podsunęła śmiejąc się Krystyna.

— Wcale nie, przede wszystkim inteligentna, z poczuciem humoru. Sam zresztą jest już niemłody, ale świetnie się trzyma, nikt by mu nie dał więcej jak pięćdziesiąt lat.

— Mama — wyrwał się nagle Michał — to coś dla ciebie, ty tak lubisz wychodzić za mąż!

Krystyna spojrzała na niego gniewnie. — A ty, jak się odezwiesz, to jak kulą w płot.

— Och, niech się pani na niego nie gniewa, przecież żartował. On jest taki słodki... Ale ja się nieprzyzwoicie zasiedziałam, to pani wina, jest pani taka miła i gościnna. A więc, jak powiedziałam, zadzwonię zaraz, jak tylko szwagier przyjedzie. Do widzenia, panie Michale, bye, bye! I jeszcze raz gorąco dziękuję, jest pan prawdziwym dżentelmenem.

Oboje odprowadzili ją do przedpokoju.

— Uff — westchnęła Krystyna opadając na fotel — cóż za sacharyna!

— A ja uważam, że fajowa babka — odparł Michał.

— Dla mnie zanadto miła i za słodka, a od za wielkiej porcji słodczy dostaje się niestrawności.

— Tobie, mama, to nikt się nie podoba. A widziałaś, jak była ubrana? Same zagraniczne ciuchy.

— Wielka sztuka — rzekła Krystyna wzduszając ramionami — pewnie dostaje paczki od tego szwagra z Ameryki.

— A ty, mama, to się tak beznadziejnie ubierasz, chociaż przecież dosyć dobrze zarabiasz. — Miś znał się na damskich strojach i interesował się modą. — Sprawiałabyś sobie jakiś ładny kapelusz, chodzisz zawsze potargana. . .

Może chłopak ma rację? Może należałoby się ubierać jakoś weselej? U modniarki wystawiony był w witrynie tak zwany model. Toczek cały z piórek różowych i bladoniebieskich. Przymierzyła go, było jej w nim wyjątkowo dobrze. Może w tym kapelusiku Miś zechce pójść z nią do kina lub kawiarni. Zapłaciła pięćset złotych i wróciwszy do domu położyła go na tapczanie, a sama skoczyła jeszcze do sklepu po masło. Gdy wróciła, oczom jej przedstawiał się widok wstrząsający: Lolek trzymał w łapkach poszarpany toczek, a z pyska wyfruwały mu piórka niebieskie i różowe. Oparty o ścianę Miś kulał się ze śmiechu.

— Mój piękny, nowy toczek! — wykrzyknęła Krystyna. — Nie mogłeś mu go odebrać!

— Chciałem — wybąkał wśród ataków śmiechu — ale warczał i nie pozwolił go sobie wyrzeć. — Ale spójrz, mama, jak on wygląda, hihhi! Cały w tych piórkach. Eee, ty nie masz za grosz poczucia humoru!

— Mam za grosz — rzekła ze złością — ale nie za pięćset złotych!

Zabrzączał telefon.

— Jeśli do mnie — rzekł Michał wyciągając z pyska Lolka resztę piórek — to dowiedz się, która dzwoni. Jeśli Małgosia, to mnie nie ma, a dla Dorotki to jestem. Kapujesz?

Był to jednak do Krystyny. Dzwoniła pani Walkiewicz i zapraszała ją w najbliższą sobotę na małe „party” z okazji przyjazdu szwagra.

— Mój mąż jeszcze nie wrócił ze swojej podróży do Indii — mówiła — ale Bob będzie robił honory pana domu. Będzie mało osób, ale za to dobrane towarzystwo. Bardzo serdecznie proszę.

— Dziękuję drogiej pani za pamięć — odparła Krystyna — oczywiście, że się zjawię z radością. O której? Między piątą a szóstą. Doskonale. Już sobie zapisuję adres. No to dziękuję i do zobaczenia w najbliższą sobotę.

Odeszła od telefonu, jeszcze uprzejmie uśmiechnięta.

— To ta pani od pieska, niee? Mama? — rzekł Michał tarmosząc Lolka ozdobionego piórkami niby indiański wojownik. — A mnie nie zaprosiła?

— Nieee, przecież tam na pewno będą sami dorośli. . .

— A ja niby dzieciak, czy co? Brzydko z jej strony. Za to, co zrobiłem dla jej pieska. Chciałbym tego faceta poznać. Zaproś go, mama, do nas na lunch.

— Na obiad — poprawiła go. Nie lubiła tych jego snobistycznych, obcokrajowych określeń, które lubił wymawiać z przesadnie dobrym akcentem, nie znając przy tym dobrze języka.

— Zobaczę, czy mi się spodoba. Może to jakiś zupełnie nieinteresujący typ.

— Jak potrafił tam zrobić forszę, to musi być interesujący — rzekł Michał. — A gdybyś ty mu się spodobała, to może by nas zaprosił do siebie do Ameryki — dodał z rozmarzeniem.

— Och, ty głuptasie, myślisz, że oni tak od razu zapraszają jakąś panią z synem na swój koszt? Oni dobrze sobie cenią każdy ciężko zarobiony grosz.

W dzień owego przyjęcia Krystyna poszła do fryzjera i do kosmetyczki. Zrobiła przegląd swoich sukien. Dziwne — pomyślała — jak suknie wiszące długo w szafie zmieniają się. Te, które były takie dobre zeszłej wiosny, nagle są do niczego, a te, których się nie nosiło, leżą jak ulał. Wybrała białą z „wdzianiny” (jak mówiła Józefa), w której wyglądała zgrabnie i młodo.

— A umaluj się trochę — rzekł ze swojego tapczana Michał.

— Ostatnio maluję tylko usta — odparła Krystyna — zauważyłam, że podkład pod puder uwydatnia zmarszczki.

— No to przynajmniej zrób sobie oczy...

— Nie umiem sobie teraz podczerniać rzęs i brwi, to tylko smarkule potrafią, mnie zawsze zaszmarowuje się całe oko i płaczę czarnymi łzami — zaśmiała się. — Ale musisz przyznać, że i tak nieźle dziś wyglądam.

— No tak... jak na twoje lata — mruknął. — Inne babki w twoim wieku to już babcie.

— Nie przesadzaj — skrzywiła usta. — Czterdzieści kilka lat to cóż to za wiek. Przelicz to na złote, a zobaczysz, że to żadna suma, bo i co za to kupisz — nic!

Nie roześmiał się, nie zrozumiał tego żarciku.

\* \* \*

Mieszkanie państwa Walkiewiczów to była dziwna mieszanina egzotycznych trofeów z podróży pana domu, jakichś afrykańskich masek, totemów i nowoczesnych mebli. Na półkolistej kanapie z poduszkami, obitymi tym samym materiałem, siedziało kilka osób. Pani domu w cocktailowej sukni, całej nabijanej świecidełkami (pewnie dar szwagra z Ameryki), z głową w złotych lokach, a twarzą w uśmiechach, przywitała ją z entuzjastyczną radością i od razu obstawiała mikroskopijnymi kanapeczkami i zagranicznymi słonymi keksikami dla zamożnych gości, którzy nie przychodzą głodni na przyjęcie.

Krystyna zajęła miejsce na kanapie obok znanej filmowej aktorki, Hanny Gordon, osoby efektownej i zadbanej od stóp do rzęs. Rozejrzała się wokoło, chcąc odgadnąć, który z panów może być owym szwagrem z Ameryki. Pani domu wybawiła ją z kłopotu, oświadczając, że szwagier wyszedł na spacer i powinien zaraz nadejść. Rozmowa toczyła się o polskich filmach, które można śmiało krytykować. Pani Hanna wypowiadała się na temat pewnej starszawej aktorki: — Ona

zawsze każe sobie robić zdjęcia przez pończochę, czyli przez gazę, aby młodziej wyglądać.

— To pani piękne zdjęcie w ostatnim numerze „Ekranu” chyba też było robione przez „pończochę”? — powiedziała z niewinną minką jedna z pań.

— Och, jaka pani złośliwa! — zaśmiała się nieszczercze gwiazda. — Na szczęście, nie potrzebuję jeszcze chwycić się takich tricków, nawet nie było retuszu.

Wszyscy uznali to za szczere kłamstwo i rozmowa przeszła na temat nowego dyrektora jednego ze stołecznych teatrów. Odezwał się dzwonek i do pokoju wszedł wysoki, silnie i dobrze zbudowany mężczyzna, którego pani domu przedstawiła jako swojego szwagra. Nowy gość uścisnął rękę wszystkim panom, zaś paniom amerykańskim zwyczajem ukłonił się z daleka, po czym usiadł i zapalił papierosa. Krystyna przyglądała mu się z zainteresowaniem. Zastanawiające w jego twarzy było to, że mimo mnóstwa zmarszczek nie wyglądał staro. Można by powiedzieć, że twarz miał młodą — ale „spracowaną” jak niektóre ręce. Może jego szeroki, wesoły uśmiech wywoływał to wrażenie młodości. Krystyna lubiła porównywać nowo poznanych ludzi do zwierząt, ale również i do przedmiotów, była to zresztą taka towarzyska gra z czasów jej młodości: „gdyby on był”... Gdyby on był meblem, to jakim? — zastanawiała się. Oczywiście, wygodnym, wyściełanym fotelem z wysokim oparciem, w który można by się zapaść i odpocząć.

Pani domu z triumfującą minką wynalazcy czy odkrywcy chwyciła pełne zainteresowania spojrzenia pań, którym się jej szwagier od razu spodobał. — A co? — zdawały się mówić jej błyszczące oczęta. — Ma się tę rodzinę! Wciąż pochylała się nad nim i napełniała mu kieliszek koniakiem, który on wypijał małymi łykami jak wino. Telewizyjna gwiazda postanowiła zająć go wyłącznie swoją osobą i zaczęła od banalnego zapytania: jak mu się podoba odbudowana stolica?

— O wiele piękniejsza niż ją pamiętam z moich studenckich lat — odparł. — Tylko nie ma warszawianek.

— Jak to nie ma warszawianek?

— Warszawianka to był dawniej synonim elegancji, szyku, wdzięku, a ja teraz w Warszawie widzę albo grube matki, albo szczupłe i zgrabne córeczki w króciutkich dziennych i nocnych koszulkach.

— W koszulkach? — dziwiła się gwiazda, podnosząc brwi wysoko do góry.

— No tak — roześmiał się — alboienne luźne bez rękawów, albo krótkie nocne, z długimi rękawami.

— Strój „sportowy” — odezwała się Krystyna —ienne koszulki, jak pan te ich kiecki nazywa, do amorów dziennych gdzieś na plaży lub w lesie, a te nocne do amorów w łóżku. Prosta i nieskomplikowana sprawa.

Amerikanin roześmiał się i z pewnym zainteresowaniem spojrzał na Krystynę.

— A czy młode Amerykanki nie noszą takich krótkich, luźnych kiecek — zapytała pani Hanna.

— Chyba tak... — odparł z pewnym wahaniem. — Co prawda, to jestem jak każdy mężczyzna w Stanach tak zapracowany, że nie bardzo mam czas oglądać się za młodymi dziewczętami; ale mnie się wydaje, że nie trzymają się tak ściśle mody, jak Polki, że ubierają się bardziej indywidualnie i każda dobiera strój do swojego typu...

— No i wszystkie kiecki i sweterki mają nabijane świcidelkami — trochę ironicznie zauważyła pani Hanna.

— To dla Murzynek — odparł. — Eleganckie Amerykanki ubierają się raczej spokojnie i z umiarem.

— No i dla Polek u nas w kraju — wtrąciła Krystyna. — Na bazarach handlarki sprzedają te błyszczące ciuchy po wygórowanych cenach.

— A zamożne Amerykanki wyrzucają je na śmietnik, gdy już trochę w nich pochodziły — powiedział Amerykanin.

Pani domu spojrzała na swoją suknię z pewnym przerażeniem, jak gdyby ją oblała kawą.

— Czy ta sukienka, którą mi przywiozłeś. Bob, to także z takich wyrzuconych na śmietnik? — zapytała.

— Chyba żartujesz, Alicjo. Ta suknia kosztowała pięćdziesiąt dolarów! — Po tym powiedzeniu wydał się Krystynie mniej sympatyczny.

— To przecież zaraz widać — wtrąciła pochlebnie pani Hanna. — Ta przeliczna koronka i co za krój.

— No tak, ale też nabijana błyszczącymi paciorkami — rzekła, ale już z pogodnym uśmiechem, Alicja i znów napełniła koniakiem kieliszek szwagra.

— Niech nam pan coś opowie o Ameryce — przerwała rozmowę o kieckach pani Hanna. — Polska musi się panu wydawać po Stanach straszną prowincją?

— Nic podobnego, łaskawa pani — mówił tak, jak się ludzie wyrażali przed wojną. — Różnica polega tylko na wzroście, tam wszystko jest nienaturalnej wielkości, z wyjątkiem ludzi... Wysokie buildingi, olbrzymie magazyny, wielkie jeziora, wielkie szosy potrójne, wysoka stopa życiowa i olbrzymia praca. W Polsce nie śni się nawet o tym, jak ludzie w Ameryce pracują...

— Dla miłego grosza — wtrąciła z uśmiechem Krystyna.

— Tak — odparł — dla tych zielonych papierków. Wprost zabijają się, aby mieć na wszystko, aby spłacać raty za te śliczne domki, które się kupuje już ze wszystkim, z meblami, z lodówką i klimatyzacją.

— Mój Boże — westchnęła naiwnie pani domu — szczęśliwe te amerykańskie żony!

— Czy ja wiem, czy one są takie szczęśliwe? — zastanowił się i zapalił swojego amerykańskiego papierosa. — Muszą same sprzątać, gotować... o tych wa-

szych „gospoiach”, jak to się teraz nazywa, nawet nie marzą, to jest za kosztowne. . .

— Ale — odezwała się Krystyna — mężowie zarabiają na całe utrzymanie, o sprawy bytowe nie muszą się trapić, a my musimy pracować tak samo jak mężczyźni.

— Alicja wspominała mi, że pani robi dla telewizji animowane filmy. Ciekaw jestem, ile pani miesięcznie zarabia?

Było to typowe pytanie, które w Ameryce ludzie ludziom stawiają, ale które w eleganckim warszawskim towarzystwie zabrzmiało trochę szokująco.

— W każdym razie wystarczająco, aby móc utrzymać siebie, syna i gospo-  
się — odparła wypijając swój kieliszek koniaku.

Amerykanin zwrócił się do gwiazdy filmowej.

— A wolno wiedzieć, ile pani zarabia?

Roześmiała się, ukazując piękne białe zęby, które Krystynie przypominały bransoletki z Jablonexu, nabijane sztucznymi perłami.

— Dlaczego to pana interesuje?

— Tak, dla ciekawości. I też posiada pani gospo-  
się?

— Oczywiście.

— A pani mąż gdzie pracuje i ile zarabia?

— Jestem właśnie w przerwie między jednym mężem a drugim. . .

— A pani mąż? — znów zwrócił się do Krystyny.

— Nie mam męża.

Roześmiał się szeroko. — Zamiast mężów wszystkie macie gospo-  
się.

— Tak — odparła Krystyna — to o wiele mniej kosztuje niż mąż i mniej grymasi.

— Zdumiewające! W Stanach mężowie zarabiają na żony, a one skaczą ko-  
ło nich i starają się im we wszystkim dogodzić. Są świetnymi dyplomatkami, na  
wszystko się zgadzają, ale robią swoje. No i co? — widocznie ta kwestia intere-  
sowała go. — Tak zmieniacie mężów jak. . . jak rękawiczki, nie, to nieaktualne,  
jak pończochy?

— Właśnie — roześmiała się Krystyna — doskonałe porównanie, gdy poń-  
czochy zaczynają „puszczać oczka” w stronę innej kobiety, to się je zamienia na  
nowe.

Bardzo mu się spodobało to powiedzenie i roześmiał się szczerze: — „Pusz-  
czać oczka” w stronę innej kobiety — powtórzył, jak gdyby chciał sobie to zano-  
tować w pamięci. — Ale ja słyszałem, że u was pękniętych pończoch nie wyrzuca  
się, tylko daje do reperacji.

— Owszem, dajemy je do tak zwanej elegancko „reparacji”, gdy jeszcze da-  
dzą się naprawić, ale gdy się nagle zrobi z pękniętych oczek wielka droga — to  
wówczas się je wyrzuca.



— No tak — zwrócił się do Hanny. — Ilu pani miała mężów, jeśli to nie jest zbyt niedyskretne pytanie.

— Trzech, nie licząc dochodzących. . . — odparła żartobliwie.

— I pragnie pani jeszcze raz wyjść za mąż?

— Oczywiście, zbieranie mężów to moje hobby.

Krystyna miała wrażenie, że to jej dowcipno-cyniczne powiedzenie nie spodobało mu się. Oceniała go jako człowieka prostolinijnego, trochę naiwnego, chociaż niegłupiego.

Pani domu, pragnąc czymś zapełnić chwilowo milczące usta gości, zaczęła zachęcać ich do picia koniaku i jedzenia mini-kanapek. Fruwała po pokoju jak motylek, z braku skrzydełek trzepocząc długimi, misternie przyprawionymi rękawami.

— Państwo nic nie jedzą. A może teraz kawki?

Na kawę było dużo amatorów. Do pań zbliżyli się pan docent i pan mecenas, zajęci rozmową o szkodliwości skrapiania owoców i jarzyn środkami owadobójczymi.

— Bo przy okazji, panie mecenasie, tępi się i ludzkie zdrowie — rzekł docent.

— Czyli — roześmiał się mecenas — tępiąc owady, tępi się i największego „szkodnika” tej ziemi — człowieka.

Docent, pan jeszcze w sile wieku i z dobrym samopoczuciem, uśmiechem i przytaknięciem głowy przyznał rację mecenasowi. Z filiżanką kawy w ręce, zwrócił się do pani Hanny.

— Nawiazując do tego, co pani poprzednio twierdziła, to zbiera pani mężów jak. . . znaczki pocztowe. Czy i starsi panowie mają u pani jakieś szansę?

— Lekarze zawsze. Ja kocham się leczyć — odparła kokieteryjnie.

— Jak wszyscy zdrowi ludzie — zaśmiał się docent. — Bo przecież pani jest okazem zdrowia. . .

Pan Bob wstał i zbliżył się do nich.

— Jaką pani ma prześliczną toaletę — rzekł ze znawstwem. — Nie wiedziałem, że wasza konfekcja potrafi produkować takie udane modele.

Hanna zaśmiała się jak synogarlica. — Pan chyba żartuje? Któraż z naszych eleganckich pań kupuje konfekcję! Mam doskonałą krawcową.

— To w Stanach jest wprost nie do pomyślenia — rzekł Bob. — Na krawcową stać tylko milionerki, tak to wszystkie kupują konfekcję. Droższą lub tańszą, zależy od stanu majątkowego.

— I może je spotkać taka przykrość, że na jakiejś party ujrzą swoją, że tak powiem, najbardziej zawistną „przyjaciółkę” w takiej samej kreacji — zauważyła Hanna.

Pan Bob przytaknął, roześmiał się i usiadł na wschodnim pufie koło Krystyny, którą to napełniło wesołością. Widzisz, wydro — pomyślała — woli mnie od ciebie, chociaż jesteś taka piękna i. . . zębata.

— Pani wspomniała — rzekł — że ma pani na utrzymaniu syna? A w jakim on jest wieku?

— O, to już dorosły chłopak, będzie teraz zdawał maturę.

— Ja mam dwoje dzieci — pochwalił się — chłopaka i dziewczynkę, słodkie bachory — rozczulił się. — Dziewczynce na imię Wanda, a chłopakowi Ray — Raymond. A urwisy! Ze świecą drugich takich szukać! Czy pani wie, że Ray, jak miał pięć lat, gdy się zatrzymałem kiedyś przed drugstorem moim fordem i wyszedłem z wozu, aby coś kupić, nacisnął gaz i pojechał prosto przed siebie.

— Coś podobnego — zdumiała się Krystyna — no i co, pewnie rozbił wóz?

Pan Bob zaczął się śmiać serdecznie. — To, że rozbił mój nowy wóz o latarnię, to nic, ale że jemu się nic nie stało, figlarzowi, to istny cud.

— Chyba dostał od pana za to porządne lanie?

— U nas się dzieci nie bije, łaskawa pani. Powiedziałem mu tylko kilka słów reprimendy i skończyło się na kupieniu mu porcji ice-cream'u. Byłem tak szczęśliwy, że mu się nic nie stało.

— Bardzo niepedagogicznie, drogi panie — rzekła Krystyna, ale jednocześnie pomyślała z żalem, że są na świecie ojcowie, którzy nie tylko nie mają za złe swoim synom, że im rozbili nowy wóz, ale jeszcze prowadzą ich potem na lody. Nie tak jak Franciszek, który syna za to wyrzucił z domu. Powinna była trafić od razu na takiego męża, jak ten zacny Polak z Ameryki, i wtedy jej życie byłoby się inaczej potoczyło. Westchnęła do tych swoich myśli.

Amerykaninowi najwidoczniej podobała się urodziwa aktorka i przyklepiony był do niej wzrokiem jak dziecko do kosztownej lalki za szybą wystawową. Częściej zwracał się do niej niż do Krystyny.

— Słyszałem — rzekł — że nowa Opera Warszawska jest taka imponująca. Może by się pani tam ze mną wybrała. W tym tygodniu, wiem, dają „Halkę”. Ale a propos — roześmiał się szeroko — kiedyś jedna z moich znajomych pań chciała w Detroit pójść na „Halkę”, którą właśnie wystawiał polski zespół. A na to odpowiedziała jej przyjaciółka: A po co ci do opery iść po halkę, możesz sobie przecież kupić w każdym magazynie.

Wszyscy roześmieli się.

— Oczywiście, że możemy pójść z panem do Opery — odparła Hanna. — Ja mam te znajomości i postaram się o bilety, co nie jest łatwe, ale ostrzegam pana, że wszyscy będą na nas spoglądać, uśmiechać się. Gdziekolwiek się zjawię, oglądają się za mną i szepczą: „Gordon, Gordon” — to jest aż żenujące. Chyba że pan chciałby zwrócić uwagę na siebie, tak jak pewien facet, który przyczepił sobie do ubrania śledzia. . .

Amerykanin roześmiał się. — Pani jako odpowiednik tego śledzia, bardzo zabawne. Ja wobec tego włożę czerwoną koszulę i kowbojski kapelusz.

W jego tonie wyczuła Krystyna szczyptę ironii, której nie odebrała zrozumiwała aktorka.

Nagle w drzwiach ukazała się nowa postać. Była to piękna, młoda dziewczyna w króciutkiej sukience, ale za to o długich, ciemnych włosach, które dwiema prostymi strugami spływały jej aż do pasa. Pani domu przywitała ją radośnie i pocałowała w oba policzki.

— Elżbietko, pozwól, że ci przedstawię mojego szwagra z Ameryki, Bob, to jest córka mojej koleżanki, o której ci wspominałam.

Krystynie przypomniała lalki, którymi bawiła się w dzieciństwie. Też miały takie krótkie, szerokie sukienki, ozdobione u dołu falbanką, białe pończoszki i długie włosy. Nawet oczy jak gdyby z dużych niebieskich paciorków, wypukłe i bez wyrazu, ozdobione długimi, sztywnymi rzęsami. Lalki, które, gdy się im naciskało brzuszkiem, mówiły „mama”. Ta lalka milczała jak gdyby pod wrażeniem bogactwa młodocianych wdzięków, które na sobie nosiła jak milionerka drogocenną biżuterię.

Krystyna domyśliła się, że została ona celowo zaproszona na ową party, jako ewentualna kandydatka na żonę dla zamożnego Amerykanina. I nagle zrobiło jej się jakoś markotnie na duszy. Pomyślała o Michale i że właśnie taka dziewczyna, których zresztą wiele się widzi w eleganckich warszawskich kawiarniach mogłaby kiedyś być jej synową. Och, nie chciałyby mieć w domu takiej lodowatej piękności, takiego bałwanka ze śniegu. Te jej wypiełgnowane rączki, jak poeci dawniej opiewali „liliowe”, które nigdy nie szorowały bielinką zlewu kuchennego ani nie myły garnków. A może Miś znajdzie sobie inną żonę, taką mniej piękną, ale inteligentną, ludzką, wesołą, którą mogłaby pokochać jak własną córkę?

Dziewczyna założyła nogę na nogę i ukazała rąbek majteczek z tej samej koronki, co jej sukienka.

— Pokaż całe majteczki — zachęciła ją pani Alicja. — Patrzcie na tę małą elegantkę. Nie potrzebujesz się wstydić, to przecież stanowi cały strój.

— Ciocia mi je wraz z sukienką przysłała z Londynu — rzekła Elżbieta nie zmieniając poważnego i trochę smutnego wyrazu twarzy.

Krystyna spojrzała na Amerykanina i spostrzegła w jego oczach wyraz ironicznej drwiny, co jej od razu poprawiło humor.

— Jak się panu podoba ta młoda piękność? — zapytała przyciszonym głosem.

— Owszem — odparł obojętnie — ładna, ale mnie takie młode kozy nie interesują, poza tym przyznam się pani, że gdyby moja córka Wanda pozwoliła sobie na taki strój, tobym się nie dziwił, bo ona ma dopiero dwanaście lat, ale taka dorosła panna! U nas w Stanach, gdzie często na takich party bywa i ksiądz proboszcz, taka rzecz byłaby nie do pomyślenia.

— Słyszałam — zaryzykowała śmiało pytanie Krystyna — że pan przyjechał do Polski, aby sobie znaleźć żonę. Czy to prawda?

— Wspominałem o tym Alicji — rzekł zapalając papierosa — ale jeśli nic odpowiedniego dla siebie nie znajdzie, to nie będzie nieszczęścia. Wie pani, jest

takie wschodnie przysłowie, że jeżeli mężczyzna, którego żona opuściła, żeni się po raz drugi, nie wart jest szczęścia, które go spotkało. — Roześmieli się oboje.

— A niech mi pan powie, jakich zalet szuka pan w swojej przyszłej żonie, bo to bardzo interesujące.

— Pierwszy warunek: zgrabna, o miłej powierzchowności.

— ... Gospodarna — odpowiedziała żartobliwie Krystyna — muzykalna... jak w ogłoszeniach matrymonialnych.

— Oo, tylko nie to! Tylko nie muzykalna, radio, telewizja i te uprzykrzone big-beaty obrzydziły mi muzykę tak kompletnie!

— To tak jak mnie! — ucieszyła się Krystyna. — Mój syn cały dzień słucha tych piekielnych hałasów i zawsze je znajduje w audycjach radiowych. Ale gospodarna powinna być, prawda?

— Na to się przecież człowiek żeni, mąż pracuje na dom, a żona o ten dom dba. Podział pracy.

— Czyli — rzekła Krystyna — zamykacie żonę w pewnego rodzaju twierdzy i każecie jej gotować, sprzątać i pilnować dzieci. Żadna z nas, współczesnych Polek, takiego życia by nie zniosła. Każda ma swój zawód i swoje zainteresowania poza prowadzeniem domu.

— To znaczy — uśmiechnął się Bob — że to co jako zajęcie dla kobiety widniało w przedwojennych dowodach: „przy mężu” — już nie istnieje.

— Zupełny anachronizm. Dzisiaj każda jest nie „przy mężu”, ale „przy swojej pracy”. Jak się panu podoba Hanna Gordon? — zmieniła temat. — Świetna babka, prawda?

— Tylko nie „babka” — skrzywił się. — Gdy słyszę to określenie, to ciarki przechodzą mi po grzbiecie. Bo i co to znaczy „babka”? Czyja babka? Dlaczego nie mówi się tak jak dawniej: „pani” albo „niewiasta”.

— „Niewiasta” to jakoś mi zanadto zalatuje sanacją — rzekła z lekkim skrzywieniem ust Krystyna. — Więc jak ona się panu podoba?

— Owszem, bardzo atrakcyjna dama, i jako uroda — w moim guście.

Krystynę trochę podrażniła ta pochwała. Pani Gordon śmieszyła ją i denerwowała pewnością siebie, a może była po prostu o nią zazdrosna.

Ciemnowłosa lalka wsunęła się między nią a pana Boba.

— Jaki pan szczęśliwy — odezwała się po raz pierwszy — że pan mieszka w Stanach.

— Nie uważam tego za żadne szczęście, moja piękna panienko, tak mi się życie ułożyło. Jestem pewien, że gdyby mnie losy zatrzymały w kraju, dałbym sobie też radę i również byłbym zadowolony. To kwestia usposobienia — przy tych słowach uśmiechnął się, jak gdyby pragnąc zadokumentować, że radość życia nosi się w sobie, a nie czerpie z zewnątrz.

— Ma pan pewnie samochód i własny domek z ogrodem — westchnęła dziewczyna.

— Oczywiście, kupiłem go na raty z całym urządzeniem, i dość duży ogród, o który trzeba dbać.

— To nie ma pan ogrodnika?

— Też pomysł! Jakim by trzeba było być bogaczem, aby sobie móc na to pozwolić

— Więc kto dba o to wszystko?

— Mąż, żona, dzieci: kopią, sadzą, plewią. Bardzo zdrowe zajęcie.

Lala spojrzała na swoje piękne dłonie o długich, perłowych paznokciach.

— Nie szkoda im niszczyć rak?

— Panie pracują w rękawiczkach. Emalia do paznokci jest dość kosztowna.

— Pan podobno rozwiódł się ze swoją babką?

— Nie z „babką”, tylko z żoną — poprawił ją z pewną irytacją — a babka przyjeżdża, gdy mnie nie ma, i zajmuje się dziećmi. Babka, czyli teściowa.

— I pańska przyszła żona będzie musiała się opiekować tymi maluchami?

— „Maluchami” — powtórzył ze skrzywieniem ust — nie znałem tego określenia, zanadto przypomina „karaluchy”. Nie podoba mi się. Dawniej się mówiło „pociechy”, „bębny”, wolę nawet „bachory”. Ale to już nie są takie małe dzieci, chłopiec ma dziesięć, a dziewczynka dwanaście lat. One są słodkie — dodał z rozczuleniem. — Zaraz paniom pokażę ich zdjęcia. — Wyciągnął ze skórzanego portfela plik kolorowych zdjęć, które zaczęły kursować wśród obecnych. Krystyna ujrzała na jednym z nich śliczną dziewczynkę z długimi angielskimi lokami, w króciutkiej sukience i niebieskich rajstopach, i przystojnego chłopczyka w kowbojskim stroju, z coltem-zabawką w ręce. Koło nich stała uśmiechnięta, urodziwa, młoda osoba w białej sukni i z budowlą jasnych włosów na głowie.

— A ta śliczna młoda pani to kto? — zapytała Krystyna.

— To moja teściowa. Wyszła za męża, gdy miała szesnaście lat. Ale proszę zauważyć, jaka ta moja mała Wanda jest zgrabna, istna figuryńka z porcelany. A chłopak! Już mi sięga do ramienia, a jaki wysportowany!

— Ja bardzo lubię dzieci — rzekła ciemnowłosa lalka i długim spojrzeniem ugodziła w Amerykanina.

— Ale gdyby pani poznała moje. Takie udane dzieci rzadko się spotyka — wyprostował się z dumą autora.

Oho — pomyślała Krystyna — ta mała piękność leci na całego. Biedaczysko, gotów wpaść, szkoda by go było, taki sympatyczny i rzetelny.

Pani Hanna podniosła się.

— Niestety, będę musiała już iść. Mam jutro próbę o ósmej rano. Trzeba się wyspać.

Pani domu wypowiedziała wszystko to, co dobrze ułożona gospodyni powinna w takim wypadku powiedzieć, a więc „szkoda, że tak wcześniej musi opuścić towarzystwo, i że tak z nią było wszystkim miło, i że chyba niezadługo znów”... etc.

Krystyna również zaczęła się żegnać. — Było szalenie przyjemnie — rzekła ściskając rękę pani domu — doprawdy niezapomniany wieczór.

— To tylko zasługa moich gości — pani Alicja była jak płyta pod tytułem „wzorowa pani domu” i prawdopodobnie za każdym razem, gdy byli u niej goście, nakręcała ją i puszczała przez adapter warg. Dzisiaj jednak do zwykłej płyty dochodziły nowe zdania, a mianowicie ocena szwagra.

— Jak się pani podobał Bob? — zapytała odprowadzając ją do przedpokoju.

— Bardzo sympatyczny — odparła Krystyna szczerze — naturalny, prosty i przy tym pełen wdzięku.

— Prawda? — ucieszyła się. — Mój mąż jest do niego podobny, tylko o wiele poważniejszy. Uroczy pan — Krystyna nie wiedziała, czy ta pochwała dotyczyła jej męża, czy szwagra? — Wie pani — dodała przyciszając głos — bardzo chciałabym go wyswatać z tą śliczną Elżunią. Ona ma piękny głos, wzięła już drugą nagrodę na festiwalu piosenki amatorskiej. W Ameryce zrobiłaby karierę. . .

— Chyba nie taką jak w Polsce — odparła dość kwaśno Krystyna. — Tam jest na pewno o wiele większa konkurencja i trudniejsza protekcja. . . Poza tym dochodzi duża różnica wieku. Przecież ona jest taka młodziutka. . .

— Skończyła dwadzieścia dwa lata, tylko tak dziecinnie wygląda. O, to poważna dziewczyna i wie, czego chce.

— I zgodziłaby się wyjść za mąż za starszego pana?

— Dlaczego nie? On dobrze zarabia. . . ma swój domek, dwa samochody.

— No, chyba że dwa samochody — odparła Krystyna z ironią zamaskowaną powagą.

Do przedpokoju weszła pani Hanna i Amerykanin.

— Mam niedaleko zaparkowany samochód — rzekł pan Bob — odwiezę każdą z pań do domu.

Nie dyskutując dalej porwał z wieszaka swój kapelusz i wybiegł pierwszy.

— Jakże on ma młodzieńcze ruchy — zachwyciła się pani Alicja — młody chłopak.

— Ciocia chyba nie pamięta już, jak wyglądają młodzi chłopcy — długowłosa piękność wydeła blade usteczka. — Staruch, ale sympatyczny.

— No i wspaniale zarabia. Mówił mi, że ma około tysiąca dolarów miesięcznie — rzekła pani domu.

— Ile to może być na nasze złote? — zainteresowała się lalka.

— Tak nie można liczyć — odparła Krystyna. — Jeden dolar to u nas sporo, a tam ledwie dostaniesz za to skromny obiad. Inne ceny, inna miara wszystkiego. . .

Gdy obie z panią Hanną rozsiadły się w luksusowym samochodzie pana Boba, który nacisnął gaz i wóz zerwał się z miejsca, i pomknął przed siebie, gwiazda zajrzała do lusterka, przeciągnęła usta jasną pomadką i rzekła, pochylając się w stronę kierowcy.

— Proszę powiedzieć, kiedy mógłby pan przyjść do mnie na lunch?

- Kiedy pani zechce — odparł uprzejmie.
- To może w przyszły wtorek?
- With pleasure — powiedział pierwszy raz po angielsku. — O której?
- O czternastej.
- Fine! Zjawię się punktualnie.

Hanna mieszkała bliżej niż Krystyna, więc wpierv odwiózł ją. Wysiadł z wozu i otworzył środkowe drzwiczki. Na pożegnanie mocno uściskał jej dłoń i z powrotem wskoczył do samochodu. Krystyna postanowiła nie dać się zdystansować i też zaprosiła Amerykanina do siebie.

— A ja zaproszę pana na domową, skromną kolacyjkę — rzekła. — Czy może pan przyjść do mnie w przyszłą środę o dwudziestej?

— Oczywiście, z prawdziwą przyjemnością — odparł — tylko sobie zapiszę w notesiku, dzień, godzinę i pani dokładny adres. . .

\* \* \*

— Będziemy mieć na kolacji zagranicznego gościa — rzekła Krystyna do Józefy. — Co pani radzi dobrego?

— Ja to bym dała kurę w rosole — odparła Józefa — a potem naleśniki z serem.

— Nie, pani Józefo, kury to u nich najpospolitsze danie.

— U nich, to niby gdzie?

— W Ameryce.

— W to to ja już nie uwierzę — rzekła Józefa i z wrazenia klapnęła ciężkim zadem na fotel. — Pani mnie tylko tak buja. No, to może się wykosztujemy na indyka?

— To też u nich zwykła potrawa, żaden rarytas. Zrobimy taką polską kolację. Damy ruskie pierogi z serem i czerwony barszcz z kaszą hreczaną.

— Wstydziłaby się pani, pomyśli, że u nas taka bieda, a przecież panią stać na uczciwego schaboszczaka.

— Będzie tak, jak postanowiłam — ucięła krótko Krystyna. — I do tego czysta wyborowa.

— Jak pani nie ma pieniędzy, to ja pożyczę, ale wstyd dla domu tak gościa z zagranicy przyjmować.

Krystyna roześmiała się.

— Kochana pani Józefa myśli, że ja na gościu chcę oszczędzać, a ja właśnie pragnę mu dogodzić. A pieniędzy to ja mam jak. . . jak lodów u Włocha.

— Moja pani to jest, z przeproszeniem, dziwaczka. Ale niech ta będzie, zrobię już te pierogi, tylko muszę znaleźć dobry, słodki biały ser. A kiedy ma być ta. . . uczta — to słowo wypowiedziała z głęboką ironią.

— W środę, pani Józefo. Ale niech mi pani poradzi, co podać do wódki?

— Zrobimy kanapki, szynka, na to kawałek pomidora i kawałek ogórka kiszzonego, albo śledziki marynowane. W lepszych domach bywałam i dobrze wiem, jak się gości przyjmuje. Albo sałatkę jarzynową z Delikatesów i do tego cienko pokrajaną kiełbasę.

— Kiełbasa może być — odparła z namysłem Krystyna — ale żadnych kanapek. To takie pospolite i można powiedzieć, obnoszone — w tym miejscu roześmiała się. — Zrobimy grzanecki z domowym pasztetem z wątróbki.

— To już sobie pani sama robi. W zamożnych domach podaje się do wódki kanapki, ja tam nie zwyczajna robić jakieś grzanki.

— Dobrze, pani Józefo, ja to sama zrobię. Może gdzieś znajdę żubrówkę — dodała z rozmarzeniem w oczach.

— A ja pani mówię — rzekła na zakończenie tej kulinarnej dysertacji Józefa — że ten pan z Ameryki to się już więcej u nas nie pokaże.

— Nie tylko, że będzie chciał przyjść jeszcze raz, ale mnie zaprosi do siebie.

— Oo — zarechotała zjadliwie Józefa — już widzę, jak panią prosi do Ameryki. Po takim wspaniałym przyjęciu — skierowała kroki w stronę drzwi, wzruszając ramionami.

Michał był szalenie podniecony tą nowiną..

— To fajno, żeś go zaprosiła. Chyba wykosztujesz się na jakąś wystawną kolację. Taki rzadki gość.

— A co ty byś wymyślił?

— Kurę pieczoną albo lepiej kaczkę, karpia w galarecie albo po żydowsku. No i oczywiście koniak.

Krystyna roześmiała się. — Nic z tych rzeczy — odparła. — Dam mu rdzennie polską kolację, to, czego nie jada w Stanach.

— Bigos — zainteresował się Michał, który był smakoszem i znał się na potrawach.

— Wiesz, to jest myśl — ucieszyła się Krystyna. — Barszcz, bigos, a potem jeszcze się zastanowię. . .

Michał spojrział na matkę z lekką drwiną w oczach i poszedł nastawić radio.

\* \* \*

Punktualnie o godzinie dwudziestej zjawił się pan Bob. Najpierw w otwartych drzwiach ukazała się duża wiązanka róż, a potem on sam. Ponieważ pani domu polskim zwyczajem nie była jeszcze gotowa, więc przyjął go Michał w ciemnym ubraniu i białej koszuli. Poprosił gościa, aby usiadł, i podsunął mu popielniczkę. Gdy chciał, potrafił być grzeczny, dobrze wychowany i uprzejmy. Na Amerykani nie zrobił od razu bardzo sympatyczne wrażenie.



— Mamusia zaraz przyjdzie. Kazała pana bardzo przeprosić. Ale pan wie, jak to babki, zawsze jeszcze mają coś do poprawienia na sobie, do przyczesania — uśmiechnął się unosząc górną wargę. Uśmiech miał trochę drapieżny. Gdyby tygrys uśmiechał się i pokazywał białe zęby, to byłoby coś w tym rodzaju. — No i — dodał po chwili — w Polsce goście zawsze się spóźniają, więc mama przepuszczała, że i pan...

— Może pan zechce zapalić amerykańskiego papierosa? — Bob podsunął w jego stronę pudełko lucky-strike'ów. Papieros to element towarzyski, który zastępuje słowa nic nie znaczące i uprzejmościowe. Michał przyjął papierosa, skinął głową na podziękowanie.

— Czy pan jest zadowolony, że mieszka w Stanach? — odezwał się pierwszy Michał. — Tam podobno życie jest takie ułatwione...

— Dla tych, którzy umieją ciężko pracować — odparł pan Bob. — Pan wie, że ja wstaję o piątej rano i jadę samochodem do wytwórni, która jest oddalona od mojej posiadłości o pięćdziesiąt kilometrów.

— A po co? — zdziwił się Michał. — Przecież pan ma swoich pracowników.

— Ale ja jestem kierownikiem, muszę wszystkiego dopilnować. Czasem wracam dopiero wieczorem. Tak, tak, my dear, zielone papierki nie lecą same do... gąbki — roześmiał się.

Do pokoju weszła Krystyna w eleganckiej cocktailowej sukni, wygładzona ręką kosmetyczki i misternie uczesana.

Po krótkiej wymianie nieważnych słów pani domu poprosiła do stołu, który pięknie nakryty stał w drugiej części pokoju. Róże od pana Boba postawiła na środku w kryształowym wazonie i spoglądając na nie pochwaliła ich piękny i świeży wygląd.

— Mnie się tu co innego podoba — rzekł z szerokim uśmiechem Amerykanin. — Ta żubrówka! Wciąż mnie w Polsce częstują różnymi koniakami, a przecież macie własne znakomite alkohole: żubrówkę, winiak, starowin.

— Tak, nawet je eksportujemy — odparła Krystyna i nalała wódkę do dwóch kieliszków. — Mój syn wódki nie pije — rzekła, spotkawszy się z pytającym wzrokiem gościa.

Owszem — pomyślał Michał — ale gdy mama nie widzi... Nalał sobie do szklanki piwa i podniósł ją do góry.

— Chin, chin! — rzekł z uśmiechem w stronę gościa.

— O, widzę, że pan zna dobrze nasze alkoholowe wykrzykniki. Mówimy: chin, chin, skool! albo your health!

— No, to your health! — rzekła Krystyna i wychyliła swój kieliszek.

— Nie, to pani zdrowie, zdrowie uroczej gospodyni!

Gdy Józefa w białym fartuchu, surowa i godna, podała barszcz w filiżankach, z pasztecikami, nadzianymi grzybkami, zadowolenie rozlało się na twarzy gościa.

— Ubóstwiam barszczyk — rzekł. — U nas w Stanach Polacy nie umieją go już robić. Buraczana gorąca woda!

Bigos, który potem zjawił się na stole, również został przez niego przyjęty z prawdziwym zadowoleniem.

— Skąd pani wiedziała, że ja przepadam za takim prawdziwym myśliwskim bigosem?

— Kobięca intuicja — powiedziała miło i banalnie.

Przy ruskich pierogach rozrzewnił się już kompletnie. — Ta pani gospoia to istna artystka, przecież te pierogi aż się w ustach rozpływają.

— Ruskie pierogi — skłamała filuternie Krystyna — akurat ja robiłam, cieszę się, że panu smakują.

Pierwszy raz spojrział na nią z prawdziwym zainteresowaniem i nawet jak gdyby z czułością.

— Czyli że pani posiada wszystkie zalety — rzekł i nappełnił oba kieliszki zubrówką.

— Ale przecież wam wystarczy tylko jedna zaleta, żeby kobieta umiała gotować i znała się na kuchni.

— O, nieprawda, wymagamy jeszcze od niej, aby była schludna, przystojna, miła, łagodna...

— I ubóstwiała was — podsunęła Krystyna. — No to... — wychyliła swój kieliszek i postanowiła więcej nie pić.

Ponieważ rozmowa wciąż kręciła się koło spraw kulinarnych, więc Krystyna zapytała gościa, jak smakował mu lunch u pani Hanny? Ku jej zadowoleniu skrzywił się.

— Wie pani, czym mnie ta, zresztą, czarująca dama, uraczyła? Pieczoną kurą! — Słowo „kura” wymówił z takim niesmakiem, jak gdyby to była co najmniej nieświeża ryba.

— Widzisz, Misiu — Krystyna ze śmieszką zwróciła się do syna. — No, a co dała do wypicia?

— Koniak — skrzywił wargi — a ja już na wszelkie alkohole koniakowe nie mogę patrzeć. Wolę czystą wyborową. I do tego takie duże kanapki ze wszystkim, co jest w waszych Delikatesach do kupienia, i co to nie wiadomo, jak jeść.

Krystyna z jednej strony była zadowolona, że bezkonkurencyjna gwiazda telewizyjna została przynajmniej na gastronomicznym polu przez nią pobita, ale z drugiej zaczęła ją nużyć ta płytka rozmowa, sięgająca jednak głęboko do męskich zamiłowań.

Jogowie hinduscy wierzą — pomyślała — że dusza siedzi w żołądku, w tak zwanym splocie słonecznym. Jeśli chodzi o mężczyzn, to na pewno prawda.

Kompot z wiśni, zaprawiony rumem, zakończył kolację, z której, i gość i pani domu byli najzupełniej zadowoleni. Czarną kawę podała Krystyna w innym ką-

cie pokoju, przy niskim podłużnym, modnym stoliku — jamniku, stojącym przy tapczanie.

— Czy mogę zapalić cygaro? — zapytał pan Bob. Krystyna nie znosiła dymu z cygar, zaraz zaczynała ją boleć głowa, skinęła jednak przyzwalająco, a sama zapaliła papierosa. Amerykanin odprawił cały obrządek z cygarem, a potem, buchnąwszy smrodliwym dymem, wyciągnął nogi i najspokojniej w świecie ułożył je na drugim foteliku. Nawet nie przeprosił pani domu, uważając ten relaks za najzupełniej naturalny.

— Dobrze mi u pani i z panią — rzekł puściwszy z zadartej do góry twarzy smugę szarego dymu.

Inwit do bez atu — pomyślała rozbawiona Krystyna. — Nie powiem „pas”, bo jeszcze nic nie wiadomo, ale również nie „dwa kiery” — czyli dwa serca. Najlepiej nic nie powiedzieć, tylko się uśmiechnąć albo wykręcić się telewizorem.

— Czy chce pan obejrzeć telewizję?

— Och, tylko nie to! — podniósł obie ręce do góry jak gdyby we własnej obronie. — Mam w domu dwa telewizory, jeden nawet z kolorowym obrazem. Telewizja jest teatrem człowieka „middle class”. W New Yorku bilet do teatru kosztuje około siedmiu dolarów, bilet do kina dwa do pięciu.

— W takim razie — przerwała mu Krystyna — u nas bilety do kina są wręcz za darmo.

— Odbiornik telewizyjny — ciągnął dalej Amerykanin — kosztuje około stu trzydziestu dolarów. Za tę kwotę można pójść tylko trzynastą raz do teatru i ponad pięćdziesiąt razy do kina. Amerykanin ogląda program telewizyjny przeciętnie około sześciu godzin dziennie. Z tych sześciu godzin sześćdziesiąt minut poświęconych jest reklamie. Czyli, że przeciętny Amerykanin poświęca ponad piętnaście dni w jednym roku swego życia na oglądanie reklam.

— Koszmar! — wzdygnęła się Krystyna. — A nie da się tego uniknąć, walczyć z taką bzdurą?

— Amerykańska telewizja jest w rękach prywatnych instytucji, które na nadawaniu reklam doskonale zarabiają. Biznes, moja miła pani!

— Biznes, biznes — powtórzyła Krystyna — a co dla ducha? — to ostatnie zdanie wypowiedziała kpiącym tonem.

— Chyba... baseball — zaśmiał się Bob. — W Ameryce publiczność szaleje wprost za zawodami sportowymi, a szczególnie właśnie za baseballem. Gdy odbywa się mecz dwóch drużyn, powiedzmy, jednej z San Francisco, drugiej z Detroit, i ta z San Francisco zwycięży, widzów ogarnia szał. Dochodzi do bójek, awantur i nieraz musi interweniować policja.

— U nas też — pochwalił swój kraj nie bez dumy w głosie Michał. — Kibice z dwóch przeciwnych drużyn potrafią się łać aż miło!

— Ale to nie to, co w Stanach. Tam wszyscy interesują się sportem. Kobiety, dzieci i starcy — roześmiał się.

— Widzisz, mama — odezwał się Michał — a ty nie lubisz oglądać meczów.  
— Przyznaję się, że mnie to piekielnie nudzi. Może dolać kawy? — zwróciła się do gościa.

— Proszę, świetna kawa. Widzi pani, Amerykanie są dziecinni i to jest ich główną cechą. Poważnie traktują tylko swoje zarobki, a wszystko inne powinno być zabawą. Fabrykują nawet różne zabawki dla dorosłych, jak na przykład długopisy z gołymi damami i także zapalniczki, kalosze dla swoich czworonożnych pieszczołów. Zaproszenia na różne party z kolorowymi okładkami. Zawiadomienia o przyjściu na świat synka, z wymalowanym na welinowym papierze małym dzieckiem w różowej lub niebieskiej koszulce.

— Umieją się bawić... — westchnął Michał.

— Tak, to im trzeba przyznać. Nie znają powagi narodów europejskich. Choć Polacy w kraju też lubią się śmiać, ubóstwiają kawały, ale chyba w gruncie rzeczy poważnie myślą o wielu sprawach. A przecież życie jest zanadto surowe, aby je brać wyłącznie na serio...

— Pan ma rację — odparła Krystyna i z rosnącą sympatią spojrzała mu w oczy. — „Zanadto surowe, aby je brać na serio”. Paradoks, ale bardzo mi odpowiada. Bo jeśli się je bierze poważnie, to tylko oszaleć ze strachu, przewidując, co może spotkać naszych najbliższych lub nas samych. Wobec tego — zmieniła ton na lżejszy — może się czegoś napijemy. Misiu, przynieś z kredensu ten koniak węgierski.

— Koniak do kawy, okey — zaaprobował gość. — Oh, you are sweet!

— Czyli „słodka” — zrobiła grymas. — Nie lubię tego przymiotnika, jeśli chodzi o moją osobę, nieodpowiedni.

— Po angielsku — wytłumaczył jej Bob — to oznacza nie tylko słodka, ale: miła, zachwycająca, urocza. Język angielski, jak pani wiadomo, jest dość ubogi. Można jeszcze powiedzieć „charming” albo „nice”, ale ponieważ my, Amerykanie, wciąż się śpieszymy i życie nam upływa w szybkim tempie, więc staramy się je upraszczać, nawet jeśli chodzi o przymiotniki.

Gdy Michał zerwał się, aby przynieść butelkę koniaku i kieliszki, pan Bob pochylił się ku Krystynie, ujął jej dłoń z poręczy fotela i przyłożył do ust.

— You are sweet? Tak? — roześmiała się trochę zmieszana i obawiając się, że Michał wejdzie do pokoju, cofnęła rękę.

— Tak — przyznał poważnie — i wdzięczny jestem mojej szwagierce, że mnie z panią poznała.

— Jeszcze się pan nieraz rozczaruje — odparła kokieteryjnie.

Do pokoju wszedł Miś z tacką, na której stała butelka koniaku i kieliszki. Krystyna nie poznawała go. On, tak zwykle nieuprzejmy dla jej gości, obcy i zasklepiony w swoim młodzieńczym stylu, dzisiaj potrafił być na najlepszym poziomie. Najwidoczniej gość z Ameryki zaimponował mu jak kosztowny importowany ciuch.

— Reasumując to wszystko, co pan powiedział — rzekła Krystyna nalewając koniak — dochodzę do wniosku, że życie intelektualne w Stanach stoi na dosyć niskim poziomie, czy tak nie jest? Amerykanów te sprawy nie interesują.

— Tak, to nie ma porównania z poziomem przeciętnego Polaka w kraju, u was wszyscy pasjonują się sztuką, literaturą, kupują książki. W Stanach ludzie mało czytają, a jeśli, to przeważnie kryminały — odparł.

— To zupełnie jak ja! — wyrwał się Michał. — Tylko takie książki czytuję. Wszystkie inne mnie nudzą.

— No, bo ty jesteś typowy. . . młodzieżowy. Ja na przykład nie lubię kryminałów. Czytanie tego rodzaju powieści uważam za bezcelowe.

— Eee, bo ty nie idziesz z prądem czasu — odparł.

— Ale wie pani, co jest jednak zastanawiające, że na przykład artyści, a przede wszystkim ludzie pióra, szalenie imponują Amerykanom. Niech pani zauważy, ile jest obecnie filmów, w których główny bohater jest pisarzem.

— To prawda — przytaknęła Krystyna — nawet w kryminalnych filmach bohaterem bywa często autor kryminałów.

— Chciałbym poznać trochę stary kraj — zmienił nagle temat Bob. — Może byśmy się kiedy przejechali poza Warszawę. Moim samochodem.

— A jakiej marki samochód? — zapytał Michał.

— Nowy model renaulta — odparł.

— Ojej — zapalił się Michał. — Kabriolet? — indagował z błyszczącymi oczami.

Krystyna pomyślała z wewnętrznym uśmiechem, że dawniej mężczyźni z takim samym podnieceniem wypytywali o zalety jakiejś pięknej kobiety, o której była mowa.

— Nie — rzekł pan Bob — czteroosobowy wóz, ostatni model. Przecież muszę nim wozić piękne panie, przynajmniej dwie — roześmiał się — w kabrioecie byłoby im ciasno.

— No i własne dzieci — wtrąciła Krystyna.

— Nie, do wożenia dzieci na weekendy mam inny wóz, fordą.

— A na cóż mieć aż dwa samochody? — zdziwiła się Krystyna.

— Pani nie zna Amerykanów. Moi sąsiedzi mają dwa samochody, to i ja nie mogę być gorszy, inaczej zaczęliby mnie lekceważyć. Stan posiadania liczy się u nas przede wszystkim według ilości i marki samochodów. Samochód starszej daty można kupić za bezcen.

— Tak jak niemodną suknię na ciuchach — zaśmiała się Krystyna.

— Coś takiego, i ja do końca życia — westchnął — nie wyjdę z rat samochodowych, bo co spłacę ostatnią za wóz, to muszę znów wziąć na spłaty nowy, i da capo.

— A to wszystko przez snobizm — rzekła Krystyna.

— W pewnym stopniu, ale trzeba dłuższy czas pomieszkać w Stanach, aby to zrozumieć. Ludzie należą do wielu sekt religijnych, ale naprawdę to czczą tylko jednego bożka...

— Któremu na imię BIZNES — odpowiedziała ze śmiechem Krystyna.

— Otóż to właśnie miałem na myśli. Zresztą, jak pani kiedyś przyjedzie do Ameryki, to się o tym sama przekona.

— Myślę, że to chyba nigdy nie nastąpi.

— Nie wiadomo...

— Ja za to na pewno pojedę do Stanów — rzekł pewnym siebie tonem Michał. — Jak zdam maturę. Chodzę nawet już teraz na kursy angielskiego.

— A cóż byś ty tam robił, mój chłopcze — Krystyna wzruszyła ramionami. — Nic nie umiesz. Do żadnej pracy fizycznej się nie nadajesz. Nawet szafy, która się wciąż otwiera, nie potrafisz naprawić.

— To wprost przeciwnie niż Amerykanie, którzy wszystko koło domu robią sami — rzekł Bob. — A czy pani wie — zwrócił się do Krystyny — że pewien słynny nasz pisarz kupił sobie gdzieś w odludnych stronach starą szopę i sam ją własnymi rękami przerobił na dom mieszkalny.

— Mógłbym tam zostać aktorem filmowym — marzył głośno Michał, założywszy ręce nad głową. — Warunki mam...

— O, właśnie tam czekają na takiego jak ty — zaśmiała się Krystyna. — Twoje zarozumiałstwo nie zna granic.

— Umiem także strzyc rasowe pieski — zawołał Michał w nagłym natchnieniu. — Lolka tak pięknie ostrzygłem na owcę. To tam bardzo popłaca...

— Przypomniała mi się stara bajeczka dla dzieci — zaśmiał się Bob — O Janku, który psom szył buty. Pamięta pani? Oczywiście, że mógłby pan strzyc rasowe pieski, ale i w tym zajęciu natrafi pan na dużą konkurencję. Natomiast gdyby pan potrafił szyć butki na mróz lub chlape dla faworytów zamożnych dam, toby pan na pewno na tym dobrze zarobił. Widziałem w Paryżu sklep z szyldem „CHIEN ELEGANT”, czego tam nie było! I kubraczki, i kalosze, i butki, i szaliki.

— Więc gdzie pojedziemy na weekend? — zmienił nagle temat, popijając koniak małymi łykami. — Słyszałem, że na Mazurach jest tak pięknie?

— Bardzo chętnie — odparła Krystyna. — Może w tę sobotę.

— Okey. Przyjadę po panią we wczesnych rannych godzinach.

— Ale mnie też zabierzecie? — zapytał Michał.

Krystyna pomyślała, że gdyby nagle Michałek przemienił się w psa, to zacząłby z niepokojem bić ogonem o podłogę.

— Oczywiście, że pana zabierzemy.

— Jeździłem już różnymi wozami i nawet umiem sam prowadzić — pochwalił się Michał.

Krystyna spojrzała na chłopca złośliwie przymrużonymi oczami.

— Umiesz prowadzić samochód? — zapytała z ironią.

Zaczerwienił się i spuścił oczy. — Pewnie, że umiem — mruknął — każdemu, nawet najlepszemu kierowcy, może się zdarzyć wypadek.

— Oo, miał pan wypadek, poważny? — zapytał Bob.

— Najechałem na drzewo i rozwaliłem tatusiowi fiata, ale to nie była moja wina, taki drań z jakiejś ciężarówki prosto na mnie najechał, chciałem go ominąć. . .

— No i co? — zapytał Amerykanin. — Ojciec pewnie kupił panu nowy samochód?

Krystyna o mało nie zakrzuszyła się ze śmiechu kawą. Z tym sympatycznym Amerykaninem rozmawiało się trochę tak, jak z Marsjaninem, który by wylądował na latającym talerzu i nauczył się mówić po polsku.

— Co pan? — wykrzyknął Michał.

Krystyna postanowiła szybko zejść z tematu „ojciec-syn”.

— Wie pan — rzekła zapalając papierosa — co mnie dziwi i złości, to te jakieś snobistyczne nazwy samochodów zachodnich, jak gdyby stworzone na to, aby rozdrażniać właścicieli skromnej syrenki lub trabanta, tak że ich posiadacze spoglądają z taką zazdrością, jak przed wojną u nas skromny szlachciura — na Radziwiłła lub Sapiechę czy Sanguszkę. . . Wręcz oblizują się wymawiając takie nazwy, jak: simca aronde, taunus, ford-mustang, jaguar.

— To do was przyszło z Ameryki — rzekł pan Bob. — Tam ów snobizm samochodowy doszedł do zenitu. Żeby pani zobaczyła, co tam się dopiero dzieje pod tym względem. Szaf!

— Pan mnie zaprosi do Ameryki — bezceremonialnie wypalił Michał. — Będę robił cokolwiek. . . mył talerze. . .

— Latające? — zażartowała z ironią Krystyna. — Ty w domu nie zmyjesz za nic talerzy, a miałbyś robić to cały dzień w jakimś barze?

— To co innego, ty mi za to nie płacisz, a tam. . .

— Niekoniecznie musiałby pan zmywać talerze, mógłby pan pracować w jakimś cudzym ogródku. . . kosić trawniki albo trzepać dywany. Przeczytałem kiedyś takie ogłoszenie, że poszukują pomocy do trzepania dywanów i nawet uczą jednocześnie, jak to robić — w tym miejscu roześmiał się.

— Eee — skrzywił się Michał — trzepanie dywanów to zanadto męczące. . .

— Przede wszystkim — rzekła Krystyna niezadowolonym tonem, bo zła była, że Michał tak obcesowo i nietaktownie wspomniał Bobowi o zaproszeniu do Stanów — musisz się przyłożyć do nauki i zdać maturę.

Pan Bob spojrział na ręczny zegarek na bransoletce z różnokolorowych skórzanych paseczków, szerokiej na trzy palce.

— Och, jakie to kapitalne! — zachwycił się Michał ujrawszy ją. — Oni to umieją robić takie różne cudenka.

— Ja to noszę dla zabawy — wytłumaczył się Bob, ujrawszy ironiczny uśmieszek na ustach Krystyny. — Well, strasznie mi u pani było dobrze, ale późno się zrobiło, czas wracać do hotelu.

Wstał, skłonił głowę, Krystyna podała mu rękę, którą on mocno uściśnął.  
— Odprowadzę pana na dół, obejrzę samochód — napraszał się Michał.  
— Tylko zaraz wracaj — rzekła Krystyna więcej z przyzwyczajenia niż z troski.

— Bye, bye! — zawołał jej na pożegnanie Miś.

— Dobrej nocy — rzekł Bob i „wesołego przebudzenia”, jak mówią Grecy.

Gdy wyszli, Krystyna poszła do łazienki. Duże lustro na drzwiach ukazało jej twarz wesołą, podnieconą, z błyszczącymi oczami i naturalnymi rumieńcami. Czy to był wpływ alkoholu? Pomyślała, że raczej ciepłych, męskich spojrzeń, które działają na twarz kobiety jak kosmetyczna maseczka. Zrzuciła z siebie wszystko i przejrzała się w lustrze. Wypukły, gładki brzuch zerknął na nią pępkiem niby okiem Cyklopa. Piersi nie były już takie pełne, jędrne jak dawniej, baloniki, z których pomału wychodziło powietrze. Nogi i uda były w dobrej formie. Ilekroć poznawała jakiegoś mężczyznę, który jej się podobał, to w myślach przymierzała go do siebie jak model płaszcza widziany na wystawie w magazynie mód. Będzie pasował? Ale można przecież przymierzyć — i nie kupić. . .

Ten pan Bob, chociaż już niemłody, miał dobry wzrost i wysportowaną, muskularną postać. Twarz dość zniszczoną, ale o młodym spojrzeniu i wesołym uśmiechu, takim, jaki przeważnie mają tylko młodzi ludzie. Nadaje się raczej na przyjaciela i kompana niż na amanta. Nie miała wprawdzie nigdy nic do czynienia z mężczyznami starszymi od siebie, ale wyobrażała sobie, że to dość skomplikowana sprawa i pewnie nieraz żenująca. Niech raczej będą ze sobą w przyjaźni. Ktoś kiedyś powiedział, że między kobietą i mężczyzną może istnieć przyjaźń — tylko że to się inaczej nazywa. Ach, ten przeklęty erotyzm, narzucający się wszelkim stosunkom między mężczyzną i kobietą. Ten jakiś przymus wspólnego łóżka. . . Ale przecież była jeszcze pełnowartościową kobietą! Na takie myśli najlepszy zimny prysznic!

Oblewając się strumieniem lodowatej wody, pomyślała o tym, że Miś jeszcze nie wrócił do domu. Pewnie pojechał z panem Bobem jego samochodem. Może poszli razem na jakiś dancing? Wskoczyła z wanny, wytarła się mocno frotowym ręcznikiem, nałożyła szlafroczek i postanowiła usiąść w fotelu i niepokoić się o Misia. Oparła głowę o poręcz i zasnęła od razu. We śnie spacerowała z jakimś młodym, przystojnym panem po wspaniałym parku, w którym rosły białe kwiaty wielkości drzew. . . W momencie kiedy mieli się pocałować, weszła do pokoju Józefa.

— Trzeba jeszcze sprzątnąć ze stołu — oświadczyła. — Jakże pani będzie spała w takim bałaganie. Ale niech no pani spojrzy, co mi wcisnął do ręki ten pan z Ameryki. Czy to co warte, taki papierek?

Krystyna, przecierając palcem zaspane oczy, spojrzała i zdumiała się. Był to banknot jednodolarowy.



— Ten papierek jest wart około stu złotych. Może go pani sobie zamienić w PKO na bon i kupić coś. Pończochy lub jakiś inny zagraniczny towar.

— To jakiś lepszy pan — ucieszyła się Józefa — ale ja nic nie myślę kupować. Zbieram na swój pogrzeb, taki uroczysty, z księdzem i śpiewami.

— Ma Józefa czas myśleć o takich rzeczach — odparła ziewając. — Zdrówko ma pani, chwalić Boga, końskie.

— To też pani orze mną jak koniem. Dzisiaj tak się napracowałam przy tej kolacji, że strzyka mnie w krzyżu, że aż coś.

— Ale żeby Józefa wiedziała, jak temu panu smakowało! Do pierogów to się ucieszył jak dziecko do... lizaka.

— Więcej by się ucieszył z indyka. Ale skoro się pani uparła...

— Pani Józefo, co to znaczy, gdy się przyśni ogród i duże kwiaty wielkości drzew?

— A jakiego koloru były te kwiaty? — zainteresowała się fachowo Józefa, która posiadała przedwojenny „Sennik egipski”.

— Białe.

— Białe to śmierć — odparła spokojnie, sprząając ze stołu talerze.

— Czyja śmierć? — zaniepokoiła się Krystyna.

— Ano zwykle dla tego, komu się przyśnią białe kwiaty. Powinna pani dać na mszę za zmarłe duszyczki.

— A za żywych też można?

— Czemu nie. Zakupić mszę można i za kogoś bliskiego, na ten przykład, gdy jest chory.

— A za zdrowego?

— Ja już wiem, da pani na mszę za tego biednego pana Leszka, co to z panią mieszkał, aby go z aresztu wypuścili.

— Nigdy o nim nie myślę — skrzywiła się Krystyna — nieciekawy typek. Dam na mszę za Józefę, aby mi długo żyła i zawsze tak dobrze gotowała.

— Abym długo żyła, to tak, ale o gotowaniu proszę nie wspominać. To nie uchodzi.

— Dlaczego ten Miś nie wraca? — zaniepokoiła się nagle Krystyna.

— Pewnie gdzieś poszli razem na piwko — odparła Józefa ustawiając talerze na dużej tacy.

— Eee, taki poważny pan, Józefo, przecież by się nie włóczył po knajpach, i to we dwójkę z chłopakiem.

— A jak pani powiem, że na dziewczynki poszli? To pani nie wie — zbliżyła się do Krystyny — że chłopcy to do końca życia chłopcy. Wiedziałam o tym i dlatego za męża nie poszła.

Po godzinie niepokoju, który popsuł humor Krystynie, zjawił się Miś wesoły, z rumieńczkami na twarzy.

— Gdzieś ty był tak długo?

— Byliśmy z panem Bobem w Grandzie na dansingu. Piliśmy szampana, tańczyliśmy.

— On też? — zdziwiła się Krystyna.

— Nooo — przytaknął. — To fajny facet. A żebyś wiedziała, jak tańczy te nowe tańce! Lepiej niż ja. Wybrał sobie taką ładną dziewczynę, brunetkę z długimi włosami, w mini, a ja drugą, blondynkę, a potem zaprosiliśmy je do naszego stolika. Zabawa była, mama, i d e a l n a.

— A potem co? — zaniepokoiła się Krystyna.

— Ano, co miało być? On sobie tę ciemną lalunię wziął chyba do hotelu na noc, a ja wróciłem do domu — ostatnie zdanie wypowiedział z żalem. — Przecież nie mam chaty.

— Masz się uczyć, a nie wałęsać po lokalach.

— Uczyć, uczyć, ty tylko to potrafisz mi mówić. A młodość ma swoje prawa.

— Starość również — dodała ironicznie. — Przecież ten Amerykanin będzie miał chyba około sześćdziesiątki.

— No to co? Gdyby inni starzy byli tacy, jak on, młodzi, to by nie było między nami a wami takiej różnicy. Przyjmijcie styl życia młodych, a nie będziemy się z was nabijać i was lekceważyć.

W głowie Krystyny pomieszały się różne myśli jak w cocktailowym shekerze. Była trochę zła, że pan Bob wyciągnął chłopaka na dansing, nie zaprosił jej również, a jednocześnie zaimponowało jej to, że, już niemłody, potrafi tańczyć modne tańce i wziąć sobie jakiegoś kociaka na noc do hotelu. Widocznie był jeszcze pełnowartościowym mężczyzną albo też udawał... W każdym razie odgraniczał, tak jak dawniejsi panowie, sprawę łóżka — od sprawy zainteresowania się jakąś damą z towarzystwa. „Dama z towarzystwa” to określenie dzisiaj zupełnie nieaktualne, rozśmieszyło ją. I czy w ogóle istnieją jeszcze „damy”? To znaczy kobiety „gatunkowe”, dla mężczyzn atrakcyjne, ale trudne do zdobycia, czyli takie, co to nie „raz na widelec”, albo, jak się dawniej mówiło, „a la fourchette”, ale o których względy trzeba się było długo starać.

Michał poszedł do kuchni, przyniósł sobie szklankę herbaty i usiadł przy stole.

— Wiesz, mama — rzekł — spodobałaś się temu facetowi z Ameryki.

— Taak? — zapytała na pozór obojętnie. — A cóż o mnie mówił?

— No, że jesteś taka inteligentna, zgrabna i naturalna, jednym słowem, fajna.

— A czy o moich nogach też wspominał? — Krystyna miała bardzo dobre mniemanie o swoich zgrabnych nogach i lubiła, gdy je zauważano.

— O nogach nie, ale o pierogach. Zdaje się — roześmiał się — że go zdobyłaś tymi ruskimi pierogami. Wiesz, mama — rzekł pijąc duszkiem wystygłą herbatę — powinnaś się za niego wydać.

— Także pomysł! — wyduła wargi.

— Dlaczego? Wiekiem bylibyście dobrani, on trochę starszy, ale tak być powinno. No i miałybyś z nim w Ameryce idealne życie. A ja przy was — dodał spuszczać oczy na stojącą przed nim szklanę.

— Ej, ty — roześmiała się zaskoczona. — I ty myślisz, że ja bym mogła na zawsze opuścić mój kraj? Zrezygnować z zawodu?

— Pracujesz, harujesz nieraz po nocach i nie zarobiłaś sobie nawet na futro z nurków ani na samochód. A tam byś tylko dbała o jego dom, a facet by na ciebie pracował.

— A ja nie chcę mieć ani futra z nurków, ani samochodu — odparła przekornie.

— Bo ty jesteś głupia! — wypalił.

— Jak ty się do mnie odzywasz, smarkaczu!

— Tak mi się wyrwało, no, bo naprawdę jesteś niemądra. Miałybyś tam idealne życie!

— Tak myślisz — odparła w zamyśleniu Krystyna. — Wyobraź sobie, że na Marsie są o wiele lepsze warunki bytu niż na Ziemi. I dajmy na to przyjeżdża elegancki Marsjanin, mówiący po polsku, i proponuje mi, aby się tam z nim razem przeniosła na latającym talerzu — parsknęła śmiechem, bo ją ta analogia rozśmieszyła. — Czy myślisz, żebym się na to zgodziła?

— Głupie porównanie — odparł. — Przecież Ameryka to nie żadna inna planeta i zawsze możesz wrócić, kiedy zechcesz. Mało Polek wyemigrowało do Stanów?

— No i co? Wróć do czego? Moje mieszkanko zlikwidowane, Józefa już u kogoś innego, a moja praca oddana innej graficzce. To nie takie proste.

— Ale na próbę mogłabyś do niego pojechać. Zawsze dostaniesz pozwolenie na miesiąc, dwa... a potem mnie sprowadzisz. Bądź raz w życiu mądra, mama.

— Ale o czym my właściwie mówimy? Przecież on ani słowem nie wspomniał, aby nas do siebie zaprosić.

— Zaprosi na pewno... Ja już to widzę.

— Najpierw musisz zdać maturę.

— Teraz to zdam na pewno. Bo mam przed sobą wytknięty cel. No, to cześć, mama, idę spać!

Gdy poszedł do swojego pokoju. Krystyna z dowcipnym uśmiechem na ustach weszła do kuchni. Józefa, w długiej, perkalowej koszuli, właśnie wstała — z klęczek i z rozmachem zrobiła znak krzyża świętego.

— Józefo — rzekła — przepraszam, że tak wchodzę bez pukania, ale właśnie telefonowałam do jednej znajomej, która zna się na snach jak nikt, i opowiedziałam jej ten mój sen. I wie Józefa, co mi powiedziała, że białe kwiaty, gdy się przyśnią, oznaczają ożenek.

— Żebym tak trupem padła, że oznaczają śmierć! Jedna moja sąsiadka, kobieta inteligentna, śniła kiedyś, że jej ktoś bukiet białych kwiatów przypiął do piersi i w dwa tygodnie później wywieźli ją na cmentarz!

— A ile miała lat?

— Na ósmy krzyżyk jej już szło, ale kobieta zdrowa była, silna, pracowita. Na serce jej się nagle zmarło.

— A mnie się ani śni umierać, moja Józefo. Będę jeszcze długo żyła i może sobie wyjadę gdzieś za granicę. . .

— Jak tam sobie pani chce. Ale ja w sny wierzę. Powiedziały sobie dobranoc i Krystyna w doskonałym humorze poszła się położyć.

Krystyna wiedziała, że za granicą nie ma zwyczaju się spóźniać, więc w sobotę, kiedy pan Bob miał po nich przyjechać, była już zawczasu gotowa. Włożyła na siebie elastyczne zielone spodnie, w których było jej nie tyle „do twarzy”, co do figury, beżowy golf, na głowę chusteczkę gazową, zieloną w beżowe grochy. Michał z niezwykłym u niego zapałem smarował kanapki i nakładał na nie szynkę i ser. Okazało się, że świetnie to potrafi. Krystyna wyjęła z rondla jajka na twardo, wszystko to zapakowali w celofanowe torebki. Kawę włali do jednego termosu, a herbatę do drugiego.

— Prawda — przypomniała sobie — jeszcze mielone kotlety na zimno.

Zapasy włożyła do dużej kraciastej torby i na moment poszła jeszcze do łazienki (na wszelki wypadek). . . Odezwał się dzwonek i w drzwiach wejściowych ukazał się pan Bob w jasnych spodniach i czerwonej koszuli. Wyglądał o wiele młodziej niż tamtego wieczoru, a słoneczny, zdrowy uśmiech rozjaśnił jego okrągłą twarz.

— Jaka pani punktualna — rzekł po przywitaniu.

Stanęli koło renaultki i Amerykanin wskazał jej miejsce koło siebie.

Michał spojrział na niego zawiedziony.

— Ja bym tak chciał siedzieć koło pana.

— O nie, mój chłopcze, to jest miejsce honorowe, które się należy pana mamusi.

Rozłożył przed sobą samochodową mapę i zaczął badać ją dokładnie.

— Chciałbym pojechać na Jeziora Mazurskie. Tam podobno tak pięknie. . . Żałuję, że nie zabrałem ze sobą wędkę. . . No i mojej przyczepki, nie bylibyśmy skrzępowani noclegiem. . .

Niedługo wyjechali poza obręb miasta. Renault, ku radości Misia, mijał inne słabsze maszyny i zostawiał je daleko poza sobą. Krystyna bała się takiej szybkiej jazdy, więc siedziała wtulona w wygodne siedzenie i nie odzywała się ani słowem.

— Może za szybko jedziemy? — zapytał Bob i zmienił szybkość ze stu dziesięciu kilometrów na godzinę — na sto.

— Muszę się przyznać — rzekła — że boję się takiej szybkiej jazdy. Tyle się czyta o wypadkach samochodowych.

— Co ty, mama — zachnął się Michał — wcale za szybko nie jedziemy.  
W pewnym momencie minęła ich ambitna skoda. Miś aż się poderwał na swoim siedzeniu.

— Przecież nie możemy na to pozwolić. Dno! Niech pan doda gazu.

Bob uśmiechnął się.

— A co mi to może szkodzić... niech sobie pędzi.

— Gdybym ja był przy kierownicy, tobym mu dał szkołę!

— Na szczęście, nie jesteś i nie będziesz — rzekła Krystyna niezadowolona.

— Nie wiadomo, czy nie będę! — odburknął. — Pan Bob może mi pozwoli trochę poprowadzić wóz.

— Nie, mój chłopcze, własnej żony i własnego samochodu nie użycza się nikomu.

Ponieważ droga była w tym momencie pusta, więc Bob dodał gazu, renaultka pomknęła naprzód pod górę i minęła skodę ku radości Michała. Gdy się po chwili obejrzał, zobaczył tylko na górcie mały niebieski punkcik. Z zadowoleniem klepnął się po udach.

Michała nie interesował pejzaż ani dokąd jadą, interesowały go wyłącznie spotykane po drodze samochody. Dla Krystyny było to zawsze zagadką, w jaki sposób rozpoznawał już z daleka markę wozu.

— Skąd się pan tak zna na samochodach? — zapytał go Bob.

— Ma się te wiadomości. Mało to się najeździłem z moimi kolegami! Jeden mój kumpel, syn badylarza, często mnie zabiera fordem-mustangiem swojego ojca. To jest dopiero wóz! — cmoknął z uznaniem. — Sto dwadzieścia na godzinę wyciągnie jak nic!

— W Stanach nie wolno jeździć z taką szybkością — rzekł Amerykanin. — Przy szosach mieszczą się radarowe liczniki i notują szybkość wozu. Gdy się przekroczy sto kilometrów na godzinę, dogania policjant na motocyklu i ściąga mandat. Mandat płaci się również za przekroczenie białej linii demarkacyjnej, odgradzającej jedną autostradę od drugiej.

— A czy za jazdę w stanie nietrzeźwym płaci się karę? — zapytała Krystyna, w której tkwił wiecznie gwóźdź urazy do jej drugiego męża Leszka, który spowodował po pijanemu ową straszną w skutkach katastrofę samochodową.

— Nie — odparł Amerykanin. — Ale gdy jakiś kierowca w stanie nietrzeźwym przyczyni się do katastrofy, to płaci większą karę, niż gdyby to się stało w stanie trzeźwym. Odbierają mu prawo jazdy.

Renault wjechał, zwalniając, do Wyszkowa i pan Bob zatrzymał wóz przed restauracją, aby napić się lemoniady. Michał pobiegł za nim. Gdy wrócili, przed samochodem stanął milicjant. Poprosił uprzejmie o pokazanie prawa jazdy, potem paszportu, wyciągnął notesik i zaczął w nim coś zapisywać.

— Obywatel zapłaci mandat, pięćdziesiąt złotych kary, za postój w niedozwolonym miejscu — oświadczył przyjaznym tonem, coś jak partner brydżowy, który po rozliczeniu oświadcza, że jego przeciwnik przegrał tyle i tyle.

— Jak to — zdziwił się Bob. — Nie wolno tutaj zatrzymać wozu? A gdy kierowca chce się czegoś napić w restauracji albo przekąsić?

— To musi stanąć po przeciwnej stronie — oświadczył spokojnie pan władza. — Zresztą obywatel widzi, jest znak.

— Ten pan jest cudzoziemcem — stanęła w jego obronie Krystyna — nie zauważył. . .

— Jeśli obywatel uchyli się od zapłacenia kary, to sprawa pójdzie na kolegium — oświadczył, równie jak poprzednio uprzejmie, milicjant.

— Ależ oczywiście, że zapłacę — rzekł szybko kierowca i zaczął szukać w portfelu pięćdziesięciozłotowego banknotu.

Wsiedli i ruszyli dalej.

— Musi pan bardzo uważać — rzekł Michał. — Trudno połapać się nie obeznanemu w tych wszystkich znakach.

— Keep it easy, bierz to łatwo — rzekł Bob uśmiechnąwszy się z wyrozumieniem.

On jest bezbłędny — pomyślała Krystyna i przysunęła się bliżej do niego.

— Oho — rzekł po chwili — coś nie gra. Zdaje mi się, że linka od sprzęgła pękła!

— Tu jest po drodze motel — rzekł Michał. — Tam panu to szybko naprawią. Zajechali przed motel z kawiarnią, ale w warsztacie nie było nikogo.

— Musi pan poczekać — objaśnił ktoś Boba — przerwa południowa. Za jakieś pół godziny powinien nadejść mechanik. Napijcie się, państwo, kawy. . .

Usiedli przy stoliku i zamówili trzy kawy. Ciastek normalnych nie było, tylko kawałki tortu dla łakomych olbrzymów. Amerykanin mimo sprzeciwów Krystyny przyniósł z bufetu trzy porcje.

— Ciekawe — rzekł pijąc kawę Bob — ile ludzie w Polsce mają wolnego czasu. Jedni w godzinach pracy idą sobie na obiad, drudzy siedzą i popijają wino, a w warszawskich kawiarniach w godzinach biurowych nie można znaleźć wolnego stolika. W Ameryce byłoby to nie do pomyślenia.

— Praca życie skraca — wygłosił, jak sentencję, Michał, zażerając się tortem czekoladowym.

W warsztacie umocowano nową linkę i samochód ruszył w dalszą drogę. Krystyna zauważyła z przykrością, że zagraniczny gość stracił na humorze i milczał jak warszawski kierowca, który dostał mały kurs.

— Nie podoba się panu u nas — westchnęła Krystyna.

— To nie to — odparł po krótkim namyśle — tylko mnie wiele rzeczy zadziwia tak samo, jak zadziwi panią, jeśli kiedyś przyjedzie do Stanów.

— Może skęcimy do Nieporętu, zobaczy pan Zalew Zegrzyński, sztuczne jezioro. — Krystyna miała ambicję na swój kraj, jak pani domu, która wie, że w jej mieszkaniu nie wszystko gra — ale ma za to do pokazania gościom niezwykłej piękności kryształowe lustro... W Nieporęcie byli już kilkakrotnie z nie istniejącym już dla niej Leszkiem, i dobrze wiedziała, gdzie skęcić i jak zajechać. Na niebieskiej tafli jeziora trzepotało żaglami kilka żaglówek, które z daleka wyglądały jak białe motyle. Wjechali na parking i strażnik zapisał sobie numer ich samochodu.

— Tu mamy kawiarnię — rzekła Krystyna — i restaurację, a na górze bufet z barowymi daniami.

— Okey — rzekł Amerykanin — możemy tutaj zjeść obiad.

— Wzięłam ze sobą zapasy — powiedziała Krystyna.

— Nie zmarnują się przy moim apetycie — odparł i uśmiechnął się ukazując dobre, zdrowe zęby (jeśli nie własne, to znakomicie zrobione).

Gdy weszli do sali restauracyjnej, ujrzeni stoliki zajęte przez młodzież. I chłopcy, i dziewczęta mieli na sobie sfatygowane farmerki, sweterki lub golfy. Chłopców od dziewcząt można było odróżnić po tym, że chłopcy mieli dłuższe włosy. Zajęli jedyny wolny stolik. Singelton kelner uwijał się po sali, roznosząc talerze zupy pomidorowej, poważny i skupiony jak ministrant. I tak jak ministrant usługujący księdzu na mszy i nie zwracający uwagi na wiernych, on nie dostrzegł nowych gości przy stoliku. Po dłuższym kiwaniu ręką i nawoływaniu stanął wreszcie ze zniecierpliwionym wyrazem twarzy.

— Teraz — rzekł — obsługujemy wycieczkę z Lublina. Państwo zechcą przyjść za godzinę...

Za godzinę — odparł pan Bob — będziemy już daleko stąd.

— Widzi pan — rzekła Krystyna — może dla „człowieka” nie ma u nas takich wygod i udogodnień, ale dla młodzieży jest wszystko: stoliki, kajaki, schaboszczaki, wycieczki, stypendia, dansingi i kawiarnie. Czują to i zachowują się ze swobodą i nonszalancją prawowitych właścicieli. No i piją — westchnęła Krystyna. — Na szczęście nie wódkę, ale wino i piwo.

— A jak jest z młodzieżą w Stanach? — zapytała, gdy wstali i wyszli z restauracji.

— O wiele gorzej — rzekł Bob. — Nie piją alkoholu, ale za to narkotyzują się. Papierosy z marihuany krążą wśród nich mimo ścigania i tępienia przez władze policyjne. Przestępstwa i samobójstwa wśród młodzieży mnożą się z każdym rokiem.

Stanęli nad brzegiem jeziora i Krystyna spojrzała serdecznie na Amerykanina, który był właśnie w trakcie nastawiania swojego aparatu fotograficznego, z którego filmu obiecywał zrobić kolorowe odbitki w Ameryce.

— A co jest z „hippiesami”? — zapytał Michał, gdy szli już w stronę parkingu. — Czy pan wie — dodał z dumą — że u nas już też się tacy pokazali.

Widziałem kiedyś na Krakowskim całą taką grupę. Okryci byli jakimiś łachmanami, mieli na sobie naszyjniki z dzwoneczków, a dziewczyny wpięte we włosy kwiatki. Wpadli do Związku Literatów i grasowali po całym budynku. Wszyscy się przed nimi ze strachem usuwali i nikt nie śmiał ich wyrzucić. Unowocześniamy się, no nie? — dodał z błyskiem humoru w oczach.

— Nie tak całkiem — roześmiał się Bob. — To już w Stanach zanika. Ja też natknąłem się w Warszawie na grupę polskich hippiesów, siedzieli na progu jakiegoś sklepu, do którego chciałem wstąpić, i nie usunęli się. Zrobiłem duży krok i przelazłem przez całującą się parę tych oberwańców, mówiąc: „Dajcie spokój, w Ameryce, skąd właśnie przyjechałem, to już się stało zupełnie niemodne”! Mam wrażenie, że im popsulem całą zabawę.

— Myślę — rzekła Krystyna dowcipnie — czy ów bogacz z Nowego Testamentu, który rzucił swoje ziemskie dobra i w łachmanach, bosy, z sakwą żebraczą poszedł za Chrystusem na jego wezwanie: „Rzuć wszystko i idź ze mną!”, nie był pierwowzorem hippiesa?

— O, proszę tak nie mówić — obruszył się Bob. — Ja jestem głęboko wierzący. Tamten bogacz poszedł za prorokiem, który głosił słowo Boże, a ci po prostu robią to z nudów i przesyty, no i z lenistwa. Poza tym, jak twierdzą, pragnęli zaznać zupełnej swobody i wyjść całkowicie spod władzy rodziców. . .

— A wszystko to szukanie jakiejś nowej formy szczęścia — rzekła w zamyśleniu Krystyna. — Pamięta pan legendę o bogaczu, który spotkał biedaka najzupełniej zadowolonego ze swojego losu i chciał kupić od niego „koszulę człowieka szczęśliwego”, ale biedak nie mógł mu jej odstąpić, ponieważ miał tylko tę jedną, co na grzbiecie.

— Ów szal hippiesowski — rzekł Amerykanin — miewał tragiczne epilogi. Dwie dziewczyny popełniły samobójstwo, a jednego chłopaka koleżkowie pod działaniem narkotyku zatłukli na śmierć. Od tego czasu zaczęła się na nich nagonka policji, wyłapali wielu, jednych odstawili do rodziców, a innych, tych co handlowali marihuaną, do aresztu. Ale ich dziwaczny styl przeszedł do mody. Zaczęły się pojawiać w sklepach, przeważnie paryskich, jakieś wschodnie ciuchy haftowane i nabijane świecidełkami, aksamitne szarawary, bransoletki z dzwoneczkami.

— Mam taką — powiedział Michał. — Przehandlowałem od jednego, który wrócił z Londynu.

— Nigdy jej u ciebie nie widziałam — zdziwiła się Krystyna.

— A co, będę w domu nosił, abyś zaczęła wydziwiać? Gdy się idzie do dziewczyny, to człowiek wkłada takie ozdóbki, aby jej zaimponować, ale tak to nie warto. . . Starsi nie poznają się na tym.

— W damskich uczesaniach — mówił dalej Bob — też pojawiły się fryzury naśladujące potargane głowy hippiesek, dużo loków i powtykane w nie kwiaty.



— Tak — odparła Krystyna przyglądając ręką swój gładki, kasztanowy czub. — U nas też kobiety rzuciły się na loki i peruki, a młode dziewczyny wtykają do włosów jedną margerytkę i uważają się za „very hippie”.

— Hippie, ale nie happy, czyli wesoły. Te zepsute dobrobytem dzieciaki są smutne, nie śmieją się nigdy, nie bawią się, nie uprawiają żadnych sportów, tylko kochają się gdzie popadnie, ale bez miłości. Smutne to wszystko — dodał z krótkim westchnieniem. — Człowiek wcale nie żałuje, że już nie jest młody, i tak jest we wszystkich krajach europejskich. A czy pani wie — tu znów błysły w uśmiechu jego zęby, nie wiadomo, czy własne, czy sztuczne — że ja jestem najzupełniej szczęśliwy!

— To niech pan mi daruje swoją koszulę! — rzekła śmiejąc się Krystyna — zrobię z niej sportową bluzkę i będę miała na sobie „koszulę człowieka szczęśliwego”.

— Z miłą chęcią — odparł — tym bardziej że to z mojej własnej wytwórni.

Jechali przed siebie w kierunku jezior. Pan Bob od czasu do czasu przystawał i spoglądał na mapę samochodową.

— Będę musiał chyba dokupić benzyny — rzekł po chwili. — Może tu gdzieś będzie stacja?

— Pewnie dopiero w Ostródzie, trzydzieści kilometrów stąd. . . Po jakimś czasie wjechali w czyste, schludne i zielone od drzew rosnących na skwerach, miasto. Błękit nieba na horyzoncie okazał się być jeziorem. Stacja benzynowa była, ale. . . nieczynna.

— Pewnie znów przerwa obiadowa — westchnął Bob.

— No i co pan zrobi? — zaniepokoiła się Krystyna.

— Ano nic. . . wystarczy mi jeszcze benzyny na jakieś trzydzieści kilometrów. A potem ułożymy się gdzieś na trawce i będziemy odpoczywać. Keep it easy — uśmiechnął się.

Zaczęły ukazywać się duże błękitne jeziora z ciemną rzęsą sitowia, jak oczy leżącego olbrzyma. Zjechali z głównej szosy w dół i zatrzymali się w lesie tuż nad brzegiem wody.

— Och, jak tu pięknie! — westchnął Amerykanin. — Takie uroczyśka, pozbawione ludzi, to w Ameryce rzadkość. Trzeba jechać od Texasu albo wzdłuż pustyni meksykańskiej, ale i tam stoją słupy z reklamami, a zamiast dębów i świerków ma pani olbrzymie wieżyce kaktusów, różnych, że tak powiem szczepów. Są także małe, okrągłe jak główki dziecka, niektóre osypane czerwonymi kwiatami. To jest piękne, ale jakieś obce człowiekowi i nieprzychylne. A tu materac z mchu, nad głową kapelusz muchomora, no i to powietrze balsamiczne. . . Nie skażone gazami spalinowymi.

— Ale nie chciałby się pan przenieść do kraju, cooo? — powiedział Michał, leżąc na trawie na brzuchu i trzymając na dłoni biedronkę, która namyślała się,

czy rozwinąć skrzydełka i wystartować w powietrze, czy też spacerować po ręce tego łagodnego olbrzyma, jakim był dla niej Miś.

— A cóż ja bym tu robił? — odparł. — Nie skończyłem wyższych studiów. Nie było kiedy. Nie mam zawodu. Umarłbym z głodu, a ja — roześmiał się — kocham jeść.

— No, to świetnie się składa, że wzięłam ze sobą zapasy — rzekła Krystyna i poczęła z torby wyładowywać prowianty w celofanowych torebkach. — Nie jest tak, jak pan twierdzi — rzekła krając chleb — mógłby pan przecież sprzedać tam swoją wytwórnię, przywieźć tutaj dolary i zakupić jakieś gospodarstwo.

— Jak to? — zdziwił się — to u was ziemia nie jest upaństwowiona?

— Mnóstwo jest prywatnych gospodarstw, a nasi badylarze to dzisiaj bogacze. Żeby pan wiedział, jak mają urządzone mieszkania, a jakie samochody!

— Nooo — wtrącił Michał — ojciec mojej koleżanki z liceum, badylarz, to ma takiego taunusa, że... tylko siadać, a ona, ta Małgosia, nie włoży na siebie żadnej krajowej kiecki, nosi same zagraniczne ciuchy.

— Ciekawe — dziwił się Bob — bo u nas się mówi, że w Polsce nie ma prywatnej inicjatywy, że wszystko jest upaństwowione i że na wsi są tylko same PGR-y. Może bym i tak zrobił, jak pani radzi, gdyby nie dzieci. To już mali Amerykanie i za takich się uważają...

— Nie mówią po polsku?

— Kilka słów — roześmiał się: — „cholera”. „gównno”, które wymawiają z angielska „geuwneu”, „dżen dobry” i „do widzenia”. Chciałbym — w tym miejscu spojrzął na Krystynę — mieć w domu osobę, która by je nauczyła polskiego języka.

— Chyba to nietrudno znaleźć wśród tamtejszej Polonii?

— Bardzo trudno. Wszystkie kobiety są tak zajęte domem i własnymi dziećmi, że nie miałyby czasu ani ochoty.

— A pańskie dzieci nie mogą chodzić do polskiej szkoły? Wiem, że tam są...

— Chodziły do polskiej szkoły, ale tam wolno było również uczęszczać muzyńskim dzieciom, więc je stamtąd odebrałem...

— Dlaczego?

— Moi sąsiedzi nie dawali mi spokoju. Mieli mi to bardzo za złe, do tego stopnia, że niektórzy przestali u nas bywać... Zaczęto mnie bojkotować...

Pod dużymi, ciemnymi okularami nie mógł dostrzec zdziwionego oburzenia, jakie zakręciło — się w oczach Krystyny. Może przede wszystkim do tego służyły owe modne ciemne okulary, do maskowania uczuć, nad którymi wzrok ludzki nie może zapanować? Przy tej modzie pisarze winni pisać nie: „Spojrzeli sobie głęboko w oczy”, ale raczej: „Spojrzeli sobie w... szkła”.

— Czemu pan nic nie je? — przerwała swoje rozmyślenia Krystyna.

— Muszę się wpięrw umyć. Pani pozwoli, że pójde wykapać się w jeziorze?

— Woda będzie jeszcze zimna.

— Jestem przyzwyczajony do zimnej wody. Gdy byłem w Szwecji, to ich zwyczajem prosto z parówki, czyli sauny, biegłem nagi do śniegu.

— Ojej! — zawołał Miś — ja bym tego nie zrobił! Dno! Dostałbym natychmiast zapalenia płuc.

— To źle być tak rozpieszczonym — rzekł Bob i poszedł w zarośla rozebrać się. Po chwili wyszedł w elastycznych kąpielówkach. Miał mocne, muskularne ciało i był pięknie i równo opalony.

Kokiet — pomyślała z wewnętrznym uśmiechem Krystyna — wcale nie miał ochoty wejść do zimnej wody, tylko chciał się popisać swoją znakomitą formą. Pomyślała z niechęcią, że ona nie odważyłaby się na to. Musiałaby pokazać poziomowe białe ciało, z lekkim tatuażem niebieskich żyłek. Za nic! Cały jej czar momentalnie by prysnął. Zapaliła papierosa i spoglądała, jak pan Bob dobiegł do jeziora i zanurzwszy się popłynął czałkiem kilkanaście metrów. Po czym zawrócił, stanął przy brzegu i począł machać ręką w stronę Michała.

— Świetna woda! Wcale nie taka zimna! Niech pan się rozbierze, popłyniemy na środek jeziora.

— Ja... ja — mruknął Miś — bardzo słabo pływam... Boję się.

Amerikanin popłynął sam. Po krótkim czasie wrócił na brzeg i zaczął się przedzierać przez sitowia. Jak borsuk łapami wyciskał z siebie wodę i potrząsał mokrym łbem. Zniknął w zaroślach i po chwili wrócił szeroko uśmiechnięty, jak człowiek, który spełnił swój obowiązek wobec ciała. Usiadł obok Krystyny, naląła mu do kubka kawy z termosu.

— The right drink on the right place — rzekł zadowolony — czyli, właściwy napój na właściwym miejscu.

— Nie zimno panu?

— Niech pani dotknie mojego ramienia, skóra aż parzy!

— Ależ z pana sportowiec! — powiedział z uznaniem Miś.

— Byłem, mój chłopcze, za młodu lekkoatletą. Z tej sprawności fizycznej korzystam teraz na stare lata. A czy pan w ogóle nie uprawia sportów? To bardzo źle, panie Michałku.

— To jakoś teraz u młodzieży niemodne — mruknął. — Wszyscy zajmujemy się przeważnie bigbeatowymi płytami, piosenkami, no i... dziewczynami, ale sportów się mało uprawia.

— Za to — rzekła Krystyna — potrafi całymi godzinami siedzieć przy telewizji i oglądać zawody i mecze. I co dziwniejsze, że orientuje się w każdej dyscyplinie, jak gdyby sam któryś z tych sportów uprawiał.

— Dziwny chłopak! — rzekł Bob z ustami pełnymi chleba z szynką.

— Eee tam, dziwny — odparł wzruszając ramionami — my wszyscy teraz tacy jesteśmy.

— Otóż właśnie — wtrąciła Krystyna — oni są teraz „wszyscy tacy”, taśmowa produkcja.

— Panu przydałoby się pobyć jakiś czas w Ameryce, tam zrobiliby z pana prawdziwego mężczyznę.

— Albo hippiesa — Krystyna zrobiła z uśmiechu grymas.

— Co ty, mama. Przecież słyszałaś, że to już miniona moda. Chętnie bym pojechał, proszę pana.

— Pomyślmy o tym, pomyślmy. Niech pan mi pokaże swoje ramię.

— My God! — wykrzyknął pomacawszy wątłe ramię chłopaka — przecież pan nie ma w ogóle mięśni.

— Tego się już nie nosi — rzekła z ironią Krystyna. Było to zdanie, które kiedyś słyszała z ust syna.

— O, mój chłopcze, to nie na Amerykę. Tam trzeba pracować, i to fizycznie. „Wysiadka”, jak wy mówicie.

Michał najwyraźniej stracił humor. Jadł mało i w zamyśleniu skubał wokoło siebie trawki.

— No i co? — rzekł po chwili — zapieprzamy dalej?

— Ojej, Misiu, jak ty się wyrażasz.

— Przepraszam. Myślę, żeby już jechać, bo i na noc nigdzie nie zajedziemy.

— A gdzie pani radzi? — zapytał Bob wstając i otrzepując spodnie. — Wspaniale podjadłem. Z pani to znakomita gospodyni. W Stanach zrobiłaby pani karierę.

— Jako kucharka?

— Jako pani domu.

— Ja myślę, że pojedziemy do Rucianego, tam jest najpiękniej. No i znam kierowniczkę domu PTTK, na pewno zorganizuje nam nocleg.

— Well, jedziemy do Rucianego.

Przed jakimś małym miasteczkiem znaleźli czynną stację benzynową, co pana Boba wprowadziło w humor nie zmacony chmurką choćby drobnej troski.

— Piękny kraj! — zachwycił się po drodze.

\* \* \*

Jeziro wśród gęstego lasu, które nagle w Rucianem ukazało się ich oczom jak cenny skarb, wzbudziło w Amerykaninie entuzjazm. Promienie zachodzącego słońca opalizowały jego wodę tak, że wyglądało jak wielka, płaska muszla.

— Jakie to cudowne! — zawołał.

— Prawda — przytaknęła z dumą Krystyna.

— I ta przyroda taka przychylna ludziom — mówił Bob — żadnych żarłocznych aligatorów, jak w wodach Texasu, ani grzechotników...

— Co najwyżej zaskrońce — rzekła Krystyna. — No i jesienią moc grzybów.

— Grzybów — powtórzył z rozmarzeniem w oczach Bob. — My w Stanach nie mamy grzybów, a przepadamy za nimi. Rodziny przysyłają nam czasem z kraju, tylko że wysyłka jest bardzo kosztowna. . .

— Poślę panu paczkę suszonych grzybów.

— Okey! A ja pani za to pończochy albo kosmetyki.

— Jednym słowem „wymiana kulturalna” — roześmiała się. Udali się do domu PTTK, gdzie kierowniczką przyjęła ich bardzo serdecznie i obiecała nocleg.

Kajaki do wynajęcia, stojące przy przystani, przykuły wzrok Boba.

— Wynajmiemy kajak i przejedziemy się po jeziorze.

— Okey — rzekł Michał.

Okazało się jednak, że bez posiadania karty pływackiej nie wynajmuje się turystom kajaków.

— Przecież ja nie mam zamiaru skakać do wody! — rzekł Bob.

— Wszystko jedno — odparł wynajmujący kajaki — bez karty pływackiej nie można.

— Nigdy mnie o to nie pytano w Ameryce — odparł zachmurzony.

Zwrócili jego uwagę wędkarze spacerujący wzdłuż brzegu i ruchem dyskobola rzucający spinning na wodę.

— Ach, dlaczego nie wziąłem ze sobą wędkę — westchnął. — Rybołówstwo to moje hobby.

— Nic by to panu nie dało — rzekł Michał. — Bez karty wędkarskiej nie wolno łowić ryb. Zapłaciłby pan karę.

— No tak, w Ameryce podpisałbym w jakimś motelu czek na łowienie ryb i mógłbym łowić w każdym rejonie. A czy grzyby wolno u was zbierać bez specjalnej karty grzybnej?

— Ile pan zechce — roześmiała się Krystyna. — Niech pan przyjedzie kiedyś na jesieni, to nazbiera pan sobie kilogramy!

— To jest bardzo kosztowne. Podróż do Polski kosztowała mnie przeszło tysiąc dolarów, a oprócz tego wszystkie te travellers checks. Droga zabawa.

— Chodźmy więc do lasu — rzekła Krystyna. — Do naszej polskiej dżungli.

Bob zgodził się chętnie.

— Mnie to nudzi — skrzywił się Michał. — Pójdę do kawiarni, może poznam jaką ładną dziewczynę.

— Widzi pan — rzekła Krystyna — oni, ci młodzi, nie mają żadnego zrozumienia dla przyrody. Las dla nich to tylko zielony schron dla ich amatorów. A ja gdy wejść do takiej puszczy i położyć się na mchu, a nade mną szumią stare drzewa i śpiewają ptaki, to mam wrażenie, jak gdybym leżała u stóp samego pana Boga. . .

— Oo — ucieszył się naiwnie — widzę, że pani jest wierząca, tak samo, jak ja.

— Wcale nie. Ja tylko ubóstwiam poezję Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, która tak czciła drzewa i las i przejęłam się nimi. . .

— Pawlikowska? Nie znam. To pewnie jakaś wasza powojenna poetka.

— Bardzo przedwojenna — odparła krótko. Nie chciało jej się tłumaczyć mu, kim była i kiedy pisała.

Puszcza Piska, która ciemną, nie kończącą się ścianą rozciągała się wokół jezior, była mroczna, wilgotna, szumiąca drzewami i śpiewająca ptakami. Bob schylił się i zerwał dojrzałą poziomkę.

— Koloru pani pomadki — rzekł podając ją Krystynie, która włożyła ją sobie do ust.

— Czy mogę panią pocałować w te dwie poziomki?

— Co za głupie pytanie. . .

— Ma pani rację — przyciągnął jej twarz do swojej i pocałował w usta.

— Darling. . . — szepnął konwencjonalnie.

Gdy po długim pocałunku oderwał się, aby zaczerpnąć oddechu, zauważyła wokoło jego ust ślady swojej pomadki, wytarła je więc chusteczką do nosa, trochę zażenowana.

— Używa pani niedobrego lipsticku my dear, gdy wrócę do Stanów, zaraz wyślę pani pomadkę Maxa Factora, „kiss-proove”.

— Świetnie. Bardzo się ucieszę.

— Wie pani, my chyba stanowilibyśmy dobraną parę. . .

— Czego? — zapytała kokieteryjnie, poprawiając włosy. — Przyjaciół?

— Może nie tylko. . . W każdym razie przyślę pani zaproszenie do Ameryki.

— Chciałabym pojechać do Stanów i sama się przekonać, jak tam jest.

— Och, darling! Byłaby to dla mnie wielka radość.

Szli pod rękę leśną ścieżką, wokoło pachniało grzybami, których jeszcze nie było i rozgrzanym słońcem igliwiem.

— Niech mi pan powie, Bob, co się panu właściwie we mnie spodobało? Przecież nie jestem ani młoda, ani piękna. . .

— Pani jest taka swoja — rzekł z miłą prostotą — że chciałbym, aby pani była moja. To wszystko.

Bardzo ją ujęła ta definicja jego uczuć, więc uśmiechnęła się z pewnym rozrzewnieniem i przytuliła mocniej do jego muskularnego ramienia.

— Tylko — rzekł pocałowawszy ją we włosy — czy będzie pani miała dosyć money na bilet samolotowy lub okrętowy do New Yorku? — powrócił do poprzedniego tematu, ale dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru pokrywać kosztów jej przejazdu.

— Niech się pan nie obawia — rzekła z ironicznym uśmiechem — zarabiam tyle, że będę mogła sobie na to pozwolić.

Wyczuł chłód w jej głosie, więc trochę zmieszany zaczął się tłumaczyć.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale poznałem panią na tyle, że wiem, iż nie przyjełaby pani ode mnie dolarów na tę podróż.

— I słusznie. Jestem osobą samodzielną i nie potrzebuję od nikogo pomocy finansowej.

Ale po tej wymianie zdań jak gdyby zimny powiew ostudził ich wesoły i erotyczny nastrój. Krystyna skręciła w ścieżkę, która wiodła do Rucianego.

W sali restauracyjnej PTTK nakrywano już do kolacji. Kawiarnia była nieczynna. Michała ujrzeli siedzącego koło przystani, obejmującego ramieniem piękną dziewczynę z krótko obciętymi, ciemnymi włosami. Dziewczyna machała w powietrzu długimi nogami w bładoniebieskich elastycznych spodniach i w złoty, spiczastych pantofelkach, jak gdyby krając nimi gęstą, niebieską mgłę, która jak dymna zasłona opadała na jezioro. Na widok matki z panem Bobem nie ruszyli się i nie zmienili pozycji.

— Mama — rzekł Michał — my się spóźnimy na kolację, nie czekajcie na mnie. A to Izabela. Jest na drugim roku medycyny. Iza, przywitaj się z moją mamą.

Krystyna podała rękę przyszłemu lekarzowi, kiwnęła im na pożegnanie głową i poszła do przeznaczonego dla niej pokoju umyć się przed kolacją. Gdy weszła do sali restauracyjnej z twarzą świeżo odrestaurowaną spokojnym makijażem, Bob już siedział przy stoliku i palił papierosa.

Na kolację były jajka sadzone i cała sterta tłuczonych kartofli, chleb, dżem, herbata.

— To ja już wiem — rzekł Bob — dlaczego polskie kobiety mają takie bujne biodra. My w Stanach jadamy bardzo mało ziemniaków i chleba, przeważnie tosty. To porcja jak dla słonia!

Przechodzącą kelnerkę poprosił o butelkę piwa.

— Piwa się u nas nie podaje — odparła.

— No, to szklanek mleka.

— Mleka o tej porze nie ma — odpowiedź była krótka, lapidarna i zamykała wszelką na ten temat dyskusję.

— Dlaczego w Polsce tak mało pije się mleka — dziwił się Bob. — W Stanach to nasz narodowy napój.

— Tak jak u nas czarna kawa — odparła. — Owszem, mleko piją dzieci i pijacy na kaca. Mleko to taki baranek boży, który gładzi grzechy świata.

— Jak to pani ładnie powiedziała — ucieszył się.

Na salę weszła rodzina Cyganów. On wysoki, w czarnych butach i kolorowej koszuli, ona w drugiej, szerokiej, kwiecistej sukni i w barwnym kaftaniku, za rękę prowadziła małe, czarnookie i ciemnowłose dziecko.

— Niech pani spojrzy! — rzekł Bob. — Na pewno ich zaraz stąd wyrzucą. . .

— Skąd! — Krystyna wzruszyła ramionami. — To nie Ameryka, a Cyganie u nas mają te same prawa, jak każdy inny obywatel.

— W Ameryce — rzekł Bob — do porządnych lokali nie wpuszczają się tych, jak ich nazywają, „coloured people”. No tak — westchnął — co kraj, to obyczaj.

Cygańska rodzina zajęła wolny stolik. Ojciec zaczął przeglądać kartę. Zbliżyła się do nich kelnerka, pertraktując obojętnie, ale uprzejmie, jak z wszystkimi innymi gośćmi.

Amerikanin nie spuszczał z nich oczu.

— U nas — rzekł — kelner by w ogóle nie podszedł do ich stolika.

Krystyna spojrzała na zegarek:

— Chyba już czas pójść do naszych kwater. Na Michała nie ma co już czekać. Wsiąkł gdzieś z tym... tym młodym lekarzem...

— Powojenna Polska zdumiewa mnie co krok — rzekł Bob zapalając cygaro. — Na przykład ten śliczny kociak, z którym flirtuje teraz pani syn, zdawałoby się, że ma pstro w głowie, a raczej tylko chłopaków, a tymczasem jest już na drugim roku medycyny. To znaczy, że musiała zdać maturę, mając osiemnaście lat. Jest taka młodziutka.

— To są naprawdę rzeczy, które i mnie zadziwiają — odparła Krystyna. — Na pozór kociak: misterny makijaż, króciutka sukienka, bardzo swobodne zachowanie, a tymczasem okazuje się, że ma wyższe studia i pracuje, aby zdobyć zawód. To są, widzi pan, nasze powojenne zdobycze. Nie ma już „żon przy mężu”, a młodzież, szczególnie wiejska i robotnicza, przykładą się pilnie do nauki. Mając dwadzieścia kilka lat są już inżynierami, lekarzami...

— W Stanach... — zamyślił się Bob — wyższe studia są bardzo kosztowne i tylko dzieci zamożnych rodziców mogą korzystać z tych college'ów. — Ale — uśmiechnął się — zaczęliśmy z panią, tam w lesie, flirtować, a tymczasem zrobiła się z tego poważna rozmowa. A wszystko zaczęło się od... mleka. Ten „baranek boży, który gładzi grzechy świata”, jak je pani nazwała, jakoś wybielił i uspokoił moje grzeszne zamiary.

— Bardzo dobrze — zaśmiała się Krystyna wstając — jesteście zmęczeni jazdą, upici świeżym powietrzem, należy nam się odpoczynek.

Krystyna miała pokój wspólnie z Michałem, a Bob z jakimś obcym jegomościem. Amerykanina, przyzwyczajonego do eleganckich moteli, gdzie wprawdzie doba kosztowała słono, ale były wszelkie wygody, wprowadził w niemiłe zdumienie widok owiniętej kołdrą ludzkiej formy, spoczywającej na sąsiednim łóżku. Na widok wchodzącego współlokatora forma uniosła głowę, usta zamruczały coś, co nie było uprzejmym przywitaniem.

— Bardzo przepraszam — rzekł dżentelmeński Bob — ale przydzielono mi łóżko właśnie w tym pokoju. Pan pozwoli, że trochę uchylę okno. Przyzwyczajony jestem spać przy świeżym powietrzu.

Współlokator uniósł się na swoim pościeliu.

— Wykluczone! — wykrzyknął. — Ja mam postrzał w karku i nie mogę spać przy otwartym oknie.

— Ależ ja się uduszę! — bronił sprawy okna Bob. — Dla szanownego pana także zdrowiej...



— Co dla mnie zdrowiej, to ja wiem lepiej — burknął tamten.  
Bob westchnął ciężko i już bez słowa rozebrał się i położył do łóżka.  
Czuję — pomyślał nie bez złośliwej radości — że będę mu za to głośno chrapał.

\* \* \*

Krystyna, leżąc i czekając na powrót Misia, roztrząsała wydarzenia dnia i doszła do krzepiącego przekonania, że Robert Walkiewicz byłby dla niej odpowiednim partnerem dalszego życia: miły, opiekuńczy, wesoły, no i z taką sympatią odnosi się do Michała. Ale sprawa nie taka prosta. Ona by się przecież do Ameryki nie przeniosła, a on nie zechciałby zamieszkać w Polsce. Należałoby jednak odwiedzić ten dziwny kraj, który jest rajem dla bogaczy, a czyśćcem dla ubogich, i samej się przekonać. . .

Do pokoju wszedł cichym krokiem Michał, nie zapalając światła.

— Możesz zaświecić, ja jeszcze nie śpię. Gdzieś był tak długo?

— Byliśmy z Izabelą w lesie. Wiesz, mama, ona mi się podoba, fajna.

— A znaliście się już przedtem?

— Żartujesz! Tu poznaliśmy się na popołudniowym dansingu. Ja się uśmiechałem i. . . znajomość zawarta. Poszliśmy tańczyć. Fundnąłem jej ciastko i kawę, wypiliśmy na „ty”. Obiecała zadzwonić do mnie, jak będzie w Warszawie.

Nie była w nastroju robienia mu jakichś uwag natury umoralniającej, zresztą przecież i ona z Bobem. . . tam w lesie. . .

— No, to dobranoc, Miśku. Śpij!

— Dobranoc, mama. A wiesz, ten pan Bob to mi się coraz więcej podoba. On jest k a p i t a l n y.

Po chwili usłyszała jego równy oddech. Zasnął od razu, jak to młodzi.

\* \* \*

Przed wyjazdem Boba do Ameryki spotkali się tylko dwa razy w kawiarni. Szwagierka wzięła go pod swoje wyłączne panowanie.

Dumna była z niego jak z rzadkiej rasy psa i lubiła się nim wszędzie popisywać. Zwiedzili jego samochodem Wilanów i Kazimierz nad Wisłą, Płock i Sandomierz. Pojechali również na kilka dni do Zakopanego, które najbardziej go zachwyciło, jak zresztą wszystkich cudzoziemców, będących w Polsce.

— Które z naszych zabytkowych miast najbardziej się panu podobało? — zapytała Krystyna po jego powrocie.

— Zakopane — odparł bez wahania.

— Ale przecież Zakopane nie jest miastem zabytkowym — zaśmiała się.

— Jak to nie? A te stare góralskie domy, których jest jeszcze tak dużo. One są słodkie. No, a góry! Pojechaliśmy z Alicją na Kasprowy! To Zakopane to naprawdę skarb.

Na ostatnie spotkanie z nim w kawiarni Krystyna włożyła popielaty angielski kostium, wiedząc z doświadczenia, że nic tak się mężczyznom nie podoba jak kobieta w czymś, co przypomina ich męskie garnitury. Do tego sportowa bluzka z krawatem. Efekt niezawodny! Opalenizna, na którą pracowała siadując na balkonie, zastępowała podkład pod puder. Bob od razu zauważył korzystną zmianę w jej wyglądzie.

— Jak pani ślicznie wygląda, dear Christie. I tak młodo jak na swoje lata. . .

— Przecież ja nie mam jeszcze „swoich” lat — zaśmiała się Krystyna. — Ileż, pan myśli, ja mogę mieć. Tylko proszę szczerze. . .

— Szwagierka tłumaczyła mi, że pani nie może mieć mniej niż pięćdziesiąt pięć. Oczywiście, nie uwierzyłem jej. Ale mnie to jest obojętne. Gdy mi się jakaś dama podoba, to może mieć ile zechce. . . Ja mam takie powiedzenie: „nie licz, aby ci nie liczono”. Słuszne, prawda? Ale czego się napijemy do kawy. Może koniaku?

Zamówił dwie porcje lodów z kremem, dwie kawy i dwa koniaki. Kelnerka spojrzała na niego przychylnie i z aprobatą.

— Małe kieliszki czy duże? Zawahał się tylko przez moment.

— Duże — odparł. — Jak z naszymi projektami — zaczął, gdy kelnerka zniknęła wśród stolików. — Więc tak, ja przysyłam pani zaproszenie do Stanów. . .

— Dobrze, ale i dla mojego syna, ja się przecież z nim nie mogę na długo rozstać. My się bardzo kochamy. . . — w tym momencie wiedziała, że kłamie do połowy, ponieważ w uczucia Misia do niej nie bardzo wierzyła, ale to brzmiało bardziej przekonująco.

— Well — odparł po krótkiej chwili zastanowienia. — Przyślę zaproszenie dla pani i syna. Jego mogę zatrudnić w mojej wytwórni koszul. Po kilku miesiącach zarobi sobie na niedrogi samochód.

Wszystko w tym momencie wydawało się Krystynie łatwe i proste. Oczywiście, że nie zostawi w kraju Misia, rozpuściłby się i rozbałagał na amen. Mieszkania w Warszawie nie zlikwiduje, poprosi teściową, z którą wciąż była w dobrych stosunkach, aby jako emerytka zamieszkała w nim na jakiś czas. Miała na książeczce odłożonych kilkadziesiąt tysięcy. Wystarczy na przejazd do New Yorku dla niej i dla chłopaka. Jakie to proste i wesołe. Niech tylko Miś zda wreszcie maturę. Doprawdy, jakie to życie jest dziwne, raz się do człowieka wykrzywia grymasem straszliwego bożka kultury Majów, a raz uśmiecha uśmiechem dobrej wróżki. . .

Położyła swoją drobną, ale spracowaną i opaloną rękę na jego dużej, szczerzej, męskiej dłoni.

— Pan jest wspaniały — rzekła.

— A może się pani we mnie zakochała? To byłoby cudowne, bo ja... — Nie dokończył i wziął do ręki kieliszek koniaku, który przed nimi postawiła kelnerka.

— Twoje zdrowie, Krystyno! Chyba nie mamy powodu być teraz ze sobą na „pan” i „pani”.

— Nasze zdrowie! — odparła Krystyna.

\* \* \*

Krystyna żyła teraz w stanie jak gdyby zachwianej świadomości. Nie miała jasnego rozeznania, czy jej związanie się słowem z panem Walkiewiczem i przyrzeczenie, że do niego przyjedzie, jest dla niej dobre i rozsądne, czy nie? Czasem mówiła sobie, że zwariowała na stare lata, a czasem myślała z rozczuleniem o swoim adoratorze, że taki dobry i ciepły i że znów będzie miała męża... własny dom. „Kobieta musi mieć mężczyznę nad głową jak dach...” — wyczytała kiedyś śmieszne powiedzonko. Bo i cóż warte takie samotne życie z tym tak bardzo współczesnym synem, panią Józefą i Lolkiem? Nie ma dla kogo ładnie wyglądać, nie ma kogo oczekiwać wieczorami, z świeżo nakrytym stołem z herbatą czy wódeczką. Jeszcze jest za młoda i zanadto przede wszystkim normalna i zdrowa, aby w ten sposób upłynąć lata, które ją czekają. Ale znów czasem przypominało jej się zapamiętane jeszcze z panieńskich czasów powiedzenie w jakiejś tłumaczonej z angielskiego powieści, gdzie panna zaręczona z niejakim panem Manningsiem mówi sobie nagle: „Coo, tysiące dni i tysiące nocy z Manningsiem, za nic!” i zrywa zaręczyny. Ale z drugiej strony (znów kłóciła się sama z sobą) — jak mi się tam nie będzie podobało, jeśli dojdę do przekonania, że to nie jest dla mnie życie, to zawsze mogę rzucić to wszystko i powrócić. W każdym bądź razie mieszkanie zatrzyma i panią Józefę również. Nie myśli wcale palić za sobą mostów. Zobaczymy. W każdym razie spotkała ją przygoda niezwykła i niespodziewana. Nie odrzuca się podarunku losu, nawet jeśli ten podarunek nie jest pierwszego gatunku. Obraz pana Boba z oddalenia wiotczał, zamazywał jej się w pamięci i z każdym dniem stawał się bardziej wyblakły. List, który w trzy tygodnie po jego wyjeździe otrzymała, ucieszył ją i nawet wzruszył. Bob pisał, że sam wymalował cały swój domek, aby, gdy przyjedzie, czuła się w nim dobrze i wesoło. „Ponieważ — pisał — szare kolory ścian działają na człowieka deprymująco, więc jeden pokój, ten przeznaczony dla mojej pani, wymalowałem na kolor lilaróż, sitting-room na pomarańczowożółty, mój gabinet na ciemnopąsowy, a pokój dziecinny na szafirowy”.

— O mój Boże! — zaśmiała się czytając to — cóż za koszmarnie zestawienie kolorów! Widać po tym, że mój adorator nie ma dobrego smaku... chociaż z drugiej strony, skoro się na mnie poznał... Pisał też, że podczas jego nieobecności ilość sprzedawanych koszul zmniejszyła się, więc musiał wydać kupę pieniędzy

na reklamę do telewizji. „Będziesz się śmiała, moja miła, ale zredagowałem reklamę w sposób iście amerykański: oto fotografia przedstawiająca roześmianą rodzinę, siedzącą przy jakimś drinku: tato, dziadek i trzech dorodnych chłopaków, wszyscy w koszulach z mojej wytwórni, i duży podpis, oczywiście w języku angielskim: Dlaczego ta rodzina jest taka zgodna i szczęśliwa? Ponieważ wszyscy mają na sobie koszule z wytwórni Roberta Walkiewicza. Już w następnym tygodniu wpłynęło do mojej wytwórni kilkanaście zamówień z różnych magazynów w San Francisco i Chicago”. Pisał też, że przysyła coś, co zrobi jej na pewno dużą przyjemność. Czytając to, przypomniała sobie, że obiecała mu wysłać paczkę grzybów, i postanowiła załatwić ten kosztowny sprawunek następnego dnia. List zawierał na końcu dużo serdecznych słów pod jej adresem i wiele serdeczności dla Michała. W długiej kopercie, wysłanej pocztą lotniczą, znajdowało się również kilka kolorowych zdjęć — jedno przedstawiało samego Boba w roboczym granatowym dresie, strzyżącego maszynką trawnik przed swoim domem, drugie i trzecie zdjęcie ukazywało pana Boba w otoczeniu jego dzieci, na tle rozłożystego platana. Do listu przyklejony był papierowy kwiatek, duża margerytka, z angielskim napisem „good luck” (wiele szczęścia). Boże, jakież on dziecinny! — pomyślała rozbawiona Krystyna, ale jednocześnie zaniepokoiła się, że oto temu dziecinnemu starszemu panu zamierza poświęcić resztę swego życia. „Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby” — mówi stare porzekadło — „darowanemu w drugiej połowie życia — mężczyźnie, nie zagłada się do duszy” — pomyślała filozoficznie i zabrała się do pisania do niego serdecznego listu.

Michał, którego główka nabita była jedyną myślą i dążeniem, to znaczy obiecaną podróżą do Ameryki, przygotowywał się do matury z niebywałą u niego pracowitością. Uczył się po nocach, nie chodził na prywatki, na telefony narzucających mu się dziewcząt odpowiadał niechętnie i zbywające. Może cała ta przygoda z Amerykaninem — myślała czasem Krystyna — jest właśnie po to, aby Miś wreszcie zdał maturę i wyrósł na człowieka.

Józefa niepokoiła się o zdrowie Misia.

— Nie powinna mu pani pozwalać tak się uczyć po nocach. Kto to widział! W pokoju to aż szaro od dymu z papierosów. Rano ledwie wypije szklankę mleka, już biegnie na lekcje, po nocach kuje, nic z tego dobrego nie będzie. A schudł, a zmizerniał, aż żal patrzeć. Ja to bym wołała, żeby mój syn już nie zdał tej matury, niż żeby się miał tak marnować.

— Nic mu nie będzie, moja Józefo, a zdać musi, bo inaczej jaka byłaby jego przyszłość?

— U nas na wsi to też taki jeden był, co go rodzice do nauki zmuszali, i na płuca zapadł. Na mogiłki chłopaka wywieźli w dziewiętnastej wiosnie życia — dodała patetycznie, spojrzawszy jednocześnie na swoją panią przymrużonymi złośliwie oczkami.

Krystyna nieraz się zastanawiała, czy ta tak długo u niej już pracująca gospo-  
sia jest do niej przywiązana, czy też nie? Czasem wydawało jej się, że jej wcale  
nie lubi i że tylko szuka okazji, aby jej dokuczyć, może nawet podświadomie. Ta  
wieczna niechęć i pretensja pracownika do chlebodawcy. Czy urzędnicy kiedykol-  
wiek kochali swojego dyrektora? Byłby to chyba wypadek zupełnie odosobniony.  
A jednocześnie gdy Krystyna źle się czuła, gdy ją bolała głowa lub żołądek, to  
Józefa biegała z własnej woli po proszki do apteki, przynosiła jej gumowy termo-  
for z gorącą wodą i co chwila wpadała do jej pokoju z propozycją wypicia jakichś  
ziołek.

W końcu nadszedł uroczysty dzień egzaminu dojrzałości i Michał, bardzo  
przejęty, w czarnym ubraniu i białej koszuli, z ciemnym krawatem, poszedł zda-  
wać maturę.

Jest to dzień największych emocji nie tylko dla ucznia, ale w jeszcze więk-  
szym stopniu dla jego rodziców. Krystyna zażyła elenium i przez dwie godziny  
wypaliła całe pudełko papierosów. Była wdzięczna Józefie, że ta poszła do poblis-  
kiego kościoła modlić się o dobry wynik dla Misia.

Miś nie miał teraz pomocy w nauce. Przyjaciel Edek obraził się na niego,  
bo Michał „poderwał” mu dziewczynę, i przestał przychodzić. Był już zresztą na  
pierwszym roku politechniki i gardził trochę takimi „gówniarzami”. Michał cza-  
sem tylko wyskakiwał na dwie, trzy godziny do jakiejś koleżanki Gośki. Krystyna  
podejrzewała, że się razem uczą.

— Czy ta Małgosia to twoja nowa sympatia?

— Jaka Małgosia? Małga? niee, to tylko koleżanka.

— To ona już nie jest Gośka?

— Nieee, za wiele było Gosiek w jej klasie.

— Ale „Małga” to brzmi jakoś nieładnie, nie jak imię, ale jak przezwisko.

— Ty się na tym nie znasz, to bardzo młodzieżowe.

Wieczne czekanie było rodzajem choroby, która co jakiś czas na nią spadała.  
W dniu matury musiała czekać aż do godziny dwudziestej drugiej.

O tej godzinie Michał wrócił blady, głupio uśmiechnięty, chwiejący się na  
miękkich nogach, i natychmiast poszedł do łazienki.

— No i co? — zapytała wstrzymując się od wszelkich wymówek.

— Oblałem — odparł, ale w jego oczach dostrzegła filuterny wyraz, który ją  
momentalnie uspokoił i przekonał, że kłamie.

— Powiedz prawdę, synku. . . Wzruszył ramionami.

— Pewnie, że zdałem, i jak! Same czwórki, tylko jedna trójka.

— Ach, tyyy! — rzuciła mu się na szyję — ty mój skarbie.

— Nie wygłupiaj się, mama — oderwał jej ramiona od swojej szyi — lepiej  
daj coś zjeść! Poszliśmy oblać to do jednej kawiarni. Wiesz — dodał z niejaką  
dumą — na dziesięć osób wypiliśmy szesnaście butelek wina. Niewąsko, co?

Była w tak świetnym humorze, że wcale mu nie powiedziała, że to było trochę za wiele, poszła do kuchni i szybko usmażyła mu jajecznicę z kiełbasą, pokrajała ser, chleb i zawołała go na kolację.

— Masz, jedz, należy ci się to. A trudne były pytania?

— Cholernie — odparł z ustami wypchanymi jajecznicą. — Ale słuchaj, mama, ja zrobiłem swoje, teraz ty się staraj o pozwolenie na wyjazd do Stanów, do pana Boba.

— Naturalnie, od jutra zaczynam. Trzeba wziąć deklaracje, wszystko wypisać, potem złożyć gdzie trzeba, no i czekać cierpliwie. Najpierw zresztą musi przyjść oficjalne zaproszenie.

— Możesz zawsze jako powód wpisać, że jesteś plastyczką i chcesz się w Ameryce zapoznać z ich animowanymi filmami i komiksami. Artystów bez trudności puszcza się za granicę, a ja jako celujący maturzysta też na pewno dostanę pozwolenie. Masz, Lolas! — pieskowi, który siedział pod stołem, wcisnął w zęby kawałek kiełbasy, ale on, kokiet, wypluł momentalnie, bo chciał, aby karmienie odbywało się łącznie z zabawą, to znaczy, trzeba mu było włożyć między zęby kawałek wędliny, zamknąć pysk i poruszać jego szczękami, co oczywiście Michał uczynił.

— No, mama, idę spać. Jestem skonany.

Krystyna dostała zawiadomienie z poczty, że nadeszła dla niej paczka z Ameryki. Koszt cła zdumiał ją i przeraził. Pięćset złotych! Na blankiecie wypisane było ciepłe słowo „futro”. Ale jakie? Płaszczyk, kurtka? I czy sztuczne futerko, czy prawdziwe? Poszła sama na pocztę i wykupiła dość sporą paczkę. Każda przesyłka z zagranicy sprawia temu, który ją otrzyma, radość — nim ją rozpakuje — „mała niewiadoma”, ogromnie jednak ekscytująca, coś jak początek flirtu, który zwykle potem sprawia rozczarowanie. Nerwowe rozplątywanie sznurków, z niecierpliwością amanta, który ciągnie za błyskawiczny zamek przy sukni swojej wybranej, tak gwałtownie, iż go zwykle urywa. . . Krystyna, nie mając cierpliwości do rozplątywania węzełków, zaczęła szukać ostrego nożyka. Po chwili paczka była już otwarta i oczom jej ukazał się błam futra z owcy, farbowany na karmazynowo.

Moment zdumienia i rozczarowania. No i na co mi to — pomyślała. — Do czego to ma służyć? Chyba jako dywanik pod łóżko.

W paczce poza ową puszystą jaskrawą czerwienią był jeszcze w pudełeczku figlarny stripteasowy długopis z karteczką, na której wypisane było: „DLA MICHAŁA”. Były na nim dwie kobietki w czarnych kąpielowych strojach, które, gdy się potrząsnęło długopisem, stawały się zupełnie gołe.

Miś był zachwycony.

— Och, mama, jakie to fajne!

— A cóż powiesz na to czerwone futro, Misiu?

— Też idealne! Możesz sobie z tego zrobić kołnierz i mankiety do płaszcza.

— Taak? Żeby ludzie za mną latali po ulicy i wytykali mnie palcami?

— To sprzedaj, dostaniesz za to kupę forsy.

— Prezentów się nie sprzedaje. Będzie służyło mi jako dywanik pod łóżko.

I znów przyszedł list od pana Boba, zawiadamiający o wysyłce czerwonej owcy i dziękujący za otrzymane grzybki. W liście znajdowała się kartka pocztowa z kobietką, która miała do krótkiej sukienki przyklepione prawdziwe kolorowe piórka, różowe i niebieskie. Tę kartkę Miś zaanektował i wetknął ją do aparatu radiowego, gdzie już znajdowały się inne kolorowe pocztówki, które otrzymał od swoich wojażujących kolegów i koleżanek.

Krystyna pomyślała, że oni dwaj, Michał i Bob, będą znakomicie do siebie pasowali. Byli tacy dziecienni. Ale gdzie w tym towarzystwie było miejsce dla niej? Chyba w roli pocziwej, wiecznie uśmiechniętej mamusi dwu synków, jednego w wieku lat dwudziestu, a drugiego sześćdziesięciolatka, dla których będzie musiała gotować, sprzątać i zmywać talerze. . .

\* \* \*

Po pół roku przysłała promessa na wyjazd do Ameryki, ale tylko dla jednego członka rodziny, czyli dla studenta. Dobrze. Niech chłopak skorzysta, zobaczy „wielki” świat, przekona się, czy ta Ameryka to takie Eldorado. Niech tam nauczy się pracować i zarabiać na siebie. Michał nie posiadał się z radości.

— Mama, będę ci przysyłał szalowe ciuchy, ale wpierw zarobię sobie na samochód. No i zorientuję się, jakie tam mogą być warunki pracy dla ciebie, bo ty przecież przyjedziesz? Taka okazja! Nieeee?

— Chciałbyś, żebyś wyszła za mąż za pana Boba?

— Nooo. A czegoż ty lepszego możesz się spodziewać w twoim wieku? Zresztą on jest fajny facet. Ja bardzo chcę mieć takiego ojczyma.

Uśmiechnęła się.

— Skoro chcesz. . . Czegoż ja bym dla ciebie nie zrobiła, Misiu. . .

Michał oczywiście pochwalił się przed kolegami i koleżankami, że jego mamusia wychodzi za mąż za Amerykanina, ale że najpierw on sam tam pojedzie, już otrzymał pozwolenie. Dzieci opowiedziały to rodzicom, a rodzice, ci, którzy znali Krystynę, zaczęli to odpowiednio komentować.

— Przecież to już starsza kobieta. . . — rzekła jedna z mamus — kiedyś odwiedziłam ją, źle się czuła, mówiła, że ma zawroty głowy i że się jej ciśnienie podniosło. Od razu domyśliłam się, że przechodzi okres przejściowy. . .

— O — odparła druga — pani jej schlebia, ona to już dawno musiała przechodzić. . .

— Czasem okres przejściowy trwa bardzo długo. Moja mamusia wtedy tak się marnie czuła, i to przez wiele lat. . .

— No i powinna stanowczo utyc. Jej szczupła figura nie pasuje już do trochę zniszczonej twarzy... Ale że jej się chce na stare lata rozpoczynać nowe życie? Ja bym na jej miejscu za nic się na coś podobnego nie zdecydowała.

Szwagierka Boba, pani Alicja, też najwidoczniej nie była zadowolona z tego, tak według niej nieodpowiedniego, wyboru żony.

— Żałuję, że ich ze sobą poznałam — rzekła kwaśno. — Ale czy mi mogło przyjść do głowy, że akurat ona jemu się spodoba. Niemłoda pani, mająca dorosłego już syna. Chłopisko chyba oszalało. Zamiast sobie wyszukać jakąś ładną, młodą dziewczynę. Ale mężczyźni są tak nieobliczalni.

Spotkawszy kiedyś Krystynę na ulicy, minęła ją szybko, za ledwie kiwnąwszy głową. Krystynę bawiła ta zazdrość kobiet i dodawała jeszcze smaku całej tej historii.

Pan Bob, który lubił listy „nadziewane”, przysyłał jej wycinki z gazet polskich, wychodzących w Stanach, niektóre z nich były doprawdy zdumiewające, jak na przykład:

#### *100 000 DOLARÓW W SPADKU PO KOZIE*

W Luisville, stan Kentucky, rozstała się z tym światem koza imieniem Sugah, która przez dwa lata była pełnoprawną właścicielką posiadłości wiejskiej wartości 100 tysięcy dolarów. Majątek ten został kozie Sugah zapisany przez jej panią, niejaką George W. McCree. Obecnie własność Sugah, która zdechła w wieku 17 lat na uwiad starczy, przeszła w ręce rodziny pani McCree.

Inny wycinek, pod tytułem DZIWNE ZOO, też ją ogromnie rozbawił. Bob nie był pozbawiony poczucia humoru, kiedy jej tego rodzaju smaczki przysyłał. Brzmiało to następująco:

W Baltimore (USA) otwarto supernowoczesne zoo. Zwierzęta żyją tam na ogromnej, jak najlepiej dostosowanej do ich potrzeb przestrzeni, bez klatek, a więc w warunkach niemalże identycznych, jak na wolności. Natomiast zwiedzający zoo przebywają w... klatkach, aby uniknąć zbyt bezpośrednich kontaktów ze zwierzętami. Ściśle mówiąc, drogi prowadzące przez zoo, a przeznaczone dla zwiedzających, stanowią rodzaj tuneli oddzielonych kratą od zamieszkaną przez zwierzęta wolnej przestrzeni. Zauważono, że zwierzęta przyglądają się ludziom równie ciekawie, jak oni sami zwierzętom...

Pod tym wycinkiem był dopisek pana Boba: „Maluczko, a szympanse zaczną podawać zwiedzającym... orzeszki ziemne, marchewki i skórki od bananów”. Najpiękniejszy jednak był nadesłany przez niego artykuł pod nagłówkiem: „Pytamy was”...

#### *DO CZEGO, MYŚLICIE, WASZ OJCIEC JEST POTRZEBNY?*



Ojcowie są potrzebni do wielu rzeczy. Ścinają oni trawniki pod koniec tygodnia. Dają swoim dzieciom pieniądze na drobne wydatki (allowances). Czasem odwożą dzieci do szkoły lub odwożą do domu z kina w soboty. No i pracują także. (Przy słowie: także Krystyna roześmiała się głośno.) My, z Wytwórni Kowalskiego, nie tylko myślimy, że ojcowie są dobrzy, ale wspaniali. Czciście waszego ojca, okazując mu szacunek w Dzień Święta jego w tę niedzielę.

Na odwrotnej stronie owego wycinka była wzmianka, która zaskoczyła i przerażała Krystynę.

### KOSZTY LECZENIA

Koszty leczenia typowego Amerykanina wzrosły w ubiegłych latach o 27 proc. Jeszcze bardziej wzrósł koszt leczenia w szpitalu — o 68 proc. Honoraria lekarzy: dentystów o 21,4 proc., internistów o 16 proc., natomiast lekarstw o 16 proc.

Ładna historia — pomyślała z troską Krystyna. — To tam w żaden sposób nie należy chorować. A wszystkie zęby trzeba będzie przed podróżą ponaprawiać w Ubezpieczalni.

Według tego, co jej kiedyś mówił Bob, tylko pracownicy fizyczni są ubezpieczeni, a ich pracodawca ponosi koszty leczenia. Nawet gdy jakiś pracownik ulegnie wypadkowi na terenie należącym do pracodawcy, ten jest zobowiązany ponosić wszelkie koszty szpitala. Czyli, że kto fizycznie nie pracuje — temu biada — pomyślała. — I wówczas... klops!

Pan Bob był zmartwiony tym, że Krystyna nie przyjedzie ze swoim synem, pocieszał się jednak, że co się odwlecze, to nie uciecze. „Może — pisał — nawet łatwiej ci będzie przyjechać do syna, to doskonały pretekst”.

I nadszedł dla Michała piękny dzień, kiedy wraz z mamą pojechał do Gdyni, aby zająć miejsce na Batorym, który udawał się w rejs do New Yorku. Odprawa celna, jeśli chodzi o chłopaka, trwała bardzo krótko. Wiózł tylko dla pana Boba litr czystego spirytusu i piękny kryształowy flakon. Przed wyjazdem wyłudził od mamusi kilkaset złotych na kupno... złotego sygnetu z herbem wygrawerowanym na półszlachetnym kamieniu.

— Na co ci to? U nas sygnety ze szlacheckimi herbami noszą już tylko kelnerzy. Kupują je w komisach.

— Ale tam, u nich, dowiedziałem się, rozbijają się za nimi. Wszystkie polonussy chcą mieć sygnety. Przekonasz się, że pan Bob rzuci się na to, a ja mu sprzedam za grube dolary.

Skrzywiła się.

— Błagam cię, nie rób tego. Będiesz u niego mieszkał, jadał, nie wypada, abyś mu go sprzedawał. Ty masz naprawdę pomysły nie z tej ziemi!

— Jak najbardziej z t e j, mama. Ty się na tym nie rozumiesz, ale mogę sprzedać komuś innemu... Przecież ja mam tylko pięć dolarów kieszonkowego.

— Ale będziesz tam u niego zarabiał.

— Ale nim zacznę, to muszę mieć na gumę do żucia, piwko, kawiarnie. . . Jak ty sobie wyobrażasz, człowiek bez pieniędzy, to dziad, z którym się nikt nie liczy.

Och, jakże daleko padło jabłko z tej jabłoni, którą była ona. Wciąż rozmawiali w obcych językach.

Ponieważ było jeszcze dużo czasu do wyruszenia w morze, Krystyna zwiędziała statek. Zrobiło jej się nagle okropnie żal, że nie udało jej się wyruszyć z Michałem w tę piękną podróż. Miała nawet oczy pełne łez, gdy się z nim żegnała.

— Daj spokój, mama, nie wygłupiaj się z tymi ckliwymi scenami. Ciesz się, że jadę, będziesz przynajmniej miała spokój. . .

— Kiedy ja wcale nie pragnę spokoju, mój Misiu. Będę bardzo tęskniła za tobą. I postaram się koniecznie przyjechać.

— No, jasne. . . Przecież panu Bobowi moja osoba wisi — . . . chodziło mu o ciebie. . .

— A napisz do mnie zaraz po przyjeździe długi list.

— Wyślę ci kartkę pocztową z widokiem New Yorku.

— Nie chcę kartki, napisz długi list o wszystkim.

— Ja nie umiem pisać listów, nawet nie wiem, jak się to robi.

— No, tak jak wypracowanie. Przecież gdy byłeś w szkole, pisywałeś wypracowania na zadany temat.

— I zawsze dostawałem dwóję — roześmiał się — to mi nie leży. . . Ale jak tak bardzo ci o to chodzi, napiszę.

Steward zaczął wypraszać gości z pokładu. Michał miał klasę turystyczną z trzema panami, w kabinie już zastał swoje rzeczy.

— Organizacja na medal! — cmoknął z uznaniem. — No, mama kochana, ruszaj stąd, bo wszyscy, którzy nie jadą, już wychodzą.

Rzuciła mu się na szyję i pocałowała kilkakrotnie w rumiane policzki.

Bardzo niezgrabnie oddał jej pocałunki.

— Ciao, mama i. . . keep it easy, jakby powiedział pan Bob. O mnie się nie martw, dam sobie radę. A ty zrób wszystko, co się da, aby jak najprędzej przyjechać! Ciao!

Krystyna zeszła z pokładu Batorego jak gdyby z igłą w sercu. I po co się to wszystko stało? Diabli nadali tego całego pana Boba. Ona w końcu nie pojechała do Ameryki, ale za to pozbyła się własnego syna, którego przecież kocha. I znów zamiast dwóch mężczyzn — męża i syna — ma psa i gosposię. Bardzo dawno nie płakała i nawet nie wiedziała, czy jeszcze posiada łzy, ale teraz cisnęły jej się do oczu. Miś, oparty o burtę dolnego pokładu, śmiał się do niej i machał ręką. „Płacz to morska choroba oczu” — przypomniała sobie gdzieś przeczytane powiedzenie, więc postanowiła opanować się i uśmiechnąć do Michała. Nie czekała, aż statek wyruszy w swój daleki rejs. Odjazd statkiem kogoś bliskiego to jak gdyby ten

ktoś pomału rozplątywał się w niebyt. Jeszcze go widać, jeszcze macha chusteczką, a potem znika na horyzoncie, jak gdyby połknęła go ta „śmierć w płynie”, jaką jest morze. Tego samego dnia powróciła do Warszawy. Trzy tygodnie minęły, nim otrzymała kartkę od Misia. Był to New York nocą, oświetlony neonami. „Ameryka jest na medal — pisał. — Pan Bob przyjechał po mnie samochodem do New-Port i pojechaliśmy razem do jego willi pod Chicago. Wszystko okey — cześć!” Po miesiącu otrzymała od niego list wysłany pocztą lotniczą.

„Kochana Mamo

Pan Bob sterczy nade mną i wciąż mi przypomina, abym do Ciebie napisał o wszystkim, ale ja nie umiem pisać listów i bardzo nie lubię. Więc tak, pracuję u P. Boba w jego wytwórni i muszę przez osiem godzin składać koszule i pakować w celofan. Od siódmej rano pracuję jak koń (choć nigdy nie widziałem, aby konie pakowały koszule). — W tym miejscu Krystyna uśmiechnęła się. — Mam otrzymywać za to 300 dol. miesięcznie, mieszkanie i żarcie. Ale ja już sobie zarobiłem trochę. W tutejszej gazecie był konkurs pod tytułem: How many curls on a poodle? (ile loków na pudlu?) i narysowany taki jak nasz Lolek, a na jego lokach tylko cyfry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, to należało tak zliczyć, aby zrobiło właściwą sumę. Nagrody były fantastyczne! Pierwsza 1500 dol. Gdybym był wygrał pierwszą, tobym gwizdnął na ten job u P. Boba, kupił sobie fordą-mustangą i szurnął do Texasu albo do Meksyku. Ale ja wygrałem tylko jedną z 50 nagród — 25 dol., no to kupiłem sobie bilet na występ Johna Hallydaya. Pamiętasz, on był kiedyś w Polsce i narozrabiał, ale fantastyczny gość. Teraz był znów sądzony za spowodowanie wypadku samochodowego w stanie nietrzeźwym, a to tutaj jest bardzo surowo karane. Z trudem uzyskał zamianę kary aresztu na karę grzywny i odebranie prawa jazdy. Ale taki słynny bigbeatowy śpiewak nie przejmuje się takimi głupstwami. To też reklama! Czy wiesz, mama, że on kazał zrobić takie małe wisioriki z kawałeczków drewna, na łańcuszku, z napisem: Łóżko Johnny’ego — po dolarze sztuka. Młodzież rozchwytywała na pniu. Ostatnio wypuszczono małe medaliony z portretem Johnny’ego (kupiłem sobie), których sprzedaje się dziennie 50 tysięcy sztuk, a Johnny ma z tego procent. Umie facet forszę kosić! Wiesz, co mi się tutaj najwięcej podoba, to, że się prawie nie wychodzi z samochodów. Możesz przez otwarte okienko dostać do wozu cały obiad, który ci z baru przyniosą. Dajesz tylko sygnał i już kelnerka przyskakuje z kartą potraw. Nawet czeki bankowe wypłacają przez szufladkę, którą z okienka bankowego podsuwają ci pod nos. Ludzi na ulicach mało. Tylko w New Yorku na Fifth Avenue. Oni zrozumieli, że nogi nie są do chodzenia, tylko do naciskania deski, ale zaczynają się już bać, że im w końcu zanikną, więc jeżdżą na takich śmiesznych rowerach, co to mają małe kółka i wysokie rączki. Pan Bob na takim jeździ i wygląda śmiešno. Ja sobie też sprawię, jak sprzedam sygnet. Tu jest jeden taki Polak, ma hodowlę kur, on chciałby zgrywać wielkiego szlachcica z herbem. Już z nim pertraktuję. On mi nie chce dać za niego 200 dol. — a ja nie frajer, aby mu taniej sprzedać.

Widzisz, jakiego — masz przemyślnego syna! — w tym miejscu Krystyna westchnęła, zamyśliła się na moment i zapaliła papierosa. — Wszystko byłoby tutaj okey, gdyby nie bachory pana Boba, cóż to za niezdolni gówniarze. Przed naszym przyjazdem wysmarowali podłogi płynnym mydłem i jakeśmy tylko stąpnęli, zaraz wywaliliśmy się. Śmiechu było co niemiara, to znaczy śmiał się tata i dzieci, a ja byłem wściekły, bo sobie stłukłem kolana. U nas by dostały lanie, ale tam nie. Dzieci w Ameryce to świętość, ale mówię ci, nasze dzieci z podwórza to anioły na medal — wobec nich. Ta jego córka Wanda (cholera) nosi na palcu małego żywego, czarnego węża, one się nazywają pierścionkowce. I wiesz, co zrobiła, wsunęła mi go za kołnierz koszuli, o mało nie dostałem szoku nerwowego, nie mogłem, drania, wyciągnąć, dopiero pan Bob mnie wyratował. Powiedziałem tej gówniarze po angielsku, że jej tego węża kiedy uduszę — a ona mi na to, że gdybym to zrobił, to Paa (tato) połamie mi kości. A potem wszyscy troje tarzali się na dywanie ze śmiechu — w tym miejscu Krystyna znów na moment oderwała oczy od listu i zamyśliła się. Gdyby tam pojechała, musiałaby się tymi niezdolnymi dzieciakami opiekować. Koszmar!

Domek pana Boba — czytała dalej — jest bardzo fajny, ale takich samych na tym osiedlu jest dużo. I posiada duży ogród. Przed domem jest wielki trawnik, a na nim swimming-pool (basen). O ten trawnik to on dba jak o własne włosy, strzyże, przycina, sam jeździ maszyną do strzyżenia i podlewa gumowym węzem. Trawnik sięga aż do jezdni i ludzie po nim przechodzą jak po trotuarze.

Co mi się najbardziej podoba, to te olbrzymie potrójne autostrady i takie fajne kolorowe reklamy na słupach. A na tych reklamach wielkie półgołe dziewczyny, nawet gdy reklamują Przedsiębiorstwo Pogrzebowe. Fajne — nie? Mam ubaw z tutejszymi starymi Polakami, jak oni mówią — nie masz pojęcia. Kiedyś, jakeśmy z P. Bobem i z jego bachorami pojechali na weekend, spotkaliśmy grupkę Polaków. Jedna babka powiada do drugiej, która puszczała radio tranzystorowe: — Nie juzujcie waszego redia, kiedy do was mówię, raz, a dwa, to baterije są eskpensyw. — A na to tamta: — A co wam do tego, dulary spenduje z mojego paketu, nie z waszego. Mam buczernie i grosernie, które mi dają money! — Dać rajt róbta, jak chceta, to nie maj byznes. — A trzecia: — Mam furnes, który dymi, zrobiłam łok koło lejku, wyrentowałam, byłoby okey, tylko że trza nos zalokować, śmierdzi, ju noł?

Pan Bob powiada, że chociaż tak z amerykańska się wyrażają, ale są gorącymi patriotkami polskimi. . .”

Chłopak ma poczucie humoru — pomyślała z satysfakcją Krystyna. List kończył się słowami, żeby się jak najprędzej postarała przyjechać, bo pan Bob wciąż ją wspomina i oczekuje.

O tym, aby i Miś za nią tęsknił, nie było mowy. W postscriptum dodał, że za miesiąc już sobie kupi samochód, może trochę używany, ale dobrej marki.

Po dwukrotnym przeczytaniu tego listu Krystyna poczuła się jak po zgryzieniu jakiejś gorzkokwaśnej pastylki. Byłaby dała dużo, aby jakimiś radarowymi promieniami ściągnąć Misia z powrotem do domu. A przy okazji również i dobrego, serdecznego pana Boba. Ale to przecież było niemożliwe ze względu na jego dzieci. Poczuła do nich niechęć. To przecież zupełnie niemożliwe, aby teraz miała stać się nagle matką dwojga rozpuszczonych amerykańskich dzieciaków. Ale los zawsze postępował z nią jak lis z bocianem w znanej bajce Lafontaine'a. Uroczy, choć naiwny pan Walkiewicz byłby na pewno dobrym i oddanym jej mężem, gdyby nie te ciężkostrawne dziatki, które by jej obrzydziły życie. To jasne, że po to chce się żenić z niemłodą panią, aby miały opiekę w domu. Ale co zrobić z Michałem? Po jego liście odniosła wrażenie, że połknął haczyk, że będzie chciał pozostać w Ameryce dłuższy czas.

W kilka dni po otrzymaniu listu od Michała przyszła z amerykańskiej ambasady promessa i teraz już tylko trzeba się było starać o paszport i załatwić wszystkie związane z wyjazdem formalności. Na imieniny otrzymała od pana Boba paczkę, której cło wyniosło przeszło trzysta złotych. Były to pończochy przetykane złotą nitką, frykuśny kapelusik, cały z różowych kwiatków, odpowiedni chyba tylko dla družki panny młodej, i szeroka suknia z różowego nylonu. — Akurat to, co mi jest niezbędnie potrzebne! — zawołała ze śmiechem.

Józefa, która asystowała przy odpakowaniu przesyłki, spojrzała na nią zgorzszona.

— Pani to już całkiem nie ma rozeznania, co dla niej jest odpowiednie, a co nie? Gdzież starsza osoba w takich różowych kieckach... Gdyby to pani na siebie nałożyła, to ja podziękuję za pracę i odejdę.

Zrobiła jedną z tych swoich surowych min i założyła ręce na piersiach jak kapral, który zrugął żołnierza.

— I tak pewnie pani będzie musiała opuścić mój dom — rzekła z wyniosłym chłodem Krystyna — ponieważ ja wychodzę za mąż i zamierzam wyjechać do Ameryki.

— To trzeba mi to było dawno powiedzieć — mruknęła Józefa — abym sobie gdzieś inną pracę znalazła. Ale że też się pani chce na stare lata jeszcze za mąż wychodzić. Mało pani miała tych mężów...

— Moja pani Józefo — zirytowała się Krystyna — nie ja jestem stara, tylko pani, i z zazdrości wciąż mi pani wytyka moje lata. Widocznie nie jestem jeszcze taka leciwa, kiedy chłopcy na mnie lecą...

— Jakie tam chłopcy, ten starszy gość z Ameryki? Takiego szczęścia to ja pani na pewno nie zazdroszczę — aż jej się ręce trzęsły ze zdenerwowania. — Stary chłop to gorsza baba niż kobita, sama się pani przekona, ale co mnie to obchodzi, niech tam pani sobie robi, co chce. Kobiety same nie wiedzą, czego chcą, i potem za to cierpią.

W tym momencie Krystyna, mimo iż była zła na Józefę, musiała się roześmiać, jej styl zawsze ją bawił.

— Eee, pani Józefo, nie ma się czym przejmować, jeszcze nie wiadomo, czy pojedę. . .

— Jak tam pani sobie zechce, ale ja muszę zawczasu wiedzieć. A co tam pan Miś pisze? Nie tęskni za domem?

— Ci młodzi moja Józefo, nie znają tego uczucia. Pisze, że pracuje, że dobrze zarabia i niedługo kupi sobie samochód.

Pani Józefa plasnęła w dłoń.

— Masz ci los. Samochód! Żeby tylko tak z nim nie było, jak z tym biednym panem Leszkiem.

Gdy Józefa chciała jej dokuczyć, wspominała tę jej nieszczęsną miłość. Postanowiła szybko przerwać rozmowę.

— A co mi pani da dziś na kolację? — usadowiła ją tym pytaniem na właściwym miejscu.

— Jest rosółek z obiadu. . . mogą być jajka. Pani i tak się teraz odchudza, to po co będziemy gotować. Do tej różowej kiecki — dodała złośliwie — to i tak musi pani jeszcze stracić kilka kilo.

Uśmiechnęła się i wyszła z pokoju. Na kolana Krystyny wskoczył Lolek, który od czasu wyjazdu Misia cały ładunek czułości małego psiego serca przelał na swoją panią. Ile pudel ma loków? — przypomniała sobie amerykański konkurs, w którym uczestniczył Michał, i uśmiechnęła się. Co będzie z nim, z tym małym karakułowym przyjacielem? Oddać go w jakieś obce ręce? Za nic. Jedyny ratunek, to napisać, tak jak to zamierzała, do matki Franciszka, aby na jakiś czas zamieszkała u niej. Mieszkania warszawskiego nie likwidować, ani Józefy, która jak gdyby stanowiła część inwentarza tak potrzebnego w domu jak piecyk gazowy lub lodówka.

\* \* \*

Po trzech tygodniach otrzymała z Ameryki list, tym razem od pana Boba. Zapytywał, czy otrzymała przesyłkę i czy jej się jego dary podobały. Ale potem były dla niej same zaskakujące wiadomości.

„Muszę cię zmartwić, dear Christie, ale nie mogę dłużej zatrudnić u siebie Twojego syna. Pracuje tylko wtedy, gdy wie, że zarobi, chociaż i tak zawsze spóźnia się do wytwórni. Ale koło siebie nic nie robi, przyzwyczajony widocznie do służby, której u mnie nie ma. Muszę go pilnować, aby zasłał tapczan, żeby wyszorował po kąpielni wannę. Od mycia talerzy po posiłkach wykręca się jak może, chociaż to jest u nas obowiązkiem każdego gościa. Powiada, że to babska rzecz, i woła małą Wandę, aby to za niego robiła. Wówczas kiedy my wszyscy, to znaczy

ja i dzieci, pracujemy w ogrodzie, on albo wsiada do swojego samochodu i po drodze zabiera młode autostopowiczki, albo też wyleguje się na tapczanie, wpatrzony w kolorową telewizję. U nas gdy się powie o kimś, że he is lasy — and he lies (że jest leniwy i kłamie), to już taki gość ma trudności z otrzymaniem zajęcia. A Mickie, niestety, kłamie, na czym go kilkakrotnie przyłapałem. Lubię go, to właściwie sympatyczny chłopak, i przykro mi, że muszę ci o tym wszystkim napisać...

(Jak ci przykro, stary ośle — zirytowała się Krystyna — to po co mi o tym piszesz? — ze złością rzuciła list na podłogę, ale po chwili podniosła go i czytała dalej.)

Ale to wszystko byłoby niczym, gdyby nie to, że Mickie szerzy wśród moich pracowników wrogą propagandę!

Opowiada współpracownikom, jak to w krajach o ustroju socjalistycznym dobrze się powodzi robotnikom, że mają leczenie, naukę i wczasy za darmo. No i przede wszystkim, że nie ma bezrobotnych i że każdy, kto chce pracować, zawsze znajdzie zajęcie. Poza tym Mickie rozpusza demoralizujące wersje, że w Polsce rodziny robotnicze otrzymują luksusowe mieszkania w nowym budownictwie. To wszystko, co opowiada, zalatuje propagandą komunistyczną, więc sama rozumiesz, droga Christie, że go dalej zatrudniać u siebie nie mogę, bo ucierpiałaby na tym dobra reputacja mojej wytwórni”.

Krystyna złożyła list i zamyśliła się. Co się tam temu Michałowi stało? On, taki entuzjasta Zachodu! Najwidoczniej zdenerwowały go te luksusy tylko dla milionerów i ta rażąca różnica, jaka tam istnieje między posiadającymi, a biednymi. Tak jej chłopak jest jak widać, rozgoryczony i chyba... wyleczony ze swej adoracji dla Ameryki. Ale to pokrzyżowało jej plany. Bo i po co ma jechać do pana Boba, kiedy Michał u niego już nie pracuje. Rozłożyła list i czytała dalej.

„Ale się nie martw, Darling, znalazłem mu zajęcie na rancho u jednego zamożnego Amerykanina, który hoduje owce na futra. Mickie będzie mu pomagać strzyc owce i dbać o nie. Musiałem prosić go bardzo, bo Polaków na ogół niechętnie zatrudniają. Nie będzie dużo zarabiał, ale pracę ma łatwą, poza tym pan Hopkins daje mu mieszkanie i utrzymanie. Pan Hopkins ma dwoje dzieci: syn pracuje u niego na rancho i otrzymuje od ojca normalne wynagrodzenie, bo u nas dzieci, gdy dorosną, muszą już pracować na siebie. Córka, piękna dziewczyna, zajmuje się domem i gospodarstwem. Przypuszczam, że Mickie będzie zadowolony i że mu tam będzie dobrze. Ponieważ rancho Mr. Hopkinsa znajduje się zaledwie o 50 km od mojej posiadłości, więc gdy do mnie przyjedziesz, Darling, będziemy go mogli odwiedzać od czasu do czasu...”

Guzik, przyjadę! — pomyślała ze złością Krystyna. — Żeby mi musiała się zajmować jego bachorami, a jemu robić ruskie pierogi, których wcale robić nie potrafię!

List kończył się zapewnieniami o jego gorącym uczuciu i o nadziei ujrzenia jej niezadługo w Stanach. Ten list mocno zdenerwował Krystynę. Żeby tylko Michał nie zakochał się w tej pięknej dziewczynie, córce pana Hopkinsa, i nie zaczął myśleć o małżeństwie. Wówczas straciłaby go już bezpowrotnie. Pocieszyła się jednak myślą, że Miś bardzo łatwo zadurzał się w jakiejś ładnej dziewczynie i równie łatwo „oddurzał” się. Uspokojona, połknęła łyk już wystygłej kawy i postanowiła wyjść z pieskiem na spacer.

Po jakimś czasie przyszedł list od Michała:

..Kochana Mamusiu!

Jak pewnie wiesz, nie pracuję już u pana Boba, ale na rancho u Mr. Spencera Hopkinsa. Dobrze się czuję, chociaż mam cięższą pracę niż tam. A co do pana Walkiewicza, to chyba nie będziemy się z nim żenić. To nie dla Ciebie. Czy wiesz, że on należy do wyznawców Niezależnego Kościoła Chrześcijańskiego, bo tu prawie wszyscy należą do jakichś sekt. Co sobota chodzi na te ich jakieś nabożeństwa i wszyscy razem śpiewają na głos psalmy. Stary chłop i tak się wygłupia — no nie? I poza tym wciąż się leczy, chociaż jest zdrow jak koń. Oni tu wszyscy wynajdują sobie jakieś choroby i chętnie chodzą do psychiatrów. Kiedyś dla ubawu podsunąłem mu następujące ogłoszenie, które dla Ciebie wyciąłem z jednej gazety. Przeczytaj!

#### BEZPŁATNE PRZEŚWIETLENIE KRĘGOSŁUPA

Po co chorować, kiedy możecie być zdrowi!

Ta wspaniała oferta ma na celu zapoznanie was z chiropraktyką. Świat, w którym żyjemy, jest pełen chaosu, są pogłoski o wojnie i jest wojna... instytucje dla umysłowo chorych są powiększane... więzienia przepełnione... szpitale również... kościoły puste... choroby grasują... przestępstwo, zło i niemoralność wzrastają w świecie. Wypadki śmierci są przedwczesne, strach wzrasta... Badacze naukowci sięgają głębin Atlantyku w poszukiwaniu nie odkrytych wielorybów dla zbadania ich wnętrzości... zbierają kurz z pazurów nowo urodzonych małąp w Południowej Afryce. Wszyscy szukają odpowiedzi. MY WIEMY, że jest na to odpowiedź... przez chiropraktykę. Nie jest już dłużej potrzebne patrzeć na członków rodziny lub przyjaciół, jak cierpią NIEPOTRZEBNIE.

Jesteśmy tu po to, aby wam odzyskać zdrowie. Jest to wasze życie i zdrowie... i od was zależy, co z nim zrobicie. PRZYJDŹCIE NA LECZENIE — WYJDZIECIE ZE ZDROWYM WESOŁYM POCZUCIEM

Dr. W. M. PIERCHAŁA

(Krystyna odłożyła załączony odcinek i przetarła okulary, które jej zaszyły łzami ze śmiechu. Po czym znów czytała list dalej.)

Myślałem, że Bob uśmieje się z tego ogłoszenia, ale on wziął to na serio i powiedział zupełnie poważnie, że uda się do tego lekarza po poradę, bo z jego nerwami nie wszystko O.K.



Wiesz, mama, zakochałem się w Annabelli, córce pana Hopkinsa. Ona jest fajna! Jeździ konno jak kowboj, a samochód prowadzi jak szatan. Chodzi w meksykańskim pancho. Ona mnie też kocha i całujemy się, gdy papa Hopkins nie widzi. Mamy w projekcie zwiedzić rezerwat indiański, oni tam handlują różnymi genialnymi ciuchami własnego wyrobu. Kupię prawdziwe mokasyny i kurtkę skórzaną z frędzlami. Może i Tobie taką zafunduję. No, to cześć, Mama, i keep it easy!

PS. Annabella to kompan na medal. Pewnie się pobierzemy.”

Krystyna schowała list do koperty i zawołała Józefę.

— A co tam znowu? Pani mnie wciąż tylko od pracy odrywa.

Ale odwiązała fartuch i przyszała.

— Chciałam Józefie zakomunikować, że do Ameryki nie pojedę!

— A co się stało? Kawaler nawalił?

— Nie, to ja mu nawaliłam. Józefa miała rację, że na stare lata nie ma sensu zaczynać nowego życia.

Józefa miała w sobie przekorę niektórych mężów.

— Przecież pani nie jest jeszcze taka stara. . . Starsze za mąż wychodzą. . .

— Twarz mam już zniszczoną. Zmarszczki mi się porobiły. . .

— Zniszczoną! — Józefa klasnęła w dłonie. — Nic podobnego! Jeszcze by pani wyglądem pobiła niejedną młodą.

— Bardzo mnie Józefa pocieszyła — odparła Krystyna robiąc poważną minę, chociaż jej się na śmiech zbierało. — Ale ja i tak za tego Amerykanina nie wyjdę. I wszystko zostanie po dawnemu.

— Jak sobie pani uważa. A co z Misiem?

— Michał pracuje na farmie, strzyże owce.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! — wykrzyknęła Józefa. — Chłopak wykształcony, z inteligentnej rodziny i strzyże owce jak pastuch? Ja, chociażem fizyczna i tylko sześć klas szkoły podstawowej ukończyłam, ale bym do takiej roboty się nie godziła!

— Pisał — odparła Krystyna zapalając papierosa — że się zakochał w córce tego gospodarza. Może się pobiorą. . .

— To nie mógł sobie u nas wyszukać jakiejś panienki wykształconej, dobrze ułożonej i dobrze zarabiającej, tylko gdzieś w świecie. . . i to cudzoziemkę?

Widzi pani, już zgłupiał od strzyżenia tego inwentarza. A co by pani zjadła na obiad?

Krystyna przetarła czoło znużonym gestem. — Wszystko jedno, moja Józefo, nie mam głowy do jedzenia.

— Na to nie potrzeba głowy, kupiłam kurę.

— To świetnie. Trochę mi jednak żal, że do tej Ameryki nie pojedę — dodała z westchnieniem.

— Niech pani nie żałuje, w starszym wieku taka podróż może się źle odbić na zdrowiu.

— Raz Józefa mówi, że jestem młoda, raz, że „w starszym wieku”, trzeba się zdecydować.

— Pani sama dobrze wie, jaka jest. Idę gotować obiad.

\* \* \*

I znów w jakiś czas potem przyszedł list od Michała. Były w nim kolorowe zdjęcia; jego obejmującego roześmianą dziewczynę w elastycznych spodniach, potem ich obojga wraz z papą Hopkinsem na tle domku i dużego trawnika. Papa, w rodzaju ojca Cartrigha z seryjnych filmów „Bonanza”, wyglądał bardzo sympatycznie. I jeszcze jedno zdjęcie, na którym ujrzała Michała i młodego człowieka w czerwonej koszuli, w dużym sombrero na głowie, obaj trzymający w ramionach młode jagnięta. Krystyna domyśliła się, że to musi być Hopkins junior. Wszyscy byli roześmiani i zadowoleni z życia, jak gdyby nie istniały na świecie choroby, śmierć i okrutne wojny. Czy to głupota — czy mądrość? — zastanawiała się Krystyna. W każdym razie samoobrona przed tym wszystkim, co życie może dać niedobrego. Nie myślą, nie zastanawiają się, nie mają czasu na czytanie książek, z których by mogli się dowiedzieć, że nie wszystko bywa takie „okey”. Po całodziennej pracy zasiadają do wspólnego stołu z tymi samymi błogimi wyrazami twarzy, będą wcinać jajka na bekonie, popijając to piwem albo kawą, a potem zaczną razem oglądać telewizję, przerywaną co chwila reklamami.

Zrobiło się jej na chwilę smutno, że nie jest tam razem z nimi, że jest taka sama ze swoją polską inteligencją i polskim niezadowoleniem ze swego losu... Ale przecież tylko od niej zależało, aby to zmienić, a jednak nie wybrała tej kolorowej beztroski życia zamożnych obywateli amerykańskich. Czowała, że nie wytrzymałaby tam dłużej jak miesiąc lub dwa.

— No, zobaczymy — pomyślała jednak pogodnie — co pisze Michał.

„Dear Maa!

Sprzedamem mojego grata i kupię okazjnie forda-mustanga. Tutaj to nie robi na nikim wrażenia, szczególnie, że mój ford to już nie najnowszy model. Nie wiem, jak będzie z małżeństwem z Annabellą, bo papa Hopkins sprzeciwia się. Mówi, że jego zięć, po pierwsze, musi być Amerykaninem, a po drugie, winien posiadać jakiś tytuł zawodowy. Sam nieuk, dzieci też nie posiadają wyższego wykształcenia, bo twierdzi, że to było zanadto expensiv, a zachciewa mu się zięcia z tytułem inżyniera. Zupełnie jak nasi zamożni badylarze. Obiecałem mu, że wrócę do Polski, wstąpię na politechnikę i po kilku latach pracy zdobędę wykształcenie. Bardzo się zdziwił, skąd wezmę forszę na takie kosztowne studia? Oni się zupełnie nie orientują, że u nas nauka jest za darmo, i w głowach im się to nie mieści.

Jeszcze dodał, że widocznie moja matka zarabia ciężkie pieniądze, jeśli ją będzie stać na to, i wyczułem że mu zaimponowałem. Powiedział, że jak wtedy przyjadę, to mi da Annabellę za żonę, a ona przysięgła na Biblię, że będzie na mnie czekać. Jak oni mnie śmieszają tą swoją naiwną wiarą, nie tylko jeśli chodzi o religię, ale o wszystko. Wierzą w potęgę pieniądza — tak jak u nas na przykład w potęgę... talentu. Wiesz, co mnie jednak razi u Annabelli, chociaż jest taka fajna i zakochana we mnie, to jej ograniczone wiadomości. Uśmiejesz się, nie uwierzysz, ale ja tu uchodzę za i n t e l e k t u a l i s t ę! A z nią można rozmawiać tylko o psach, o koniach, o party, na którą się wybiera i na którą sobie szykuje nową kieckę, albo o tym, co komu da na Christmas. Biorą to bardzo serio i przygotowują się do tej uroczystości już dwa miesiące przedtem. Prosiła, abyś jej przysłała koniecznie bombki na drzewko, bo tu nie ma takich ładnych, jak nasze, a jeśli są, to bardzo drogie. Bo wiesz. Mama, oni są wszyscy strasznie dziecinni. Z początku mnie to bawiło, ale teraz zaczyna męczyć. Nie uwierzysz, ale stęskniłem się za DOROSŁYMI. I trochę nawet za warszawskimi dziewczynami. Dobrze chyba, że to nie ja przysięgałem Annabelli na Biblię.

Więc: kupiłem już bilet powrotny do kraju i przyjadę za trzy tygodnie. Będę się starał o przyjęcie na politechnikę, może dostanę się na wydział transportowy, to by mi odpowiadało. Annabellę może mi się uda ściągnąć do Polski. A jak nie, to też nie będzie nieszczęścia, w każdym razie będziemy do siebie pisywać. Cieszę się na powrót, na Ciebie i na Lolaska, dla którego kupiłem przepiękną czerwoną obróżkę, nawet na Józefę. A moim kumplom zaimponuję samochodem i amerykańską narzeczoną. Nieeee? Pękną z zazdrości! No, to cześć. Mama, więcej już przed wyjazdem nie napiszę. Michał.

PS Pan Bob, który nas odwiedził, kazał Ci się pięknie kłaniać i powiedzieć, że jednak spodziewa się, że go kiedyś odwiedzisz w Stanach. Nie powiedziałem mu, żeby nas pocałował gdzieś, boby się zmartwił. To zacne chłopisko, ale jednak tępe i ograniczone”.

Krystyna włożyła list z powrotem do koperty i siąknęła nosem. Była wzruszona. Więc to jej kochane chłopisko wraca i znów będą razem... Nic nie mogło jej zrobić większej radości. Misiurek kochany — myślała z rozczuleniem — jak on zmadrzeł i dorósł. Ma już Amerykę „z głowy”. Musi tę radosną wiadomość oblać. Ale z kim? Lolek nie pije... chyba tylko z Józefą.

— Pani Józefo! — zawołała wesołym głosem. — Proszę tu przyjść prędko, dostałam list od Michała.

— Ojej, pali się czy co? To list mi pani przeczyta po obiedzie...

— Nie, teraz, zaraz! — Wyciągnęła z kredensu butelkę winiaku i dwa kieliszki.

Gdy Józefa weszła do pokoju, Krystyna napełniła oba kieliszki.

— Pani Józefo, trach! Napijemy się za zdrowie Misia!

— Co też pani... ja w południe nie piję. Dopiero wieczorem po pracy...

— Ale dziś jest wyjątkowy dzień. Michał za trzy tygodnie wraca do domu!  
— Ojej! To ci radość! — ucieszyła się Józefa. Wychyliła swój kieliszek jednym haustem i wytarła usta fartuchem.

— I na drugą nóżkę! — Krystyna znów napełniła oba kieliszki.

— A co, żeni się z tą amerykańską pannicą czy nie? — zapytała Józefa.

— Sam nie wie... Najważniejsze, że wraca. Moja Józefo, ja czasem pani dokuczam, pani mnie też... ale ja jestem do Józefy bardzo przywiązana.

Józefa pociągnęła nosem. — Ja też się do pani przywiązałam... tyle lat razem... I tych wszystkich pani chłopów zniosłam, co to pani szczęścia nie dały. Mogłam mieć inne, lepsze posady, ale, jak to mówią, człowiek zawsze głupi. A serce to już to, co człowiek ma w sobie najgłupszego. No, to ja idę kończyć ten obiad i dziękuję pani za poczęstunek.